

**CZEGO NIE WIEMY
O STANIE WOJENNYM**

**PLK DZIADOSZ
I POMOCNA DŁOŃ ZIOBRY**

**ZBIGNIEW ROKITA
ODRZAŃSKOŚĆ
TO INNA POLSKOŚĆ**

**PROF. MICHAŁ LEW-STAROWICZ
STARSZA ONA, MŁODSZY ON**

ZEŁENSKI NA KRAWĘDZI

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509 3115



9 771509 311300

50 >

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca



Orlando. Biografie

reż. Agnieszka Błońska
na podstawie powieści Virginii Woolf
i filmu Sally Potter

28, 29 i 30 grudnia
31 grudnia, 19.00 – spektakl sylwestrowy

—— Przedstawienie zrobione jest mądrze, empatycznie i z szacunkiem do widza, któremu nie wykląda się wszystkiego kawa na ławę, a to dziś rzadkość. (...) Zachęcam Was serdecznie do obejrzenia „Orlanda. Biografii”, zwłaszcza jeśli chęć poważnej rozmowy na niełatwe tematy jest dla Was ważna.

Tomasz Domagała, blog Domagała się Kultury

—— To zarazem udany spektakl, jak i ważny fakt społeczny: oddanie głosu i miejsca na scenie osobom spoza heteronormy, które bardzo otwarcie opowiadają o swoich przeżyciach i emocjach. Mówię o PRL-owskiej przeszłości, o dniu dzisiejszym i o jutrze, kiedy już nikt nie będzie się śmiał z queeru. Błońska zbudowała dla tej historii ciekawą ramę formalną, na pograniczu teatru, sztuk wizualnych, techno party, wykładu, performance'u, reportażu i terapii.

Przemysław Gulda, WP Książki, „Gazeta Wyborcza”

Patroni
mediów

wyborcza.pl



www.powszechny.com



Gołota w twierdzy IPN

Co zrobić z IPN? Jak się wywiązać z deklaracji wyborczych? – zastanawia się niedawna opozycja. Nad tym samym, tylko w drugą stronę: jak utrzymać w naszych rękach tę instytucję, główkując na prawicy. Dlatego w piśmowskim tygodniku braci Karnowskich prezes IPN Karol Nawrocki opowiada, że instytut jest i będzie jak twierdza nie do zdobycia. Na okładce „Sieci” Nawrocki stoi z zaciśniętymi pięściami, niczym Gołota przed walką. W pozie, która dowodzi, że w IPN są przyzwyczajeni nie do prowadzenia dysput na argumenty, tylko do okładania słabszych, najchętniej tych, którzy nie mogą się bronić.

Dziś IPN jest tożsamy z polityką historyczną prawicy. Kierują nim ludzie z nadania PiS, którzy nie są w stanie zrozumieć, że Polacy mają różne postawy i poglądy na temat przeszłości. Że wielu rodaków nie patrzy na PRL jak na sowiecką okupację. Że dla nich kościuszkowcy nie byli polskojęzycznymi żołnierzami Stalina, a wprowadzenie stanu wojennego przez gen. Jaruzelskiego było słusne. Dla ipeenowców przeciwnikami są już i tacy, którzy mają za sobą działalność opozycyjną, z Wałęsą czy Tuskiem na czele. Instytut wciągnięto do rozgrywek politycznych i zwalczania oponentów. A nawet byłych pracowników IPN. Tych, których badania nie spełniały wytycznych IPN albo wręcz je podważały. W tej instytucji nie ma miejsca dla inaczej myślących, jedynie dla wyznawców ipeenowskiego, nacjonalistycznego mesjanizmu.

IPN nie może kształtować polityki historycznej państwa, nawet jeśli uznamy, że jest potrzebna. W tym kształcie reprezentuje najgorsze jej oblicze, z sympatiami do faszyzmu włącznie.

Co zatem zrobić z IPN? Na jego rozwiązanie nie ma co liczyć, Andrzej Duda zablokuje decyzję o likwidacji. Jednak ten miłośnik „żołnierzy wyklętych” nie ma już wpływu na strukturę, a przede wszystkim finanse. IPN powinien zostać rozparcelowany. Miejsce archiwaliów jest w Archiwum Akt Nowych, a pion prokuratorski, ów prawdziwie historyczny dziwoląg, powinien działać w ramach Prokuratury Krajowej.

Przydałyby się też ostre cięcia budżetowe, bo inaczej IPN stanie się jeszcze jedną dobrze płatną przechowalnią dla piśmowskich nominatów. Nie wszyscy wiedzą, że jak prezes Nawrocki to nie Gołota, tak i IPN to nie finansowa gołota. Wystarczy porównać jego finansowanie ze środkami na PAN czy najlepsze polskie uniwersytety. Skandalem jest, że taka instytucja jak PAN ma prawie trzykrotnie mniejszy budżet niż placówka pana Nawrockiego. W ramach kampanii obronnej ipeenowcy przytaczają liczbę opublikowanych książek. Warto im jednak uzmysłowić, że gdyby PAN lub czołowe uczelnie dysponowały takimi budżetami, wydałyby takich publikacji więcej. I to na wyższym poziomie.

Czas ukrócić to ipeenowskie szaleństwo!

BAKOWSKI



Szybciej i taniej

Kliknij opcję **KUP NA PREZENT**

e-prenumerata
w świątecznej cenie:

- * ROCZNA – 100 zł
- * PÓŁROCZNA – 50 zł
- * KWARTALNA – 25 zł
- * MIESIĘCZNA – 10 zł

CO SOBOTA NOWE
e-wydanie PRZEGLĄDU

Promocja tylko do końca grudnia!

Kup na sklep.tygodnikprzeglad.pl



W NUMERZE

ZAGRANICA

- 8 Ukraina na krawędzi**
Zmierzch Sługi Narodu
- 13 Migracyjna hipokryzja Europy**
Czy można się obyć bez przybyszów
- 24 Nie ma już bezpiecznych miejsc**
Izrael wciąż atakuje
- 26 Ci, którzy zostaną**
Pożegnanie z Afryką
- 33 Dekryminalizacja narkotyków**
Trudna lekcja Oregonu

KRAJ

- 16 Ponad prawem**
Pomocna ręka Ziobry

HISTORIA

- 18 Agenci KGB, plan B, partia Moskwy,**
gra Kulikowa
Kulisy stanu wojennego

OPINIE

- 30 Piotr Kimla**
Henry Kissinger i sztuka ograniczenia
w polityce

KULTURA

- 36 Odrzańskość to inna polskość**
– rozmowa ze Zbigniewem Rokitą
- 40 Kulturalia**
- 42 Abakany i dywany**
Mistrzynie tkaniny
- 66 Natalia Rybka. Dzieło to człowiek**

PSYCHOLOGIA

- 46 Starsza ona, młodszy on**
– rozmowa
z prof. Michałem Lwem-Starowiczem

EKOLOGIA

- 50 Sosna (nad)zwyczajna**
Symbol Puszczy Kampinoskiej

OBSERWACJE

- 54 Istota familoków**
W robotniczych domach Śląska
- 58 Gdy wszystko się łączy**
Pomorskie jarmarki świąteczne

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Paweł Dybicz**
Gołota w twierdzy IPN
- 29 Roman Kurkiewicz**
Pornografia snajperska
- 41 Tomasz Jastrun**
Do mordobicia jeden krok
- 49 Wojciech Kuczok**
Czego nie czytać w wannie
- 53 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Przegląd



26
ZAGRANICA

CI, KTÓRZY ZOSTANĄ Pożegnanie z Afryką

36
KULTURA

ODRZAŃSKOŚĆ TO INNA POLSKOŚĆ – rozmowa ze Zbigniewem Rokitą



46
PSYCHOLOGIA

STARSZA ONA, MŁODSZY ON – rozmowa z prof. Michałem Lwem-Starowiczem



Projekt okładki: Iza Mierzejewska



FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 35ededcd3e

f Co z tą policją?

„Jestem przeciwnikiem totalnej weryfikacji. Nie stać nas na to. Zmiany polityczne nie powinny być powodem do czystek”, mówi gen. Rapacki. Żadna instytucja w tym kraju nie potrzebuje tak ogromnej reformy jak polska policja.



Marcin Konarski

P Nazwać zbrodnie po imieniu

Niestety, nie ma czegoś takiego jak „polityka polskiego rządu”. Jest polityka Departamentu Stanu USA wobec polskiego rządu, tudzież innych marionetkowych rządów dawnych republik ZSRR i krajów satelickich. Celem tej polityki jest uczynienie z tych krajów i ich mieszkańców bezmyślnej, antyrosyjskiej masy, gotowej popełnić zbiorowe samobójstwo, byle „dowalić Rosji”. I się zamęt wewnątrz UE. Na przykładzie Polski i Polaków widać, że to polityka skuteczna. Dlatego wszelkie spory między tymi krajami są na polecenie amerykańskiej ambasady tłumione i tuszowane, aby nic nie zakłóciło realizacji nadrzędnego planu.

Komentarz ze strony [www](http://www.przeklad.pl)

✉ Polski przemysł ofiarą neoliberalizmu

Z satysfakcją przeczytałem wywiad z prof. Andrzejem Karpińskim (PRZEGLĄD nr 36) dotyczący polityki przemysłowej w Polsce i szkodliwości neoliberalizmu. Kilka lat temu krytykę neoliberalizmu przeprowadził m.in. na łamach „Polityki” amerykański profesor Robert Reich, przyjaciel prezydenta Clintona,

uznany wówczas za najlepszego w historii USA ministra pracy, znakomicie sterującą polityką zatrudnienia. Wywiad powinien zapoczątkować dyskusję i wdrożenie jej wyników. Może to być szczególnie ważne w przypadku rozmów i współpracy z wielkimi koncernami międzynarodowymi. Ważny byłby też udział w tej debacie placówek badawczych PAN. Omawiając miejsce polskiego przemysłu w Europie, prof. Karpiński nie uwzględnił Francji, Holandii i krajów skandynawskich, co pogorszyłoby pozycję Polski. Rozmówca słusznie wskazał konieczność interwencjonizmu w takich dziedzinach jak technologie komputerowe, przemysł półprzewodników i produkcja energii nieopartej na węglu.

Prof. dr hab. Eugeniusz Rudziński

P W matni

Nasz sympatyczny redaktor [Tomasz Jastrun] tym razem zamiast poprawnej oceny faktów i rzeczywistości dokonał obrotu z lewa na prawo albo, jak kto woli, z góry na dół. W dalszej części felietonu autor się „martwi o Ukrainę”. Nie widzę powodu. Jest to wojna USA z Rosją rękami Ukraińców, którzy dostali z Waszyngtonu wiele miliardów. (...) Czytamy też: „Izrael nie mógł nie spacyfikować Gazy i wybić terrorystów”. Autorowi tych słów proponuję pomoc Ewy Jasiewicz „Podpalic Gazę” (Warszawa 2011), która opisuje terrorystyczne ataki Izraela do roku 2009. Jako inną pomoc polecam raport Goldstone’a z 2009 r. W świetle faktów to Palestyńczycy walczą o wolność, a terrorystą jest Izrael, co potwierdza również prezydent Erdoğan.

WA Zdaniewski



Najnowsze książki PRZEGLĄDU z podpisem autora!

**DWA TOMY, KTÓRE POZWALAJĄ
LEPIEJ ZROZUMIEĆ
CZAS WOJNY I POLSKI LUDOWEJ**

**Kto może lepiej znać przeszłość
niż świadek historii,
który ją współtworzył**

Zamów na sklep.tygodnikprzeklad.pl lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

Gwarancją dostawy przed świętami jest wybór przesyłki kurierskiej InPost +14,90 zł
(z podaniem numeru telefonu), złożenie i opłacenie zamówienia do 15 grudnia.



Tom I
78 zł



Tom II
79 zł

PAKIET ~~157 zł~~ 140 zł

Trybunał Sprawiedliwości UE ogłosił korzystny dla frankowiczów wyrok w sprawie ich rozliczeń z bankami, gdy w umowach kredytowych są klauzule bezprawne (abuzywne).

Sejm powołał komisję śledczą ds. wyborów kopertowych. Kolejne komisje, ds. nadużycia systemu Pegasus i afery wizowej, mają rozpocząć działania do końca roku.

Karolina Maria Bućko, adwokat specjalizująca się w zagadnieniach związanych z przemocą domową, została przewodniczącą Państwowej Komisji ds. przeciwdziałania wykorzystaniu seksualnemu małoletnich poniżej 15 lat.

Spada wydobywanie węgla energetycznego w Polsce. W 2023 r. kopalnie Polskiej Grupy Górniczej wydobędą ok. 2,5 mln ton węgla mniej, niż planowano, czyli ok. 23 mln ton. Liczne w górnictwie związki zawodowe mówią o potrzebie pomocy publicznej na poziomie 5-7 mld zł.

Decyzja o odbudowie architektonicznego badziewia, któremu PiS nadaje nigdy nieistniejące walory, ma kosztować 2,4 mld zł. A to znaczy, że **w budowie kamienicy rosyjskiego kupca utopi się 4-5 mld zł**. Jakby tego było mało, 5 mln zł idzie na pensje w spółce. 900-metrowa luksusowa siedziba kosztuje 1,2 mln zł rocznie. Auto dla prezesa kupiono za 250 tys. zł. A na koniec rządów Morawiecki dał spółce 10 mln zł na film ze światową gwiazdą. Przy tym cyrku

najlepszy będzie prezes Kaczyński.

Andrzej Łukawski, organizator Marszu Pamięci o Ofiarach Ukraińskiego Ludobójstwa, działacz kresowy, został oskarżony przez Związek Ukraińców w Polsce i skazany na siedem miesięcy więzienia m.in. za słowa: „Znajdzie się kij na banderowski ryj”. Areszt opuścił po interwencji posłów Konfederacji i posła Tadeusza Samborskiego (PSL).

Ewa Krajewska, minister zdrowia w dwutygodniowym rządzie Morawieckiego, zdaniem NIK jako główny inspektor farmaceutyczny nie sprawowała wystarczającego nadzoru nad bezpieczeństwem szczepień przeciw COVID-19. W efekcie **prawie 118 tys. osób dostało wadliwe szczepionki**.

Tylko **40% pracowników administracji rządowej spełnia**, według raportu NIK, **kryterium niezależności** obowiązujące służbę cywilną.

Ambasador RFN Viktor Elbling poinformował, że od 16 października, czyli od wprowadzenia kontroli stacjonarnych na granicach z Polską, policja federalna ujęła ok. 90 przemytników i odnotowała 6,9 tys. przypadków nielegalnego wjazdu do Niemiec.

Gen. Jarosław Szymczyk, komendant główny policji, przekazał swoje obowiązki i od stycznia przechodzi na emeryturę. Policję zostawił z wieloma problemami i trzema granatnikami, które trzymał w gabinecie. Dobrze, że wybuchł tylko jeden.

PRZEBŁYSKI

Siewiera, prawie szef

Jaki jest prezydent – zwierzchnik sił zbrojnych, każdy widzi. Ale nie będziemy tego wątku rozwijać, by nie zdradzać tajemnic wojskowych. W zamian zajmijmy się Jackiem Siewierą, szefem Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Z zawodu lekarz wojskowy. A z przekonania overspecjalista. Gdzie mu do niego choćby gen. Różańskiemu.

Siewiera wszystko wie lepiej. Armia ma liczyć 300 tys. żołnierzy w służbie wojskowej i WOT. Bo jak powiedział w „Naszym Dzienniku”: „JESTEŚMY PRAWIE 40-MILIONOWYM NARODEM, który jest w stanie taką armię wystawić”.

Może mu ktoś w pałacu powie, ilu jest Polaków? Trzeba to zrobić szybko. Bo strach liczyć na kogoś z tak skromną wiedzą. Za to z wielkimi ambicjami.



Film albo i serial o Morawieckim

Siedem niedziel nie wystarczyło Morawieckiemu, żeby zrozumieć, że premierostwo odfrunęło mu w siną dal. Real dotrze do niego, gdy znikną ochroniarze i dyskoteka na dachu limuzyny! I jak stanie solo przed ludem, o którym w restauracji Sowa i Przyjaciele mówił, że powinien zap... za miskę ryżu. Może stąd się bierze ściąganie rekordowej liczby pracowników z Azji? Morawiecki wprowadził do Sejmu dwudziestu paru posłów. Może sprawdzić ich lojalność, zapraszając z wizytą do Monachium pod pomnik Brygady Świętokrzyskiej. Był tam, więc drogę zna. Kasy na honorowanie kolaborantów z Niemcami, bandytów „Ognia”, „Rajsa” czy „Łupaszkę” ma w bród. Stać go też na prawdziwy film fabularny. O sobie. Czyli o bohaterskim życiu Mateusza. Bo film nakręcony przy współpracy Fundacji Narodowej to zaledwie szkic: jak 11-letni Morawiecki obalał komunę. Teraz M.M. ma czas i jak się rozpędzi, to i serial o sobie wymyśli.

Kaplica, pielgrzymki i wężyk (generalski)

Wiadomo, że po prezydencie Dudzie można się spodziewać wszystkiego. Ale żeby aż tak ośmieszać awanse generalskie? Skokowe nominacje i omijanie procedur to u Dudy obyczaj. Najszybsza droga do wężyków generalskich wiedzie przez kaplicę św. Pawła Apostoła. Dobrze jest też być rycerzem zakonu Jana Pawła II. Jak świeżutki generał więziennictwa Piotr Sękowski. W 2015 r. był podporucznikiem w areszcie śledczym na Mokotowie. I gdyby Duda szanował prawo, to Sękowski byłby majorem. A jest? Generałem i zastępcą dyrektora generalnego Służby Więziennej. Ekspertem od niczego.



Monika ratownicza

W TVP Info na posterunku zostali jeszcze desperaci. I garstka tych, którzy ciągle wierzą, że PiS rządzi. Choć najbardziej wierzą w kasę, która wpływa na konto. Przy rekrutacji do tej egzotycznej instytucji myślenie nie było przecież wymagane. Co zresztą widać.

Pisaliśmy już o Monice Drozd. Była rzeczniczka prasowa Centrum Opatrzności Bożej zapełniła luki po chowających się gwiazdkach dojrzałej zmiany. Brała wszystko. Przez ostatnie tygodnie nie schodziła z ekranu. Strasząc i śmiesząc telewizorów.

Polszczyzna pani Drozd to nowy gatunek naszego języka. A ona sama to nowy gatunek ratowniczy. Takiej, która skutecznie podtopiła Info.





PYTANIE TYGODNIA

Co dla Polaków byłoby najlepszym prezentem?

KATARZYNA KUCEWICZ,
psychoterapeutka, psycholożka

Myszę, że część Polaków już dostała gwiazdkowy prezent, jakim był wynik październikowych wyborów. Ta nowa sytuacja polityczna dała wielu osobom pewien spokój i poczucie stabilizacji. Przepychanki polityczne, które mogliśmy obserwować w ostatnich latach, negatywnie wpłynęły na wielu z nas. Niezależnie od preferencji politycznych dobrze wiedzieć, na czym się stoi. Można odnieść wrażenie, że większość osób cały czas jest zanurzona po części w swoich sprawach, a po części w polityce. Wielu chciałoby już odpuścić życie od wyborów do wyborów. Powiedzieć sobie: wiem, co się dzieje w polityce i dokąd to zmierza. A potem zająć się swoimi sprawami.

ALINA CZYZEWSKA,
działaczka polityczno-społeczna, aktywistka

Najlepszy prezent to poczucie, że władza nas szanuje, zamiast paternalizować. Mowa o władzy zarówno centralnej, jak i lokalnej. Należy nam się pewność, że jesteśmy traktowani nie jak wyborcy, którzy posadzili kogoś na tronie i teraz mają go okłaskiwać, tylko jak obywatele i obywatelki demokratycznego państwa prawa. Na przykład na sesji rady miasta powinniśmy rozmawiać merytorycznie w obrębie przepisów prawnych, a nie według widzimisię

urzędników, dla których najczęściej obywatele to petenci. Szacunek to również traktowanie organizacji pozarządowych i aktywistów poważnie. Może zamiast nazywać ich pieniaczami, pozywać czy szykanować, władza powinna ich posłuchać? Często właśnie oni najdosadniej wyrażają zdanie obywateli.

ZOFIA NICZKE,
prezeska Fundacji Emeryt

Zapytałam najpierw seniorów wokół mnie. Usłyszałam m.in.: dobre słowo, bilety do teatru, zdrowie czy uśmiech. Padły także konkretniejsze życzenia, np. prośba o ochronę zdrowia nastawioną na potrzeby seniorów czy godne emerytury. Można też na to pytanie spojrzeć jeszcze szerzej. Mam takie marzenie, żeby przede wszystkim w naszym kraju wrócił wzajemny szacunek. A w szczególności szacunek do seniorów. Zastąpili na to latami pracy i doświadczeniem. Dlatego wszędzie powinni się spotykać z życzliwością i uśmiechem. Zarówno prywatnie, jak i w instytucjach państwowych. Godność i jej poszanowanie to wartość, która należy się wszystkim, na każdym etapie życia. Dlatego uważam ją za najlepszy prezent dla wszystkich i wszędzie, nie tylko w Polsce.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

UKRAINA NA KRAWĘDZI

Prezydentowi Zełenskiemu wydaje się,
że Kijów powinien otrzymać wszystko, o co poprosi

Marek Czarkowski

W środę, 6 grudnia, amerykański Senat głosami republikanów odrzucił przygotowany przez administrację prezydenta Bidena, wart 61,4 mld dol. pakiet pomocy dla Ukrainy. Senatorowie uzależniali wsparcie dla Kijowa od zwiększenia środków na wzmocnienie południowej granicy z Meksykiem, przez którą do Stanów Zjednoczonych przedostają się nielegalni imigranci. Sprawa nie jest zamknięta. Prezydent Biden ostrzegł, że jeśli z powodu braku pieniędzy Ukraina wojnę przegra, to amerykańskim żołnierzom przyjdzie walczyć z Rosjanami, i zaapelował,

Zełenski wie, że wstrzymanie zachodniej pomocy oznacza kapitulację Ukrainy w ciągu kilku tygodni. Tym argumentem szermuje w rozmowach z zachodnimi przywódcami.

by Senat podjął właściwą decyzję jeszcze przed przerwą świąteczną.

Prezydent Zełenski już wie, że w grudniu i styczniu ukraińska armia nie będzie mogła liczyć na znaczące dostawy amerykańskiego uzbrojenia. Akurat w momencie, gdy wojska rosyjskie coraz mocniej naciskają na całym froncie.

Według badania Grupy Socjologicznej Rating 44% ankietowanych Ukraińców prezentuje pogląd, że wojnę należy zakończyć jakimś kompromisem, w drodze negocjacji z udziałem państw trzecich. 1% jest zdania, że trzeba przyjąć żądania Federacji Rosyjskiej. Za kontynuacją wojny do zwycięskiego końca opowiada się 48%. Rok temu taki pogląd prezentowało 60% badanych. Nie da się ukryć,

że w społeczeństwie ukraińskim nastroje się pogorszyły.

– Nie umiemy wyjaśnić, za co my właściwie walczymy. Powiedzmy otwarcie: większości mieszkańców Ukrainy niezależność nie wydaje się wartością – słowa te padły z ust Ołeksija Arestowycza, aktora, producenta filmowego i oficera ukraińskiego wywiadu, który od 24 lutego 2022 r., czyli od rozpoczęcia inwazji Rosji na Ukrainę, prowadził w imieniu Kancelarii Prezydenta Ukrainy codzienne konferencje prasowe na temat sytuacji na frontach. Podobnie jak Mychajło Podolak, doradca szefa Kancelarii Prezydenta Ukrainy Andrija Jermaka, Arestowycz stał się jedną z najbardziej rozpoznawalnych

w Kijowie. Obawiając się aresztowania, wyjechał za granicę, a teraz niemal codziennie dzieli się swoimi opiniami na YouTube. Ostatnio zgłosił gotowość ubiegania się o urząd prezydenta. Zgodnie z ukraińską konstytucją wybory prezydenckie powinny się odbyć w przyszłym roku. Choć jest mało prawdopodobne, by do nich doszło. Nie jest tym zainteresowany prezydent Wołodymyr Zełenski.

Zmierzch Sługi Narodu

W ostatnich tygodniach na łamach dzienników „The New York Times”, „The Washington Post”, „Bild”, „The Sun” oraz tygodników „The Economist” i „Der Spiegel” ukazały się liczne publikacje krytycznie oceniające sytuację w Ukrainie. Największy rozgłos zyskał wywiad udzielony przez głównodowodzącego ukraińskiej armii gen. Załusznego tygodnikowi „The Economist”. Generał przyznał w nim, że mocno reklamowana czerwcową kontrofensywa na Zaporozżu zakończyła się niepowodzeniem, a „sytuacja na froncie jest patowa”.

Jeszcze dalej poszli dziennikarze „The Washington Post”, którzy na początku grudnia poddali szczegółowej analizie sytuację na froncie. Wrażenie zrobił zwłaszcza fragment: „W czwartym dniu operacji gen. Waterij Załusny, naczelny dowódca armii Ukrainy, miał już dość. Spalony zachodni sprzęt wojskowy – amerykańskie bradleye, niemieckie czołgi Leopard, pojazdy do usuwania min – zaśmiecał pole bitwy. Liczba zabitych i rannych podkopała morale”.

Ukraińscy politycy winą za to obciążają głównodowodzącego oraz

i popularnych postaci ukraińskiej sceny politycznej. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że był on głosem społeczeństwa walczącego z rosyjską agresją.

17 stycznia br. Arestowycz złożył rezygnację z funkcji doradcy Kancelarii Prezydenta, po tym jak kilka dni wcześniej w programie „Feygin Live” powiedział, że rakietą, która zniszczyła część budynku mieszkalnego w Dnieprze (kiedyś Dniepropietrowsk), została wystrzelona przez ukraińskie siły obrony powietrznej. Dowódca owych sił, gen. broni Mykoła Ołeszczuk, oskarżył go o dezinformację, a na to w ukraińskim prawie jest paragraf.

Po kilku miesiącach milczenia Arestowycz dołączył do grona najsurowszych krytyków władz

zachodnich sojuszników, którzy nie dostarczyli odpowiedniej ilości uzbrojenia. Coraz bardziej zirytowany jest prezydent Zełenski, który czuje, że traci nie tylko zaufanie ukraińskiego społeczeństwa, ale też poparcie przywódców państw zachodnich. Jego ostatnie wizyty zagraniczne trudno uznać za sukces. Poza tym Amerykanie i Niemcy nie dostarczają Ukrainie tyle broni i pieniędzy, ile – zdaniem Kijowa – jest niezbędne, by wygrać wojnę.

Zełenski nabrał również podejrzeń, że popularny w społeczeństwie gen. Żołuzny zechce się ubiegać

dotyczących walki z armią rosyjską na przyszły rok”.

Nikt nie potraktował tego poważnie, gdyż Bezugła ma opinię enfant terrible ukraińskiej polityki, za to stało się jasne, że rywalizacja Zełenskiego z Żołuznym weszła w nową fazę. W Kijowie zaczęto mówić, że popularnego generała może zastąpić gen. Ołeksandr Syrski, dowódca wojsk. Wyszło na jaw, że prezydent bezpośrednio kontaktował się z dowódcami na froncie, nie informując o tym Żołuznego.

Wydaje się, że jego dymisja jest tylko kwestią czasu. Pewnie już

Lecz Wallace powiedział coś jeszcze: „Zauważcie, że czasami przekonujecie kraje do oddania własnych zapasów. I tak, ta wojna jest szlachetną wojną, i tak, widzimy, że walczycie w tej wojnie nie tylko o siebie, ale i o nasze wolności. Ale czasami trzeba przekonać ustawodawców na Wzgórzu [Kapitolu] w Ameryce, trzeba przekonać wątpiących polityków w innych krajach, że warto, że się opłaca i że coś za to dostaną. Taką jest po prostu rzeczywistość”.

Najwyraźniej Zełenski o tym zapomniał. Nie wziął pod uwagę zmęczenia wojną zachodnich społeczeństw, które coraz bardziej zdają sobie sprawę z ponoszonych ciężarów. Nie mógł też przewidzieć, że atak Hamasu na Izrael odwróci uwagę Zachodu od Ukrainy.

W jednym ze swoich programów na YouTube Ołeksij Arestowycz postawił retoryczne pytanie: „Które zachodnie społeczeństwo zaakceptowałoby śmierć 150 tys. swoich żołnierzy?”. Nawet Amerykanie by na to nie poszli. Nie mówiąc o Niemcach, Francuzach czy Brytyjczykach.

Tymczasem ukraińskiemu prezydentowi wydaje się, że Kijów powinien otrzymać wszystko, o co poprosi. Zełenski wie, że jego kraj jest dzisiaj w pełni zależny nie tylko od dostaw amunicji i uzbrojenia, ale również od pomocy finansowej, z której opłacane są żołd, wynagrodzenie urzędników i nauczycieli oraz emerytury. Wie, że wstrzymanie zachodniej pomocy oznacza kapitulację Ukrainy w ciągu kilku tygodni. Tym argumentem szermuje w rozmowach z zachodnimi przywódcami. Ci zaś coraz częściej przebąkują o konieczności zakończenia gorącej fazy konfliktu. Staje się dla nich jasne, że obecny prezydent Ukrainy nie jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu i czas szukać nowego przywódcy. Szczególnie że, jak ostatnio oświadczył amerykański sekretarz obrony Lloyd Austin, najnowsze oczekiwania Ukrainy to 17 mln pocisków artyleryjskich i 400 mld dol.

Krytycznie o sytuacji na froncie i w kraju mówią nie tylko przeciwnicy Zełenskiego, ale także zdeklarowani zwolennicy wojny z Rosją, tacy ▶



Ołeksij Arestowycz dołączył do grona najsurowszych krytyków władz w Kijowie. Obawiając się aresztowania, wyjechał za granicę.

o urząd prezydenta. W wywiadzie udzielonym brytyjskiemu dziennikowi „The Sun” oświadczył: „Jeżeli wojskowy postanowił zajmować się polityką, to jego prawo, ale wówczas powinien iść do polityki, i wtedy nie może zajmować się wojną”.

Nazwisko generała nie padło, lecz było jasne, o kogo chodzi. Żołuzny zachował milczenie, co jeszcze bardziej zdenerwowało prezydenta. Po czym do akcji ruszyli jego zwolennicy. Deputowana prezydenckiego ugrupowania Sługa Narodu Marianna Bezugła, członkini komisji obrony w Radzie Najwyższej, oznajmiła, że generał powinien podać się do dymisji, ponieważ „nie przedstawił planów

dawno by do niej doszło, gdyby nie Amerykanie, którzy wysoko cenią umiejętności głównodowodzącego.

Jeśli ubiegły rok można nazwać rokiem Zełenskiego, to dziś z jego popularności, zwłaszcza na arenie międzynarodowej, niewiele zostało. Zachodni liderzy mają coraz bardziej dosyć nachalnego faceta w zielonej podkoszulce, który domaga się od nich wciąż więcej pieniędzy i uzbrojenia. W lipcu br. brytyjski sekretarz obrony Ben Wallace ujawnił, że gdy w czerwcu 2022 r., w trakcie jego wizyty w Kijowie, strona ukraińska przedstawiła mu listę potrzebnego sprzętu, odparł: „Wiecie, nie jesteśmy Amazonem”. Fraza ta przeszła do historii.

► jak niezwykle popularny dziennikarz Dmytro Gordon, którego kanał na YouTube subskrybuje aż 2,6 mln osób. Jest tylko kwestią czasu, gdy zmęczone wojną ukraińskie społeczeństwo wystawi swojemu prezydentowi rachunek. Na co bardzo liczy Kreml.

Oligarchowie

Modny niegdyś temat ukraińskich oligarchów, którzy trzęśli krajem, promowali i obalali prezydentów, korumpowali urzędników i grabili, co się dało, zniknęły z debaty publicznej.

Jak oświadczył amerykański sekretarz obrony Lloyd Austin, najnowsze oczekiwania Ukrainy to 17 mln pocisków artyleryjskich i 400 mld dol.

Pewne jest, że dawny promotor prezydenta Zełenskiego Ihor Kołomoj-ski znajduje się w areszcie, oskarżony o malwersacje finansowe. Nie wiadomo, co robi ani gdzie mieszka najbogatszy niegdyś Ukrainiec Rinat Achmetow. W wyniku działań wojennych stracił połowę aktywów. Do niego należał słynny kombinat metalurgiczny Azowstal w Mariupolu, o który toczyły się zacięte walki. Nieznane jest miejsce pobytu Wiktora Pinczuka. W wyniku ostrzału rakietowego zginął Ołeksij Wadaturski, właściciel holdingu Nibulon – jednego z największych producentów i eksporterów zbóż w kraju. Firma poniosła ogromne straty, gdyż jej siedziba mieściła się w Mikołajowie, który mocno ucierpiał wskutek działań wojennych. Znaczna część należących do Nibulonu elewatorów, znajdujących się w tamtejszym porcie, nie została objęta tzw. korytarzem zbożowym.

Ciekawym przypadkiem są przygody oligarchów Kostiantyna Żewahy (jego spółki zajmują się wydobyciem rudy żelaza) i Ołeha Bachmatiuka (działającego w sektorze rolno-spożywczym). Ci dwaj dżentelmeni doczekali się finału postępowań karnych związanych z machinacjami finansowymi w należących do nich upadłych bankach. Ukraińskie organy ścigania

wystawiły za nimi międzynarodowe listy gończe. Kostiantyna Żewahę zatrzymała francuska policja jeszcze w roku 2022. A Ołehem Bachmatiukiem zajął się austriacki wymiar sprawiedliwości. W obu sprawach tamtejsze sądy odmówiły ekstradycji oligarchów. Dzięki temu Żewaho i Bachmatiu mogli wstąpić do elitarnego „batalionu Monako”, grupującego obrzydliwie bogatych Ukraińców, jeśli już walczących, to z kaczem w tamtejszych luksusowych hotelach i słynnym kasynie.

Julia Tymoszenko i były prezydent Petro Poroszenko, którzy zasiadają

w Radzie Najwyższej Ukrainy, zostali w kraju i pozwalają sobie jedynie na krótkie wyjazdy. Ostatnio Poroszenkę spotkała przykreść. Co prawda, otrzymał on pisemną zgodę na wyjazd, lecz na granicy dowiedział się, że zgodę mu cofnięto i ma wracać do Kijowa. Stał za tym ukraiński wywiad, który odkrył, że Poroszenko podobno planował spotkanie z premierem Viktorom Orbánem, co mogło posłużyć do przeprowadzenia rosyjskiej prowokacji! Mało kto

W czwartym dniu operacji gen. Walerij Załużny, naczelny dowódca armii Ukrainy, miał już dość. Liczba zabitych i rannych podkopała morale.

współczuł byłemu prezydentowi. Znaczenie starych oligarchów jest dziś żadne.

Dlatego jest więcej niż pewne, że po zakończeniu działań wojennych zostanie podjęta próba stworzenia nowej, tym razem w pełni zależnej od państwa, kasty ukraińskich bogaczy. Najprawdopodobniej będą oni się wywodzić z kręgów wojskowych.

„Wolne” media

Po ataku Rosji na Ukrainę władze przejęły kontrolę nad mediami elektronicznymi. Ich symbolem stał się

Telemaraton – Tylko wiadomości, jeden telewizyjny kanał informacyjny emitowany przez główne ukraińskie stacje. W kraju obowiązuje cenzura wojenna. Jak na tamtejsze warunki niezależnością wykazuje się „Ukraińska Prawda”, na łamach której pojawiają się czasem krytyczne publikacje dotyczące polityki wewnętrznej, korupcji czy sytuacji na froncie. Wielu dziennikarzy wyjechało z kraju i – na ile to możliwe – publikuje w internecie. Szczególnego znaczenia nabrały YouTube oraz komunikator Telegram. Jednym z najpopularniejszych jest Kanał Anatolija Szarija (2,88 mln subskrybentów na YouTube) prowadzony przez, jak twierdzą ukraińskie władze, prorosyjskiego blogera.

Szarij opuścił Ukrainę jeszcze za czasów prezydentury Poroszenki. Za ostrą krytykę groziło mu więzienie. Jego kilkunastominutowe wystąpienia cieszą się w sieci ogromną popularnością. Piętnuje on korupcję, wszechobecną w administracji prezydenta Zełenskiego, i politykę państwa. Inną, mniej popularną postacią jest Ołesia Miedwiediewa, związana z projektem Страна.ua kierowanym przez Igora Guźwę, ukraińskiego dziennikarza i menedżera, który uzyskał azyl polityczny w Austrii. Страна.ua ma 636 tys. subskrybentów, a siostrzany kanał

Ясно.Понятно, na którym występuje wyłącznie Miedwiediewa, 124 tys. subskrybentów. Oba te kanały są blokowane przez ukraińskie władze, co, jak wiadomo, jest mało skutecznym zabiegiem.

1,6 mln subskrybentów na YouTube ma kanał wspomnianego już Arestowycza, który krytykuje prezydenta i jego administrację. Z drugiej strony prawdziwą gwiazdą popierającą Zełenskiego i ukraińską władzę jest Dmytro Gordon – jego kanał przyciągnął 2,6 mln subskrybentów. Do legendy tej wojny przeszło zdanie,



Dymisja gen. Żałużnego (nz. przy trumnie) jest raczej kwestią czasu. Pewnie dawno by do niej doszło, gdyby nie Amerykanie, którzy wysoko cenią jego umiejętności.

które Gordon na jej początku rzucił w audycji emitowanej na YouTube przez jeden z rosyjskich niezależnych kanałów: *Пизуйте нахуй осюда ёбаные пидорасты!* Gordon założył w internecie sklep, w którym sprzedaje m.in. koszulki z tą sławną frazą (950 hrywien za sztukę).

Lista popularnych kanałów jest dłuższa. 3,54 mln subskrybentów na YouTube ma Fabryka Wiadomości, będąca częścią projektu Platforma założonego przez zespół Roścysława Bunjaka. 1,34 mln subskrybentów ma mieszkający w Stanach Zjednoczonych Jurij Szwiec, przedstawiający się jako funkcjonariusz KGB. Ukraińcy oglądają też niezależne rosyjskie kanały, takie jak Redakcja (3,98 mln subskrybentów) prowadzona przez przebywającego na emigracji znakomitego rosyjskiego dziennikarza Aleksieja Piwowarowa czy kanał *Живой Гвоздь* założony przez dawną ekipę radia Echo Moskwy (987 tys. subskrybentów na YouTube). W ostatnich dniach oficjalne

ukraińskie media zaniepokoiły się ogromną popularnością rosyjskiego serialu kryminalnego „Słowo chłopaka. Krew na asfalcie” opowiadającego historię działających w latach 80. XX w. w Kazaniu band młodocianych przestępców. Pojawiło się pytanie, czy Ukraińcy w czasie wojny mogą się zachwycać rosyjskimi serialami. Odpowiedź wydaje się

ok. 250 tys. żołnierzy i oficerów. Dziś może to być nawet 800 tys. W sierpniu br. dziennik „The New York Times” podał, że Siły Zbrojne Ukrainy straciły 150 tys. żołnierzy (zabitych i rannych). Problemem jest mobilizacja. Po niemal dwóch latach wiele osób ukrywa się przed poborem, zdając sobie sprawę z tego, że mogą zginąć. W sieci można

Znaczenie starych oligarchów jest dziś żadne.

oczywista, lecz na internet nie ma mocnych. To kolejny dowód na to, jak silna jest sieć nawet w czasie wojny i jakie stwarza możliwości.

Wojsko i władza cywilna

Konflikt między prezydentem Zełenskim a gen. Żałużnym to jedno, a funkcjonowanie armii i relacje z administracją państwową to drugie. W roku 2021 wojsko miało

znaleźć filmy pokazujące, jak na ulicach zatrzymywani są ludzie, których pakuje się do mikrobusów i wywozi do jednostek. Powszechna jest korupcja. Za kilka tysięcy euro lub dolarów można uzyskać zwolnienie ze służby. Co jakiś czas opinią publiczną wstrząsają informacje o kolejnych skandalach korupcyjnych. Szacuje się, że w Europie Zachodniej (do której zaliczana jest teraz Polska) przebywa ok. 650 tys. ▶

► Ukraińców podlegających poborowi. Dziennikarz niemieckiej gazety „Bild” Julian Röpcke opisał swoją rozmowę z ukraińskimi żołnierzami, którzy skarżyli się na to, że muszą z własnej kieszeni płacić za wyżywienie i transport, za benzynę i noclegi. Afera korupcyjna w ukraińskim Ministerstwie Obrony, związana z zakupami żywności dla armii, doprowadziła w końcu do dymisji ministra Ołeksija Reznikowa. Podobno obecnie mieszka on w Londynie.

Wyjątkowo obrzydliwą praktyką korupcyjną było uzależnianie

autorytetem, a gen. Załużny jest traktowany niemal jak święty: „On nas broni”.

Partie polityczne Ukrainy

Największym ugrupowaniem jest partia władzy, czyli założona przez prezydenta Zełenskiego formacja o nazwie Sługa Narodu. Nazwa jest tożsama z tytułem popularnego serialu, który wyniósł obecnego prezydenta do władzy.

Przewodniczącym jej frakcji w Radzie Najwyższej Ukrainy jest Dawid

Według internetowych sondaży prawie 50% Ukraińców jest przekonanych, że kraj zmierza w kierunku autorytarnym, a nawet ku dyktaturze.

Największe wyzwanie

Okazuje się, że największym wyzwaniem, przed jakim stanęła Ukraina, jest demografia. Nikt dokładnie nie wie, ilu Ukraińców mieszka obecnie w kraju. I co to znaczy kraj? Ostatni spis powszechny ludności przeprowadzono w roku 2001.

Po rozpadzie Związku Radzieckiego Ukraina miała 51,5 mln mieszkańców. W roku 2019 szacowano, że jest ich zaledwie 37 mln. Wojna oznacza nie tylko ogromną liczbę ofiar, ale też miliony, które opuściły ojczyznę. Szacuje się, że obecnie na terenach kontrolowanych przez Kijów przebywa od 25 do 30 mln osób. Prognozy demograficzne są ponure. Jeśli wojna potrwa kolejne lata, w roku 2030 liczba Ukraińców spadnie do 20 mln.

Pogarsza się fizyczna i psychiczna kondycja obywateli. Wielu młodych ludzi wyjechało. Odnotowano drastyczny spadek urodzeń, co jest konsekwencją niepewności i pogarszających się warunków życia. W roku 2030 populacja Ukrainy może być jedną z najstarszych w Europie, do

Po zakończeniu działań wojennych zostanie podjęta próba stworzenia nowej, w pełni zależnej od państwa kasty ukraińskich bogaczy.

od „gratyfikacji” wypłat odszkodowań dla rodzin poległych żołnierzy. Najwyższe odszkodowanie wynosi 15 mln hrywien, czyli ok. 1,8 mln zł. Mogły na nie liczyć osoby, których bliski poległ w akcji, wykonując rozkaz. Zdarzało się, że ci, którzy decydowali o wypłatach, oczekiwali nawet 20% owej kwoty, grożąc, że jeśli nie dostaną pieniędzy, to stwierdzą, że poległy albo był pijany, albo znajdował się pod wpływem narkotyków, a wtedy zgodnie z prawem nic rodzinie się nie należy.

Ponieważ były to bardzo poważne kwoty, które mocno obciążały budżet państwa, zasady zostały zmodyfikowane. Jednorazowo wypłaca się 20% całej sumy, czyli 3 mln hrywien, a resztę w transzach przez 40 miesięcy.

W ostatnich miesiącach nasiliły się protesty rodzin żołnierzy walczących na froncie od lutego 2022 r. Bliscy domagają się zwolnienia ich do cywila. Rząd zapowiedział odeślanie ok. 30 tys. takich żołnierzy, lecz nie wiadomo, czy słowa dotrzyma. Wojsko bardzo potrzebuje rekrutów. W niektórych oddziałach walczących pod Bachmutem lub na Zaporozżu średnia wieku przekracza 50 lat.

W oczach społeczeństwa armia, w przeciwieństwie do administracji cywilnej, cieszy się ogromnym

Arachamia. Ostatnio wywołał on trzęsienie ziemi na scenie politycznej, gdy w trakcie wywiadu powiedział, że wiosną ub.r. Ukraina była bliska zakończenia wojny z Rosją. W Turcji toczyły się negocjacje z udziałem delegacji obu stron, ale „kiedy wróciliśmy ze Stambułu, Boris Johnson przyjechał do Kijowa i powiedział, że w ogóle nic z nimi nie podpiszemy i po prostu będziemy walczyć”. Pojawiły się pytania

Największym wyzwaniem, przed jakim stanęła Ukraina, jest demografia.

o suwerenność Ukrainy i o to, w obronie czyich interesów giną żołnierze. Arachamia i inni politycy włożyli wiele wysiłku w odkręcenie tej sprawy.

Pozostałe partie, takie jak Europejska Solidarność byłego prezydenta Petra Poroszenki czy Batkiwyszczyna byłej premier Julii Tymoszenko, właściwie się nie liczą.

Opozycyjna partia Głos założona przez popularnego muzyka Światosława Wakarczuka zdobyła 20 mandatów w Radzie Najwyższej, a prorosyjska Opozycyjna Platforma – Za Życie, mająca 22 deputowanych, została we wrześniu 2022 r. sądownie zlikwidowana.

tęgo schorowaną, z bardzo wysokim odsetkiem osób z niepełnosprawnościami oraz cierpiących na schorzenia psychiczne.

Z badań prowadzonych w krajach zachodnich wynika, że po zakończeniu wojny będzie chciało wrócić jedynie 20% tych, którzy opuścili Ukrainę.

Skala nieszczęść będzie potężnym hamulcem odbudowy i rozwoju kraju. Co gorsza, problemy demograficzne są właściwie nieobecne w tamtejszej debacie publicznej. A to one ostatecznie zdecydują o przyszłości Ukrainy.

Marek Czarkowski

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Migracyjna hipokryzja Europy

**Europa migrantów nie chce.
Ale nie umie bez nich się obyć**

Jakub Dymek

Gdyby ktoś powiedział zwolennikom brexitu, że wyjście Wielkiej Brytanii z UE doprowadzi do przyjmowania przez Zjednoczone Królestwo rekordowo dużej liczby migrantów, zapewne popukaliby się w głowę. Podobnie nikt do niedawna nie uwierzyłby w Polsce, że to PiS Jarosława Kaczyńskiego będzie tą partią, która najszerzej otworzy przed uchodźcami i migrantami polskie granice, rynek pracy i usługi publiczne. Z kolei Niemcy nie uwierzyliby, że zaledwie kilka lat po odpowiedzi Angeli Merkel na kryzys humanitarny na granicach Europy to liderzy jej partii będą wzywać do ograniczenia przyjmowania azylantów i winić ich za rosnący w kraju antysemityzm. Holendrzy nie dowierzaliby zaś, że wcześniej izolowany antyislamski Geert Wilders stanie się nie tylko najpopularniejszym politykiem w wyborach, ale i drogowskazem dla partii głównego nurtu.

Dziś kraje Europy mają ten sam problem, a właściwie dwa problemy: z migrantami i poszukującymi azylu. Z jednej strony, debaty polityczne wygrywa retoryka „twierdzy Europa”, postrzeganie migrantów i uchodźców jako zagrożenia dla bezpieczeństwa i przekonanie o konieczności szczelnej ochrony granic. Z drugiej strony, rządy państw europejskich nie znajdują innego niż migracja sposobu na wzmocnienie sektorów opieki i ochrony zdrowia. Nie są też w stanie ani utrzymać wzrostu gospodarczego, ani tym bardziej realizować ambitnych planów inwestycyjnych bez napływu rąk do pracy. Te same państwa, których premierzy domagają się szybszej repatriacji przybyszów i uszczelnienia granic, równocześnie zastanawiają się, jak zachęcić kolejne setki tysięcy obcokrajowców do przyjazdu i pracy w kluczowych branżach.



Imigranci na Lampedusie, wrzesień 2023 r.

Co więcej, społeczeństwa Europy starzeją się, a na kontynencie błyskawicznie maleje współczynnik dzietności. UE postanowiła jednocześnie otworzyć swoje granice dla uchodźców z Ukrainy i zamknąć je przed osobami innych narodowości. I na tym paradoksy i sprzeczności kontynentalnej polityki się nie kończą. Europa jest w temacie migracji rozdarta.

Wiza za kasę

Trudno o lepszy przykład europejskiej hipokryzji w sprawie migracji niż nasza ojczyzna. Liderzy PiS do ostatniej minuty kampanii straszili, że Donald Tusk otworzy granice i zrobi z Polski „drugą Lampedusę”. Hasło „Stop Tuskowi, stop relokacji” wybrzmiewało w spotach wyborczych. A przejęta przez władzę Telewizja Polska wysłała nawet korespondentów do Włoch i Francji, aby przekonywać o chaosie wywołanym przez migrantów i uchodźców.

Ten oczywiście sprowadziłby na Polaków Donald Tusk z rozkazu Niemiec, bo kogóż by innego.

W tym samym czasie jednak trwała już afera wizowa i Polacy dowiadawali się, że można do nas się dostać za łapówkę. Nie chodzi już nawet o słynne (i mityczne) stragany na bazarach, gdzie rzekomo handlowano wizami do UE. W rzeczywistości agencje pośrednictwa pracy (prowadzone nierzadko przez Ukraińców czy Gruzinów), duże firmy i prywatne uczelnie „sprywatyzowały” polską politykę migracyjną. Jedna tylko agencja potrafiła występować o pozwolenia na pracę dla tysięcy ludzi, którzy nigdy tej pracy nie podjęli. Duże firmy tysiącami ściągały robotników do kolejnych inwestycji.

Pracownikami z krajów pozaeuropejskich handlowano w Polsce jak towarem. I to dosłownie, na portalach można znaleźć bliźniaczo podobne ogłoszenia. „Mamy pracownika, tanio, dyspozycyjnie, gotowi do pracy po 10-12 godzin na dzień, ▶

► bierzemy na siebie formalności”. Albo: „Pracowników – spoza Europy: Nepal, Etiopia, Filipiny – dostarczymy”. Partnerami takich przedsięwzięć byli na miejscu najprawdopodobniej lokalni pośrednicy wizowi, którzy z kolei umożliwiali wyjazd i załatwiali formalności. Efekt? Po drodze wszyscy zarabiali i wszyscy byli zadowoleni.

Szybko staliśmy się zatem liderem w wydawaniu wiz i pozwoleń na pracę w UE. „W ciągu trzech ostatnich lat Polska ściągnęła blisko 2 mln nowych pracowników spoza UE. Według danych Eurostatu w 2020 r. wydała 600 tys. wiz pracowniczych dla cudzoziemców na 2,2 mln przyznanych łącznie we wszystkich krajach Unii Europejskiej, rok później już ponad 790 tys. Dla porównania Niemcy zaledwie ponad 18 tys., Czechy – 41 tys., a Włochy – 50 tys.”, pisała w szczycie afery „Rzeczpospolita”. „Czy to możliwe, żeby Polska, dwa razy mniejsza od Niemiec, potrzebowała tylu migrantów zarobkowych?”, pytali autorzy tekstu.

Odpowiedź brzmi: oczywiście nie. Ale taka sytuacja opłacała się i biznesowi, i rządzącym.

„W Polsce sferę migracji podporządkowano rynkowi pracy. Sprowadza się to do tego, że mamy bardzo liberalne zasady, jeśli chodzi o wjazd do kraju i podjęcie zatrudnienia. Natomiast niezwykle trudno tu pozostać na dłużej (...). Ciekawe, że w zasadzie nie ma pogłębionych analiz prezentowanych przez instytucje publiczne, które pokazywałyby w sposób rzetelny i oparty na dobrych danych, dlaczego Polska potrzebuje imigrantów na rynku pracy, jakich, w jakiej perspektywie, jakie są tego konsekwencje – i pozytywne, i negatywne. Tych analiz nie ma, ale zapotrzebowanie na migrantów jak najbardziej istnieje”, tłumaczył na łamach PRZEGLĄDU (nr 39/2023) prof. UW Paweł Kaczmarczyk, zapytany, czym jest „prywatyzacja migracji”. „Polska wydaje pozwolenia na pracę i zgadza się na ściągnięcie pracowników, również milcząc przyjmując założenie, że oni tu przyjadą, popracują i wyjadą. Choć dla większości powinno być oczywiste, że nie wszyscy wyjadą”, dodawał.

I przynajmniej część istotnie nie wyjedzie. Już dziś dysproporcja między pracującymi w Polsce obcokrajowcami a zarejestrowanymi w ZUS jest duża. PiS, nic sobie nie robiąc z tych faktów, do końca przekonywało, że jest partią mówiącą twarde „nie” migracji. Państwowa telewizja gotowa była zresztą przegrywać procesy za kłamliwe i napastliwe materiały o migrantach, jak w głośnej sprawie materiału „Wiadomości” o prezydencie Gdańska Pawle Adamowiczu i jego Radzie ds. Imigrantów. Tymczasem za rządów PiS, jak policzył portal Demagog.pl, „liczba pozwoleń na pracę dla osób z Azji i Afryki wzrosła z 9282 w 2015 r. do 244 915 w roku 2022, czyli o 3924%”.

Poza kontrolą

Choć przypadek Polski może się wydawać najjaskrawszy, to wcale nie jest wyjątkowy. W ostatni weekend listopada brytyjskie Home Office, czyli ministerstwo spraw wewnętrznych, podało aktualne i poprawione dane dotyczące migracji do Zjednoczonego Królestwa. Wielka Brytania pobiła rekord migracji netto – przyjazdy do kraju minus wyjazdy – dwukrotnie w ciągu jednego roku. Już bowiem pierwsze szacunki, mówiące o ponad 600 tys. migrantów, były rekordowe. A faktyczna liczba jest jeszcze wyższa i migracja netto do UK przekroczyła 745 tys. osób w 2022 r.

Była już szefowa tego resortu Suella Braverman grzmiała o „policzku wymierzonym wszystkim Brytyjczykom, którzy głosowali za kontrolą i ograniczeniem migracji”. Jak gdyby to nie jej rząd był u władzy, a ona nie zajmowała ministerialnego stanowiska w rekordowym roku. Premier Rishi Sunak ma problem, i to poważny – Braverman nie myli się przecież, gdy mówi, że Brytyjczycy głosowali za ograniczeniem migracji. Jednak kraj po odpływie pracowników z kontynentalnej Europy musi łątać dziury przybyszami spoza kontynentu, szczególnie w zawodach medycznych. W ostatnich latach obywatele Unii Europejskiej częściej opuszczają Zjednoczone Królestwo, niż do niego

przyjeżdżają. Za to obywatele krajów spoza Unii – przeciwnie. Część to uchodźcy z Ukrainy, Afganistanu czy Hongkongu, ale jeszcze więcej przybyszów to pracujący i studiujący w UK wraz z rodzinami. Według szacunków jest ich sześciokrotnie więcej (ok. 69% ogółu) niż azylantów. Uniwersytety przyciągają rzesze studentów, a lobby biznesowe naciska, aby nie ograniczać utalentowanym ludziom szans w UK. Pracowników nadal brakuje w ochronie zdrowia, opiece i rolnictwie.

Paradoksalnie grupa wywołująca najwięcej kontrowersji, czyli migranci i uchodźcy przedostający się do Wielkiej Brytanii z Europy kontynentalnej przez morze, to ok. 5% wszystkich, 45 tys. osób. Rząd próbuje więc zonglować kilkoma sprawami. Konserwatyści chcą deportować migrantów do Rwandy (zabronił im tego Sąd Najwyższy), ale także ograniczyć napływ pracowników i podnieść wymogi dotyczące ich zatrudniania oraz ściągnięcia do Wielkiej Brytanii rodzin. Krytycy już zauważają, że pomysły te pozwolą ograniczyć wyłącznie migrację legalną, zwiększą zarazem presję na rynek pracy i odbiją się negatywnie na jakości usług świadczonych przez placówki medyczne. Związki zawodowe działające w branży medycznej i opiece też nie chcą większych restrykcji. Społeczeństwo jest zaś podzielone.

Dziś kraje Europy mają dwa problemy – z migrantami i poszukującymi azylu.

Badania mówią, że migracja jako temat znów zyskuje znaczenie: 21% obywateli uważa ją za najważniejszą sprawę w polityce (sondaż Ipsos), 52% domaga się jej ograniczenia (Kantar). Jednak dzisiejsze poziomy niechęci wobec migracji nie mogą się równać z tymi w latach poprzedzających brexit. Wtedy ok. 70% badanych domagało się redukcji migracji, a ponad połowa wyborców wskazywała w 2015 r. imigrację jako temat najważniejszy, zostawiając inne kwestie daleko w tyle.

Wielka Brytania nie jest w swoim rozkroku sama. Podobny problem stoi przed Giorgią Meloni. Z jednej

strony, polityczka ta kojarzona jest z postawą antyimigrancką. Dobiła targu z Albanią, gdzie mają powstać dwa centra przetrzymywania migrantów, dokąd kierowane będą osoby uratowane/ujęte na morzu przez włoskie służby. Plan zakłada, że w Albanii sprawdzane będą ich wnioski azylowe, a w razie odmowy ludzie ci nie dostaną się do Włoch. Centra mają „obsłużyć” nawet 36 tys. migrantów

spada, gdy trzeba się nim podzielić z obcokrajowcami. W Polsce wyraźnie zyskała na tym Konfederacja.

„Można zaryzykować twierdzenie, że wojna w Ukrainie spowszedniała, a Polacy, wchodząc w kryzys inflacji, postrzegani w badaniach jako obecnie dominujący, aktywują strategię adaptacyjną opartą na mechanizmie »amoralnego familizmu«. Zabezpieczamy własne interesy

Trudno o lepszy przykład europejskiej hipokryzji w sprawie migracji i granic niż nasza ojczyzna.

rocznie. Jednak, podobnie jak w przypadku Wielkiej Brytanii, rezultaty mogą być dalekie od oczekiwań. Jak pisała Agencja Reutera, dotychczas Włochom udaje się odsyłać maksymalnie 4 tys. osób rocznie. Jednocześnie kolejne tamtejsze samorządy i instytucje publiczne straszą, że bez nowych pracowników z zagranicy nie uda im się zrealizować inwestycji przewidzianych w planie odbudowy po covidzie. „Brakuje architektów, budowlanców, inżynierów, specjalistów”, skarżą się w „Financial Timesie”. W zeszłym roku wydano 85 tys. pozwoleń na pracę, czyli jedną trzecią liczby, o którą wnioskowano.

Czyje zyski, czyje koszty?

Wojna w Ukrainie na pewien czas zmieniła postrzeganie kwestii migracji i azylu w Europie. Uchodźca przestał się kojarzyć z młodym mężczyzną forsującym zasięki graniczne, a zaczął z ukraińską matką opuszczającą z dzieckiem ojczyznę i przyjmowaną bez zbędnej zwłoki w jednym z państw europejskich. Ten entuzjazm szybko ustąpił miejsca obawom, choćby w Polsce. Jak pisałem w tekście „Koniec sielanki” już w kwietniu 2023 r., „obawy przed banderyzmem czy ukraińskim nacjonalizmem szybko ustąpiły lękom o sprawy materialne, (...) o to, że kolejka po podstawowe dobra – takie jak mieszkanie, szkoła czy ochrona zdrowia – się wydłuża”. Pojawiło się zjawisko nazywane przez badaczy szowinizmem socjalnym. To znaczy, że poparcie dla państwa dobrobytu

i zasoby. (...) Pojawia się myślenie: dlaczego mamy się dzielić z obcymi tym, czego dla nas nie starcza? Dzisiaj, kiedy w Polsce zamieszkało ok. 2,5 mln uchodźców z Ukrainy, uruchamia się nasz grupowy egoizm w wymiarze rodzinnym i narodowym”, tłumaczyła mi to zjawisko prof. Barbara Pasamonik z Akademii Pedagogiki Specjalnej w Warszawie (PRZEGLĄD nr 31/2023).

I w tym sensie nie jesteśmy odosobnieni. Na fali obaw i zmęczenia migracją w różnych wymiarach rośnie w siłę niemiecka AfD, a w Holandii antyimigrancki populistą Geert Wilders i jego partia zdobyli najwięcej głosów w wyborach. Obawy i zniechęcenie mają często lokalne przyczyny: w Holandii to ceny mieszkań, w Szwecji przemoc na ulicach i gangi, w Niemczech widmo przywleczzonego przez imigrantów antysemityzmu. Konserwatywni komentatorzy dodają, że propalestyńskie demonstracje przelały czarę goryczy. Islamizm i zagrożenie ze strony muzułmanów to wygodna rama pojęciowa, szczególnie w obliczu wojny w Izraelu i Strefie Gazy. Jednak napięcia na tle gospodarczym i kulturowym rosną w Europie już wcześniej, a obawy związane z migracją (czy niechęć do europejskich polityk migracyjnych) wyrażane są także w krajach, które nie mają u siebie muzułmańskiej mniejszości czy tym bardziej gett. Migracja generuje realne koszty, które w społeczeństwie rozdzielane są nierówno: najmniej konkurencji ze strony migrantów boją się wykształceni i zaможni mieszkańcy miast, najbardziej

– osoby z prowincji. Polska jest doskonałym przykładem kraju, w którym nawet bez konfliktu kulturowego i przymusu – Polacy sami przecież chcieli przyjąć uchodźców z Ukrainy – migracja rodzi napięcia i tworzy presję na system usług publicznych. Mówiąc bardziej wprost, napędza zyski rentierom i winduje ceny mieszkań, a wydłuża kolejki do szkół czy lekarza. Korzyści z migracji wędrują w górę drabiny społecznej, koszty spychane są w dół.

To z jednej strony zrozumiały konflikt klasowy. Część pracujących Europejczyków obawia się taniej konkurencji, zaniżania płac, wypierania ich z rynku, kolejek po mieszkania i wizytę u lekarza. Z drugiej strony ci sami Europejczycy coraz rzadziej decydują się na dzieci. Współczynnik dzietności spadł od 2015 r. we Francji z 1,96 dziecka na parę do 1,68; w Szwecji – z 1,85 do 1,42; w Niemczech z kolei – z 1,50 do 1,42. Wszyscy – a już z całą pewnością w Polsce – chcieliby również utrzymania obecnego poziomu konsumpcji: tanich produktów na półkach, usług i wygody, która możliwa jest dzięki gwarantowanym przez migrantów niskim kosztom pracy. Przy okazji dokładają się oni do polskiego systemu emerytalnego. Nie można mieć jednak wszystkiego naraz. A mało kto zna odpowiedź na pytanie, jak utrzymać państwo socjalne, system emerytalny i odbudować gospodarkę po pandemii na kontynencie, gdzie rodzić się i pracować będzie coraz mniej ludzi.

Europa więc z jednej strony imigrantów nie chce. Z drugiej wciąż nie umie bez nich się obyć.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



Ponad prawem

Czy były wiceszef
polskiego więziennictwa
uniknie odpowiedzialności
za zabicie kobiety?

Andrzej Sikorski

4 listopada 2019 r. w Kozienicach (woj. mazowieckie) płk Artur Dziadosz, zastępca dyrektora generalnego Służby Więziennej, jadąc pół raka 3, potrafił na oznakowanym przejściu dla pieszych 69-letnią kobietę, która po przewiezieniu do szpitala zmarła w wyniku „urazu wielonarządowego”.

Kompletny materiał dowodowy

Śledztwo w sprawie wypadku wszczęła Prokuratura Rejonowa w Kozienicach. W ciągu pół roku zebrano kompletny materiał dowodowy, m.in. nagranie z monitoringu z miejsca wypadku, przesłuchano wszystkich świadków, poddano oględzinom samochód pod kątem stanu technicznego, zbadano trzeźwość kierowcy (był trzeźwy), zabezpieczono billingi jego telefonu komórkowego, przeprowadzono sekcję zwłok ofiary, a także uzyskano dwie opinie biegłych z zakresu rekonstrukcji

Śmiertelne potrącenie kobiety na pasach w Kozienicach wydarzyło się cztery lata temu. Kierującemu pojazdem płk. Dziadoszowi do dziś nie postawiono zarzutów.

wypadków, w tym jedną wykonaną przez podległy Ministerstwu Sprawiedliwości krakowski Instytut Ekspertyz Sądowych im. prof. Jana Sehna.

Wydawać by się mogło, że prokuratura bez zbędnej zwłoki skieruje do sądu akt oskarżenia przeciwko Dziadoszowi. Zgodnie z Kodeksem karnym za nieumyślne spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym grozi kara od sześciu miesięcy

do ośmiu lat pozbawienia wolności oraz zakaz prowadzenia pojazdów mechanicznych nawet na 15 lat.

Żołnierz Zbigniewa Ziobry

Tak się nie stało. Śledztwo zostało najpierw przejęte przez Prokuraturę Okręgową w Radomiu, a następnie przekazane do Prokuratury Okręgowej w Lublinie. Zdecydował o tym prokurator regionalny w Lublinie Jerzy Ziarkiewicz, o którym mówi się, że jest wiernym żołnierzem ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry. To ten prokurator nadzoruje najbardziej polityczne śledztwa, m.in. w sprawie Romana Giertycha w związku z naciągana (jak wiele wskazuje) aferą spółki Polnord, z której adwokat miał wyprowadzić kilkadziesiąt milionów złotych. „On służy władzy. Ale z tym, czy to jest PiS, to

bym polemizował. Moim zdaniem on przede wszystkim służy Ziobrze”, ocenił Ziarkiewicz w rozmowie z „Gazetą Wyborczą” jeden z prokuratorów.

„Postępowanie, przekazane Prokuraturze Okręgowej w Lublinie, pozostaje w osobistym zainteresowaniu Prokuratora Regionalnego w Lublinie, ze względu na wagę czynu, wyznaczoną skutkiem i objęte jest zwierzchnim nadzorem służbowym.



Płk Artur Dziadosz jest uważany za człowieka Zbigniewa Ziobry.

W konsekwencji, w celu zwiększenia efektywności czynności nadzoru, postępowanie zostało przeniesione z Prokuratury Okręgowej w Radomiu do Prokuratury Okręgowej w Lublinie – to oficjalne stanowisko, jakie dostałem z Prokuratury Regionalnej w Lublinie.

W 2019 r. wedle danych Komendy Głównej Policji na przejściach dla pieszych doszło do 3696 wypadków, w których zginęło 250 osób, ale tylko śledztwo, w którym przewija się nazwisko Artura Dziadosza, zostało „objęte zwierzchnim nadzorem służbowym” tak wpływowego prokuratora.

Brak podstaw do przedstawienia zarzutów

W lutym 2022 r. Prokuratura Okręgowa w Lublinie otrzymała trzecią opinię z zakresu rekonstrukcji wypadków. Już po tym akta sprawy trafiły do Prokuratury Regionalnej w Lublinie, gdzie utknęły na kilka miesięcy. Od czasu uzyskania trzeciej opinii minęły dokładnie 22 miesiące, ponad cztery lata od tragicznego

wypadku, a prokuratura nadal nie podjęła decyzji o skierowaniu aktu oskarżenia do sądu.

Prokurator Agnieszka Kępka, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Lublinie: „Informuję, że w sprawie zaistniałego w dniu 4 listopada 2019 r. w Kozienicach (...) wypadku drogowego (...) trwają dodatkowe czynności. Przedmiotowe śledztwo znajduje się na etapie analizy zgromadzonego w sprawie materiału dowodowego pod kątem jego kompletności, a w szczególności oceny spójności i zupełności zgromadzonych w sprawie opinii z zakresu badania wypadków drogowych. W 2023 r. w niniejszym śledztwie zrealizowano szereg czynności w postaci przesłuchań świadków i uzyskano kilka opinii biegłych. W niniejszej sprawie uzyskano następujące opinie odnoszące się do przyczyn i okoliczności zaistniałego wypadku drogowego: 4 zasadnicze pisemne opinie oraz 4 uzupełniające pisemne opinie. Zgromadzony materiał dowodowy w tym śledztwie nie dał podstaw do przedstawienia zarzutów”.

Dziwne zdarzenia i wątpliwości

Zapytałem prokurator Kępkę, czy płk. Dziadoszowi na czas trwania śledztwa zostało zatrzymane prawo jazdy. Pani prokurator odpisała, że nie dostała takiej informacji, i dodała: „Ale wydaje mi się, że nie”. Obiecała potwierdzić to jeszcze u prokuratora prowadzącego sprawę. Do momentu publikacji nie otrzymałem odpowiedzi. Jeśli rzeczywiście tak by było, mielibyśmy do czynienia z kolejnym podejrzanym zdarzeniem. Za spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym policja niemal zawsze zatrzymuje kierowcy prawo jazdy i wysyła stosowny wniosek do prokuratora.

Według moich informacji Artur Dziadosz nie trafi na tawę oskarżonych. Prokuratura będzie jeszcze przeciągać sprawę, aż uzna, że nie można mu przypisać odpowiedzialności za śmiertelne potrącenie emerytki. Był zmrok, padał deszcz, przejście dla pieszych, choć oznaczone, nie było dostatecznie dobrze oświetlone, a kobieta ubrana była na ciemno. Nie zachowała należytej

ostrożności i wtargnęła pod nadjeżdżający samochód. Kierujący, choć jechał z przepisową prędkością, nie miał szans na wyhamowanie. Wyjątkowo pechowy przypadek... Chociaż są też wątpliwości. Zanim kobieta weszła na pasy, przepuściła kilka pojazdów, więc Dziadosz powinien ją

Śledztwo przechodziło z jednej prokuratury do drugiej, aż trafiło do Prokuratury Okręgowej w Lublinie. Tak zdecydował prokurator regionalny w Lublinie Jerzy Ziarkiewicz, nadzorujący najbardziej polityczne sprawy.

zauważyć i się zatrzymać. Być może tego nie zrobił, bo korzystał z telefonu komórkowego. Z analizy billingów wynika, że w momencie wypadku na jego telefonie była uruchomiona transmisja danych, co oznacza, że Dziadosz mógł korzystać z nawigacji samochodowej, słuchać muzyki lub przeglądać Facebooka. Nigdy tego się nie dowiemy, bo podobno telefon zaginął.

Pomocna dłoń ministra sprawiedliwości

Cała sprawa wygląda tak, jakby Zbigniew Ziobro od początku wiedział, jaki będzie jej finał. Dziadosz po śmiertelnym potrąceniu kobiety nie został zawieszony, nie poszedł nawet na urlop. Normalnie pracował jako wiceszef Służby Więziennej. Dwa miesiące po wypadku w towarzystwie wiceministra sprawiedliwości Michała Wójcika pojawił się w Sejmie na posiedzeniu Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka, gdzie przedstawiał postom sukcesy w resocjalizowaniu bandytów.

Sprawą zainteresował się poseł Michał Szczerba (PO), który w zapytaniu skierowanym do ministra Ziobry napisał m.in.: „Płk Artur Dziadosz – jakby nigdy nic – pełni swoje obowiązki służbowe jako zastępca Dyrektora Generalnego Służby Więziennej, uczestniczy w posiedzeniach komisji sejmowych w towarzystwie przełożonych z kierownictwa resortu sprawiedliwości. Ma stały i bezpośredni służbowy kontakt z Ministrem Sprawiedliwości, który jest jednocześnie Prokuratorem

Generalnym i zwierzchnikiem prokuratorów nadzorującym ww. śledztwo (w sprawie wypadku – przyp. A.S.). Warto przypomnieć, że zastępcę Dyrektora Generalnego Służby Więziennej mianuje i zwalnia ze stanowiska Minister Sprawiedliwości na wniosek Dyrektora Generalnego”.

W lutym 2021 r. Dziadosz porzucił mundur i poszedł na zasłużoną emeryturę. Ziobro jednak wyciągnął do niego pomocną dłoń i mianował go dyrektorem Mazowieckiej Instytucji Gospodarki Budżetowej Mazovia w Warszawie, która podlega Ministerstwu Sprawiedliwości. Mazovia ma oddziały w całej Polsce, zatrudnia ponad tysiąc osób, w tym kilkuset więźniów. Zajmuje się m.in. usługami budowlanymi, produkcją mebli, szyciem ubrań, produkcją i sprzedażą drewna, wyszynkiem, naprawą samochodów, a nawet działalnością kulturalno-oświatową. Od kiedy do władzy doszło PiS, na czele Mazovii zawsze stali ludzie związani z partią Ziobry. ■



Agenci KGB, plan B, partia Moskwy, gra Kulikowa

Czego nie wiemy o stanie wojennym?

Robert Walenciak

Jak na Polskę czasów pierwszej Solidarności patrzyła Moskwa? Czego chcieli Leonid Breżniew i jego współpracownicy? Gdzie byli lokowani ludzie Moskwy? Historia lat 1980-1981 zawiera sporo niewyjaśnionych, istotnych spraw. A można odnieść wrażenie, że nikogo to nie interesuje. Że polscy historycy i publicyści, pisząc o stanie wojennym, koncentrują się na dwóch kwestiach: cierpieniach ludzi Solidarności i winach gen. Jaruzelskiego. Tymczasem materiałów wymagających analizy nie brakuje. Wskazuje je chociażby prof. Inieśsa Jaźborowska*, już nieżyjąca rosyjska historyczka, szanowana i ceniona. Oto kilka tropów, które podrzuca.

1. Komisja Susłowa

Już 25 sierpnia 1980 r., pięć dni przed porozumieniami sierpniowymi, Biuro Polityczne KC KPZR zaniepokojone sytuacją w Polsce utworzyło specjalną, ściśle tajną komisję ds. polskich. Kierował nią członek Biura Politycznego, sekretarz Komitetu Centralnego Michaił A. Susłow. W skład tzw. komisji Susłowa (po jego śmierci w 1982 r. na czele stanął Michaił Gorbaczow) wchodził m.in. Andriej Gromyko, Jurij Andropow, Dmitrij Ustinow i Konstantin Czernienko.

Do zadań komisji należało obserwowanie sytuacji oraz opracowywanie zaleceń w sprawie środków niezbędnych do tego, by utrzymać Polskę w Układzie Warszawskim.

Co znamienne, pierwszymi działaniami komisji Susłowa były plany wprowadzenia wojsk radzieckich do Polski, w celu stłumienia

„kontrewolucji”. Już 28 sierpnia Susłow, Gromyko, Andropow, Ustinow i Czernienko skierowali do Breżniewa notatkę z prośbą o postawienie następnego dnia w stan pełnej gotowości bojowej trzech dywizji pancernych i jednej dywizji strzelców zmotoryzowanych „na wypadek udzielenia pomocy wojskowej PRL”.

Postulowali również powołanie z rezerwy 100 tys. żołnierzy podlegających obowiązkowi służby wojskowej i wydanie z zapasów państwowych 15 tys. samochodów. W wypadku dalszego zaostrzenia się sytuacji proponowali dokompletowa-

wprowadzanie do niezależnych związków zawodowych »swoich« ludzi, wykorzystywanie do wywierania nacisku na polskie kierownictwo, na Solidarność i na całe polskie społeczeństwo zarówno obecności wojsk radzieckich na terytorium polskim, jak i koncentracji oddziałów wojskowych na granicy radziecko-polskiej oraz rozsiewanie pogłosek o ich wprowadzeniu do PRL”.

Zatrzymajmy się przez chwilę nad tym fragmentem. Otóż Jaźborowska podaje, że jedną z metod Kremla było wprowadzanie do Solidarności „swoich” ludzi. Czyli agentów.

Historia lat 1980-1981 zawiera sporo niewyjaśnionych spraw. Materiałów do analizy nie brakuje. Wskazuje je prof. Inieśsa Jaźborowska, już nieżyjąca historyczka rosyjska.

nie dywizji z kilku okręgów, a jeśli by doszło do wystąpienia „głównych sił Wojska Polskiego” po stronie „kontrewolucji” – zwiększenie zgrupowania jeszcze o pięć-siedem dywizji.

2. Agenci KGB w Solidarności

Politykę ZSRR wobec Polski w latach 1980-1981 Jaźborowska charakteryzuje tak: „Kierownictwo radzieckie niejednokrotnie rozpatrywało wariant bezpośredniego wykorzystania potęgi wojskowo-politycznej Związku Radzieckiego. (...) Równocześnie jednak wzrastała waga argumentów przeciwko wykorzystaniu dodatkowych jednostek wojsk radzieckich w celu dokonania zmian w Polsce. (...) W Moskwie zaczęto się opowiadać za rozładowaniem konfliktu i przywróceniem »przewodniej i kierowniczej roli« partii-państwa przez samych Polaków. Służyło temu dyskredytowanie liderów opozycji,

Trudno przypuszczać, by napisała to niechcący, nie mając pochodzących z wiarygodnego źródła informacji. Mamy więc pewien ślad, że KGB kierowało do Solidarności swoich agentów lub werbowało takowych w nowym związku.

Czy coś takiego jest możliwe? Kilka poszlak na to wskazuje. Po pierwsze, po Sierpniu 1980 r. skokowo zwiększyła się obsada kadrowa konsulatu ZSRR w Gdańsku. Kadrowo „spuchła” również ambasada w Warszawie. W jakim celu, możemy tylko się domyślać. Po drugie, także w „Archiwum Mitrochina” możemy przeczytać o agentach KGB kierowanych do Solidarności, a konkretnie o rosyjskich nielegalach, których kierowano do Polski, by zdobywali informacje o Solidarności.

Ciekawy ślad znajdziemy też w zeznaniach gen. Jana Łazarczyka, w latach 1980-1991 szefa



Ścisłe tajną komisją KC KPZR ds. polskich kierowań członków Biura Politycznego, sekretarz Komitetu Centralnego Michaił A. Susłow (nz. z prawej na obchodach urodzin Leonida Breżniewa, Moskwa, 18-19 grudnia 1981 r.).

Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego w Katowicach, złożonych przed sesją Komisją Odpowiedzialności Konstytucyjnej. Otóż, charakteryzując sytuację na Śląsku zaraz po ogłoszeniu stanu wojennego, w pewnym momencie mówi on: „Panowała atmosfera strajków, a żądania były bezsensowne. W nieszczęsnej kopalni Wujek do ostatniej chwili domagał się zniesienia stanu wojennego. Mnóstwo nierealnych żądań. Wydaje mi się, że niekiedy były one inspirowane. Na pewno strajk w Hucie Katowice był inspirowany przez obywatela radzieckiego. Milicja mogła go aresztować, ale nie bardzo chciała wkroczyć, bo doprowadziłoby to do zadrżnienia stosunków ze stroną radziecką. Przekazywali konsulowi ostrzeżenia. On był motorem tego strajku”. W innych relacjach ta osoba jest przedstawiana jako agent KGB.

3. Solidarność musi zginąć

Jaką rolę mogli odgrywać agenci ZSRR? Czego od nich oczekiwano?

A czego chciało kierownictwo ZSRR? Jak wynika z ujawnionych materiałów, w sprawie Polski miało ono jeden cel: Solidarność miała zostać rozbita. Politykę PZPR Moskwa oceniała jako ustępstwo na rzecz

kontrrewolucji. A podpisanie porozumień z Solidarnością jako legalizację „opozycji antysocjalistycznej”. Biuro Polityczne KPZR nie dopuszczało możliwości funkcjonowania niezależnego związku zawodowego. Doskonale to widać w materiałach z prac komisji Susłowa. O jednym z nich, z lutego 1981 r., pisze Jaźborowska: „W połowie lutego komisja do spraw polskich Biura Politycznego KPZR zaaprobowwała program umocnienia socjalizmu w Polsce dzięki

Pierwszymi działaniami komisji Susłowa były plany wprowadzenia wojsk radzieckich do Polski w celu stłumienia „kontrrewolucji”.

takim posunięciem politycznym jak likwidacja »przeżytków kapitalizmu«, kolektywizacja wsi, zatwierdzenie gospodarki planowej, przekierowanie międzynarodowych stosunków gospodarczych Polski na ZSRR, ograniczenie działalności Kościoła katolickiego, rozbięcie opozycji politycznej i kształtowanie »inteligencji socjalistycznej«. Pierwszoplanowym zadaniem było oczyszczenie partii z rewizjonistów i oportunistów, ze zwolenników kompromisu z Solidarnością, a także dokonanie »głębokiej reformy« PZPR”.

Kreml z największym niezadowolaniem przyjmował to, że władza porozumiewała się z Solidarnością. Miało być twardo, twardo i jeszcze raz twardo. Breżniew był wściekły, gdy doszło do podpisania porozumień bydgoskich. Kreml miał wówczas nadzieję, że dojdzie do konfrontacji. Z niezadowolaniem przyjęto też spotkanie Jaruzelski-Wałęsa-Glemp i próbę porozumienia.

Te reakcje pokazują ówczesną politykę Kremla wobec Polski – wszystko, co oddalało możliwość koegzystencji PZPR i Solidarności, co wzmacniało konflikt, było dobre. Można zatem łatwo się domyślić, jakie zadania otrzymywali jego ludzie ulokowani w aparacie władzy i w Solidarności.

4. Plan B

Gdy czyta się materiały, które zostały ujawnione, zwłaszcza stenogram z posiedzenia Biura Politycznego KC KPZR z 10 grudnia w sprawie Polski, rzuca się w oczy jedno – oni zażarcie dyskutują, żeby nie wprowadzać wojsk do Polski, tylko nie wiadomo z kim ani nie wiadomo dla czego – skoro są podobnego zdania.

Wyjaśnienie tej dziwnej z pozoru sytuacji znajdziemy u Jaźborowskiej. Píše ona, że 11 listopada Michaił Susłow wystąpił na plenum KC KPZR z tajnym referatem o sytuacji w Polsce. Zaprezentował w nim dwa warianty rozwoju sytuacji. Pierwszy to wariant A, czyli wprowadzenie stanu

wojennego przez gen. Jaruzelskiego. Ale był także wariant B, przygotowany w strukturach siłowych i w aparacie KC KPZR. Zakładał on, że w »wypadku narastania anarchii w Polsce władzę powinny przejąć przy wsparciu wojsk radzieckich w tym kraju »zdrowe siły« w PZPR”.

Czyli kto? Tu dotykamy najdelikatniejszej kwestii – łatwo bowiem rzucać dziś nazwiskami, mówić, kto do partii Moskwy wówczas należał, a kto nie. A przecież nikt nie wie, jak poszczególni ludzie zachowaliby się w godzinie próby.

► Plan B był realną opcją Krem-la, do końca gotową do realizacji. „Grupa robocza komisji Susłowa omawiała wariant (sporządzono stosowne opracowanie) wprowadzenia przez Polaków dyktatury wojskowo-politycznej z generałem lub bez niego, powiedzmy – kolektywnej junty – pisze Jazborowskaja. – Byli też wyznaczeni radzieccy wojskowi bezpośrednio odpowiedzialni za internowanie gen. Jaruzelskiego i innych polskich liderów”.

Jazborowskaja podaje, że jedną z metod Kremla było wprowadzanie do Solidarności „swoich” ludzi. Czyli agentów.

Plan B co najmniej do 10 grudnia, do posiedzenia Biura Politycznego KPZR, był na stole. Tylko że ta opcja była politycznie dużo droższa i ryzykowna. Wojskowi nie dawali gwarancji, jak zachowa się polska armia. Przestrzegał przed tym Ustinow. Andropow i Gromyko przestrzegali, że realizacja planu wywoła ostrą reakcję Zachodu, sankcje gospodarcze i uderzy mocno w ZSRR. Ale nie brakowało, zarówno w ZSRR, jak i w Polsce, jego zwolenników.

5. Partia interwencji

Zacznijmy od tych, na których Kreml mógł liczyć w Polsce. Susłow mówił w wystąpieniu „o gotowości grupy siłowników, z gen. Mieczysławem Moczarem na czele, do prze-forsowania odejścia Jaruzelskiego i zastąpienia go bardziej zdecydowanym zwolennikiem zdławienia opozycji”.

Andropow wspominał parokrotnie o gen. Mirostawie Milewskim, byłym ministrze spraw wewnętrznych (poprzedniku gen. Kiszczaka), członku Biura Politycznego KC PZPR, który dostarczał mu najświeższych informacji z Warszawy. Rosjanie liczyli również na gen. Włodzimierza Sawczuka oraz gen. Eugeniusza Molczyka, na Tadeusza Grabskiego (był kandydatem radzieckich na I sekretarza KC PZPR w czerwcu 1981 r., podczas XI Plenum KC PZPR), Andrzeja Żabińskiego, no i przede wszystkim na Stefana Olszowskiego.

To on od jesieni 1981 r. w wewnętrznych dyskusjach na Kremlu był typowany na I sekretarza KC PZPR. Wspominał o nim podczas posiedzenia Biura Politycznego KC KPZR 10 grudnia Konstantin Rusakow, odpowiedzialny za kontakty z bratnimi partiami, reprezentant kremlowskich „jastrzębi” – że „ostatnio przemawia bardziej stanowczo”.

O tym, że istniała w Polsce grupa wpływowych towarzyszy zorientowanych na rosyjską interwencję,

świadczą jeszcze inne informacje. Choćby zapis z kontrowersyjnego zeszytu gen. Anoszkina, ówczesnego adiutanta marsz. Kulikowa, głównodowodzącego wojsk Układu Warszawskiego. Otóż tego samego 10 grudnia, już po posiedzeniu Biura Politycznego KPZR, według informacji ambasadora radzieckiego Borysa Aristowa Mirostaw Milewski (były minister spraw wewnętrznych, a w tym czasie członek Biura Politycznego i sekretarz KC PZPR), powołując się na Jaruzelskiego, zwrócił się telefonicznie z prośbą o stanowisko Moskwy, zadając pytanie: „Czy możemy liczyć na pomoc po linii wojskowej ze strony ZSRR?”.

Odpowiedź przyszła od Rusakowa: „Nie będziemy wprowadzać wojsk”. Zapisując to, zrozpaczony Anoszkin zanotował na boku kartki:

O agentach KGB, a konkretnie o rosyjskich nielegalach, których wysyłano do Polski, by zdobywali informacje o Solidarności, możemy przeczytać w „Archiwum Mitrochina”.

„To dla nas straszna nowina! Przez półtora roku paplanina o wprowadzeniu wojsk – wszystko odpadło”.

Co interesujące, na podstawie tego zapisu wytoczono oskarżenie przeciwko Jaruzelskiemu, że chciał wprowadzenia do Polski radzieckich wojsk.

Tymczasem, jeżeli uwzględnimy kontekst wydarzenia, sprawa wygląda zupełnie inaczej. Zacznijmy od nazwisk. Pierwsza rzecz, która rzuca

się w oczy, to człowiek, który pyta – Mirostaw Milewski.

W tamtym czasie Milewski należał do przeciwników politycznych Jaruzelskiego. Zaliczano go też do partii Moskwy. Jaruzelski nieprzypadkowo zdjął go w lipcu 1981 r. ze stanowiska szefa MSW, zastępując Czesławem Kiszczakiem. Jaruzelski musiałby więc upaść na głowę, żeby Milewskiemu zlecać taką sprawę. Tym bardziej że zadzwonił na Kreml mógł sam, bez pośrednictwa ambasady ZSRR w Warszawie, i pytać kogo chce i o co chce. Jeżeli więc Milewski pytał o wprowadzenie wojsk radzieckich, to tylko w swoim imieniu, ewentualnie grupy ważnych działaczy tego wejścia oczekujących.

6. Partia interwencji (II)

Czyli kogo? W „Archiwum Mitrochina” jest interesujący zapis. Sprawozdanie datowane na 11 grudnia, podpisane wspólnie przez ambasadora ZSRR w Warszawie Borisa Aristowa, głównodowodzącego wojsk Układu Warszawskiego marsz. Wiktora Kulikowa i szefa rezydentury KGB w Warszawie płk. Witalija Pawłowa, przeznaczone dla Biura Politycznego. Czytamy w nim: „W obliczu skłonności W. Jaruzelskiego do wahań i powątpiewania nie możemy wykluczyć możliwości, że ugnie się pod naciskiem episkopatu i innych sił, nie podejmie ostatecznej decyzji i będzie nadal kroczył drogą ustępstw i porozumień. W obecnej sytuacji postępowanie takie może okazać się fatalne w skutkach”.

Trzej najważniejsi ludzie Kremla w Warszawie wspólnie napisali do swojego Biura Politycznego pismo, w którym de facto kontestują wcześniejszą decyzję tego Biura! I podpowiadają – tym razem kanclerzami Pawłowa – że „jeśli Jaruzelski załamie się psychicznie, to Olszowski jest gotów zrobić zamach stanu, ale pod warunkiem że otrzyma poparcie Moskwy. Przygotowany przez

Olszowskiego plan przewidywał natychmiastowe aresztowanie kierownictwa Solidarności, wprowadzenie zakazu strajków i demonstracji, skonfiskowanie plonów chłopom i bliską współpracę gospodarczą ze Związkiem Radzieckim”.

Oto mamy więc dwie grupy – w Polsce i w ZSRR – grające na interwencję. I grały one na nią do końca! Bo plan B, mimo że 10 grudnia odłożony na półkę, był gotów do realizacji. Jest zresztą cała masa relacji radzieckich wojskowych, z których wynika, że w grudniu 1981 r. stali pod bronią.

Pisze o tym Jazborowska: „Generał Wiktor P. Dubynin udzielił w początkach lat 90. wywiadu Rudolfowi Borieckiemu. Powiedział

Polski. Do zadań oddziałów Aczałowa należało zajęcie Warszawy i Łodzi, w tym głównych punktów strategicznych (m.in. siedzib KC PZPR, Sejmu, NBP, Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Ministerstwa Obrony Narodowej), a także internowanie gen. Jaruzelskiego i innych przywódców państwa oraz dowódców armii. (...) O gotowości do wprowadzenia wojsk radzieckich do Polski w listopadzie-grudniu 1981 r. świadczą również relacje wyższych oficerów z innych okręgów wojskowych, m.in. generałów Władimira W. Dudnika i Dmitrija S. Suchorukowa oraz pułkowników Wiktora I. Ałksnisa, I. Kaczogurnego i W. Konowałowa”.

Kreml z największym niezadowoleniem przyjmował to, że władza porozumiewała się z Solidarnością. Miało być twardo, twardo i jeszcze raz twardo.

m.in. »W 1981 r. planowano, że jeśli kierownictwo polskie nie poczyni zdecydowanych kroków w celu utrzymania stabilności ustroju i zaprowadzenia porządku w kraju, to należy zastosować nawet środki wojskowe(...)«. Dubynin dowodził w 1981 r. rozmieszczoną koło Mińska dywizją pancerną i uczestniczył w przygotowaniach do wprowadzenia czołgów do rejonu na południe od Warszawy: »Znałem zadania, wiedziałem, gdzie powinienem wkroczyć, znałem wszystkie miejscowości, które planowano zająć«. W 1992 r. opublikował w prasie artykuł, w którym napisał, że w końcu listopada 1981 r. wojska radzieckie były przygotowane do wejścia do Polski 14 grudnia, jeżeli plany wprowadzenia stanu wojennego »nie zadziałają«. Potwierdza to również w książce »Ja skażę wam prawdę« (Opowiem wam prawdę) wiceminister obrony ZSRR gen. Władisław J. Aczałow. W latach 80. jako młody dowódca wojsk powietrznodesantowych trenował w trakcie ćwiczeń operacyjno-strategicznym »Zapad 81« m.in. zmasowany desant na tyły przeciwnika na wypadek wprowadzenia wojsk na terytorium

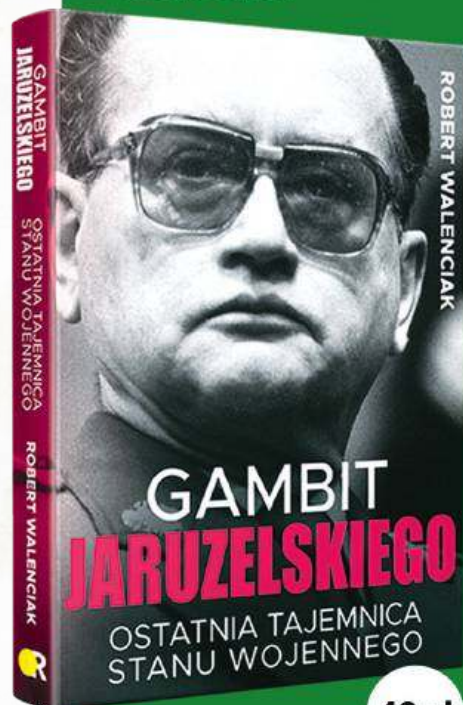
Jest też grupa ważnych postaci z kręgów władzy ZSRR, pracujących do realizacji planu B. Są to Rusakow, Aristow, Pawłow, a przede wszystkim głównodowodzący sił Układu Warszawskiego marsz. Kulikow. To oni najczęściej mówią o szalejącej kontrewolucji, o tym, że Jaruzelski się skończył i że Polacy sami proszą o interwencję. A jeżeli proszą – to będzie łatwa i szybka...

Dodajmy do tego jeszcze jeden element – otóż to Kulikow miał być najprawdopodobniej dowódcą wojsk inwazyjnych, które miały wkroczyć do Polski. Przyjechał zatem 7 grudnia do Warszawy nie po to, by obserwować stan wojenny, ale by dowodzić interwencją. Dopiero w takim kontekście możemy czytać zeszyt Anoszkina i jego rozpacz, że tyle przygotowań na nic.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

* *Stan wojenny a kierownictwo ZSRR, w: Białe plamy, czarne plamy. Sprawy trudne w relacjach polsko-rosyjskich (1918-2008)*, pod redakcją Adama D. Rotfelda i Anatolija W. Torkunowa, PISM 2010.

PREZENT POD CHOINKĘ Książka z autografem autora



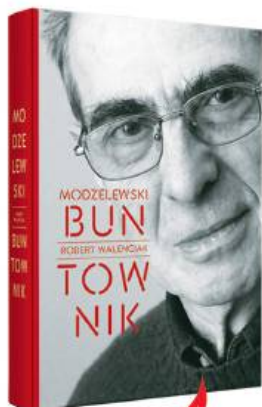
49 zł

Kto szuka prawdy, znajdzie ją u Walenciaka

Zamów książkę
na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem
nierejestrowanym Poczta Polska.

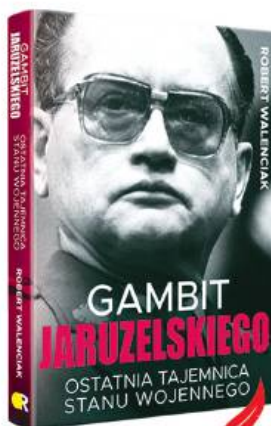
OSTATNIA CHWILA NA PREZENTY!

CZŁOWIEK, KTÓRY
NIGDY NIE ZDRADZIŁ
SOLIDARNOŚCI



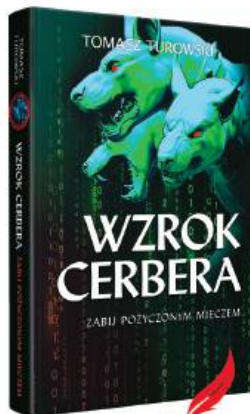
55 zł
~~65 zł~~

OSTATNIA TAJEMNICA
STANU WOJENNEGO



49 zł

ZABIJ POŻYCZONYM MIECZEM
– SERIA POWIEŚCI SENSACYJNYCH
TOMASZA TUROWSKIEGO

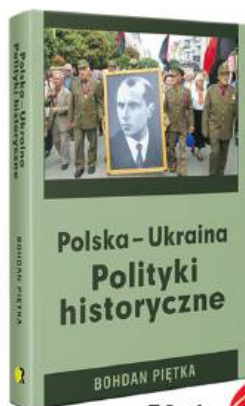


38 zł



39 zł

 **DODATKOWY PREZENT – AUTOGRAF!**



50 zł

KULT BANDERY
I SZUCHEWYCZA.
POLSKO-UKRAIŃSKI
SPÓR O HISTORIĘ



TOM I
78 zł



TOM II
79 zł

Pakiet 140 zł ~~157 zł~~

KTO MOŻE LEPIEJ ZNAĆ
PRZESZŁOŚĆ NIŻ ŚWIADEK
HISTORII, KTÓRY
JĄ WSPÓŁTWORZYŁ



42 zł

WARSZAWA,
JAKIEJ NIE ZNACIE!

- * STRAJKI
- * POLICYJNE PAŁKI
- * STARCIA GANGÓW



**2 + 1
GRATIS**

Przy zakupie
2 dowolnych książek
„Bezkarni zabójcy
Basi Binder”
W PREZENCIE

Promocja ważna do 31.12.2023 r.
lub do wyczerpania zapasów.

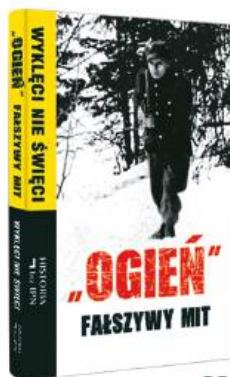


Pora na dobre książki PRZEGLĄDU



36 zł
~~44 zł~~

KTO ROBI
Z BANDYTÓW
ŚWIĘTYCH?



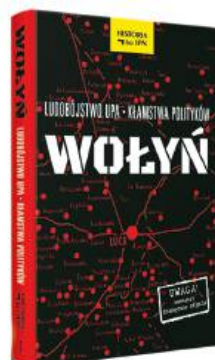
38 zł
~~46 zł~~

PRZECZYTAJ,
JAK BYŁO
NAPRAWDĘ



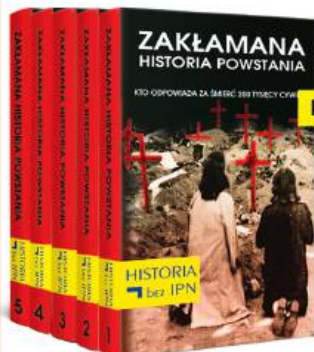
37 zł
~~47 zł~~

WIELKI KOMPLEKS
OBOZU SOLIDARNOŚCI.
CIĄGLE WALCZY Z PRL,
KTÓREJ NIE MA
JUŻ OD ROKU 1989



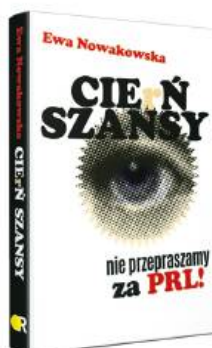
44 zł

OFIARY
RZEZI UPA
I REHABILITACJA
ZBRODNIARZY



Pakiet 140 zł ~~210 zł~~

IM DALEJ
OD POWSTANIA
WARSZAWSKIEGO,
TYM MNIEJ
PRAWDY



38 zł
~~48 zł~~

OD PRL DO III RP
OCZAMI ZNAJĘJ
DZIENNIKARKI
EWY NOWAKOWSKIEJ



31 zł
~~41 zł~~

PRZEKONAŁ CARA
I ZREFORMOWAŁ
GOSPODARKĘ



Tom I
75 zł

Tom II
76 zł

Tom III
77 zł

Pakiet 190 zł ~~228 zł~~

LEKTURA OBOWIĄZKOWA
DLA KAŻDEGO INTELIGENTA



19 zł
~~35 zł~~

PASJONUJĄCA
KSIĄŻKA O JEDNYM
Z NAJBARDZIEJ
KONTROWERSYJNYCH
POLITYKÓW EUROPY

Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, Orlen Paczka +11,00 zł, paczkomat InPost +13,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

Gwarancją dostawy przed świętami jest wybór przesyłki kurierskiej (z podaniem numeru telefonu), złożenie i opłacenie zamówienia do 15 grudnia!

Więcej informacji – tel.: 22 635 84 10 wew. 111, e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl



Nie ma już bezpiecznych miejsc

Gdy zawieszenie broni zostało zerwane,
Izrael rozszerzył operację na południową część Strefy Gazy



Wiec propalestyński na Uniwersytecie Columbia, 12 października 2023 r.

Jakub Katulski

Krótko udało się utrzymać zawieszenie broni między Izraelem a Hamasem. Gdy trwał rozejm, codziennie dochodziło do wymiany zakładników, ale już od 1 grudnia izraelskie samoloty i artyleria zaczęły ponownie bombardować Strefę Gazy, po tym jak według Izraela Hamas złamał ustalenia dotyczące przerwy w walkach. Po kolejnym tygodniu izraelscy przywódcy ogłosili też, że rozszerzają działania, i żołnierze Sił Obrony Izraela wkroczyli do południowej części tego skrawka ziemi. Tym samym sytuacja cywilów stała się o wiele trudniejsza, choć już wcześniej organizacje humanitarne biły na alarm.

Dzisiaj w Strefie Gazy trudno znaleźć miejsce nieobjęte działaniami zbrojnymi. Jak podaje UNRWA, agencja Narodów Zjednoczonych ds. pomocy uchodźcom palestyńskim, prawie 1,9 mln, czyli ponad

85% mieszkańców Gazy zostało wysiedlonych od 7 października. Dodatkowo według informacji ministerstwa zdrowia w Gazie zabitych zostało ponad 16 tys. osób, a 1,2 tys. mieszkańców Izraela zginęło w ataku Hamasu 7 października, od którego zaczęła się eskalacja konfliktu (dane na 7 grudnia).

4 grudnia komunikat o sytuacji humanitarnej na obszarze objętym walkami wydała Lynn Hastings, koordynatorka ONZ ds. pomocy humanitarnej na terytoriach palestyńskich, podkreślając, że system Narodów Zjednoczonych i organizacje pozarządowe nie będą w stanie poradzić sobie z pogłębiającym się kryzysem. „Ciągłe kurczy się” bowiem przestrzeń, w której dozwolona jest reakcja humanitarna. Dwie główne drogi biegnące wzdłuż całej Strefy Gazy są zamknięte dla ciężarówek dystrybuujących niezbędne towary, co utrudnia udzielanie pomocy. Hastings wezwała też do umożliwienia dostaw

do Gazy produktów z sektora komercyjnego, który musi zaopatrzyć sklepy i targowiska. Bez tego się nie obejdzie, gdyż wsparcie docierające do Strefy ciężarówkami jest kroplą w morzu potrzeb.

Izraelscy przywódcy nie chcą się zgodzić na zakończenie działań zbrojnych, tłumacząc, że operacja będzie trwała aż do osiągnięcia wszystkich jej celów, czyli całkowitej likwidacji możliwości operacyjnych Hamasu i uwolnienia 138 zakładników pozostałych w Gazie. Presja Stanów Zjednoczonych, głównego sojusznika Tel Awiwu, sprawiła jednak, że Izrael zgodził się na wpuszczenie do Gazy dostaw paliwa, potrzebnego do zasilania agregatów prądotwórczych. Dzięki nim mogą działać szpitale, w których także gromadzą się wysiedleni mieszkańcy. Obecnie do Strefy Gazy wwożonych jest 69 tys. litrów paliwa dziennie, ale dostawy mają wzrosnąć do 120 tys. Czyli i tak będą niewiele większe niż te, które przekraczały granicę podczas wcześniejszego zawieszenia broni. Decyzja o zezwoleniu na takie dostawy spotkała się z krytyką ministrów Itamara Ben Gwira i Becalela Smotricza, liderów wchodzącej w skład rządu skrajnie prawicowej frakcji Religijnych Syjonistów. Popart ich były premier Naftali Bennett.

Ben Gwir, który wcześniej domagał się, by premier Netanjahu przyjął go do wąskiego „gabinetu wojennego” podejmującego kluczowe decyzje w czasie konfliktu, od pewnego czasu głośno wyraża niezadowolenie z jego działań. Przekonuje, że paliwo będzie wykorzystywane przede wszystkim przez Hamas do nasilenia działań przeciw Izraelowi. Tak samo ocenił sytuację Naftali Bennett, podkreślając, że to straszliwy błąd. Decyzji o zwiększeniu dostaw paliwa bronił natomiast Ron Dermer, minister spraw strategicznych, obserwator w gabinecie wojennym.

Jego zdaniem konieczne jest dalsze pozyskiwanie wsparcia Stanów Zjednoczonych, co dziś nie jest oczywiste i bezwarunkowe, zwłaszcza w obliczu presji wywieranej przez Waszyngton.

Trudno jednak podejrzewać, że Amerykanie przestaliby wspierać Izrael, nawet jeśli dziś opinia publiczna jest w dużej mierze propalestyńska lub przynajmniej rozdarta wewnątrz. Widać to choćby w tym, jak różne opinie o konflikcie wyrażają znane amerykańskie instytucje. Podczas wysłuchania w Izbie Reprezentantów prezydenci Uniwersytetu Harvarda, MIT i Uniwersytetu Pensylwanii pytani byli o antysemickie incydenty na uczelniach podczas propalestyńskich demonstracji organizowanych przez studentów czy po prostu na korytarzach uczelni.

Uniwersytetu Harvarda mające zapobiegać nękanu i zastraszaniu, odparła, że przepisy są „bardzo precyzyjne” i ocena tego wymagałaby przyjrzenia się poszczególnym przypadkom.

Republikański lider większości w Izbie Reprezentantów, dołączając do żądań odwołania kierownictwa prestiżowych uczelni, napisał w oświadczeniu: „Obrzydliwe jest to, że prezydenci Harvardu, MIT i UPenn odmówili powiedzenia, że »wzywanie do ludobójstwa Żydów« jest uważane za nękanie i zastraszanie. Postawmy sprawę jasno: jest. To nie powinno być trudne do powiedzenia dla prezydentów uczelni”.

O ile na uczelniach wciąż nie widać zmian, o tyle w Izbie Reprezentantów 6 grudnia przegłosowano

Antónia Guterresa, sekretarza generalnego ONZ.

W środę, 6 grudnia, Guterres powołał się na art. 99 Karty Narodów Zjednoczonych, który umożliwia mu zwrócenie uwagi na kwestie mogące zagrażać porządkowi międzynarodowemu. Zdaniem sekretarza generalnego obecna eskalacja konfliktu może zwiększać inne zagrożenia. Z Guterresem nie zgadzają się izraelscy politycy, w tym minister spraw zagranicznych Eli Kohen, który zaznaczył wręcz, że to „kadencja Guterresa stanowi zagrożenie dla międzynarodowego pokoju”, a powołanie się na art. 99 w obecnej sytuacji jest poparciem dla działań Hamasu.

Izraelczycy z pewnością liczą na to, że w Radzie Bezpieczeństwa ONZ Amerykanie wykorzystają prawo weta i zablokują ewentualną rezolucję nakazującą wprowadzenie trwałego zawieszenia broni. Poparcie dla Izraela wyrażane przez

Izbę Reprezentantów zdaje się sygnałem, że rzeczywiście izraelscy przywódcy mogą się tego spodziewać i nie będą musieli wycofać się w najbliższym czasie ze Strefy Gazy.

Kłopotliwe może być jednak zablokowanie przez republikańskich senatorów ustawy mającej przyznać Izbie Reprezentantów 110 mld dol. w ramach wydatków nadzwyczajnych. Największym beneficjentem pakietu jest Ukraina, która miała otrzymać 60 mld, ale drugi z kolei Izrael miał dostać dodatkowe 10 mld. Na izraelskiej scenie politycznej wielkiego poruszenia zablokowaniem tej ustawy nie widać, gdyż pakiet miał stanowić dodatkową pomoc, podczas gdy Izraelczycy i tak ciągle otrzymują wsparcie strategiczne i polityczne. W o wiele gorszej sytuacji jest Ukraina, wciąż walcząca z Rosją, czy Gaza, która również miała otrzymać część środków z tego pakietu. Republikańskie oczekują, że demokraci wyasygnują dodatkowe środki na zabezpieczenie południowej granicy USA. Dopóki ten warunek nie zostanie spełniony, planują blokować kolejne kwoty przeznaczane na pomoc międzynarodową.

W Strefie Gazy trudno znaleźć miejsce nieobjęte działaniami zbrojnymi.

Od początku obecnej eskalacji konfliktu izraelsko-palestyńskiego Departament Edukacji Stanów Zjednoczonych otworzył kilka śledztw w sprawie takich zdarzeń na uniwersytetach, w koledżach i szkołach niższych poziomów.

Republikańska członkini Izby Reprezentantów Elise Stefanik przekonywała we wtorek, 5 grudnia, że wezwania do intifady (dla Palestyńczyków termin ten oznacza powstanie) mogą być uważane za podżeganie do ludobójstwa na Żydach, i pytała, czy uczelnie mają zamiar podejmować kroki dyscyplinarne przeciwko studentom podburzającym do intifady lub propagującym hasło „Od rzeki do morza”.

Claudine Gay z Uniwersytetu Harvarda broniła wolności słowa studentów, podkreślając: „Przyjmujemy zobowiązanie do swobodnego wyrażania poglądów, nawet tych budzących sprzeciw, obraźliwych i nienawistnych”. Te słowa oburzyły społeczność żydowską w USA i poskutkowały apelami o odwołanie prezydentów uczelni, tym bardziej że Claudine Gay, pytana, czy „wezwania do dokonania ludobójstwa na Żydach” łamią przepisy

proponowaną przez republikańców rezolucję, która stwierdza, że antysyjonizm jest formą antysemityzmu. Za przyjęciem tej rezolucji, będącej raczej gestem symbolicznym, gdyż nie jest ona prawnie wiążąca, głosowano w ponadpartyjnym porozumieniu – sprzeciwiło się tylko 14 członków Izby, w tym znane z głośnej krytyki izraelskich działań Ilhan Omar, Rashida Tlaib (której rodzice byli palestyńskimi imigrantami) czy Alexandria Ocasio-Cortez. Dołączył do nich jeden republikanin, Thomas Massie, który na portalu X (dawnym Twitterze) opublikował mem sugerujący, że dzisiaj Kongres zajmuje się obroną syjonizmu, a nie amerykańskim patriotyzmem.

Tak gorąca debata jest jednak także sygnałem dla Izraela, mogącym uspokoić jego przywódców – amerykański Kongres nie jest zainteresowany jasnym poparciem dla Palestyńczyków ani zmianą priorytetów. To o tyle istotne, że Rada Bezpieczeństwa ONZ wciąż nie wydała żadnej rezolucji nakazującej wprowadzenie trwałego zawieszenia broni między walczącymi stronami, mimo wezwań liderów społeczności międzynarodowej, w tym samego

Ci, którzy zostaną

A co, jeśli masowa migracja okaże się większym problemem dla Afryki niż dla Europy?



Mateusz Mazzini

Każdy kraj afrykański boryka się z niedoborem personelu medycznego. Roczne straty dla gospodarki całego kontynentu wynikające tylko z odpływu wykształconych tu lekarzy sięgają 2 mld dol.

Wybory do Parlamentu Europejskiego w ostatnich latach nie przyciągały specjalnie uwagi mediów, bo też temperatura dyskusji wokół szeroko pojętych tematów europejskich nie była wysoka. Kiedy po raz ostatni Europejczycy szli do urn, by wybierać swoich przedstawicieli w tej raczej enigmatycznej dla przeciętnego obywatela instytucji, układ sił wydawał się tu mniej więcej stabilny. Kraje o słabszej architekturze demokratycznej, takie jak Polska czy Węgry, padły ofiarą narodowego populizmu, którego liderzy betonowali

swoje systemy. Gdzie indziej jednak słońce liberalnej demokracji świeciło w pełni – Emmanuel Macron obronił się przed brunatną falą pod przewodnictwem Marine Le Pen, w Hiszpanii nie dojrzał jeszcze Vox, w Holandii i Niemczech rządy sprawowali liderzy z doświadczeniem i poczuciem misji, narodowi i europejscy zarazem.

Pięć lat później na kontynencie panuje dużo większy chaos, drgania rozchodzą się we wszystkich kierunkach. Wprawdzie w Polsce udało się posadzić antyeuropejski rząd na ławce rezerwowych, ale to

nie oznacza, że PiS całkowicie wypadło poza obręb polskiej czy nawet międzynarodowej polityki. Pedro Sánchez obronił w Hiszpanii bastion progresywizmu, ale za cenę sporego i zapewne trwałego uszczerbku dla porządku konstytucyjnego. Mniej radykalne od spodziewanych okazały się zapędy Giorgii Meloni, za to w Holandii niedawne wybory parlamentarne wygrało ugrupowanie Geerta Wildersa, a rządy Kiriakosa Mitsotakisa w Grecji czy prawicowej koalicji z Ulfem Kristerssonem jako szwedzkim premierem dalekie są od

ideałów europejskiego liberalizmu. Europejska polityka wygląda jak gra o sumie zerowej.

Zadławiona biurokracja

W takich warunkach trudno o zniuansowane rozwiązania, szczegółową debatę, a zwłaszcza o ponadnarodowe decyzje, popierane przez całą Wspólnotę. Teoretycznie cała unijna polityka powinna tak być prowadzona, w praktyce wiadomo, że Unię cechuje potężna asymetria i większe kraje od początku jej istnienia dyktują kurs reszcie. Tym razem jednak potrzeba twardo wykutego kompromisu będzie jeszcze większa, bo wiele wskazuje, że przyszłoroczne czerwcowe wybory do Parlamentu Europejskiego przyjmą kształt referendum, a pytaniem na karcie będzie stosunek do migracji.

To już przestał być temat, który obchodzi jedynie część krajów, a dla innych, w tym Polski, jest wyłącznie ćwiczeniem intelektualnym, punktem retorycznym w debacie. Kiedy w 2015 r. południe Europy stawiało się

będzie kontynentem stratnym w całym tym zamieszaniu? Co, jeśli bilans zysków i strat będzie korzystniejszy dla nas?

Na początku 2023 r. rząd Niemiec ogłosił ważną zmianę paradygmatu w swojej polityce migracyjnej i choć kanclerz Olaf Scholz nie nazywa jeszcze rzeczy po imieniu, Berlin odchodzi – zdaje się, że na dobre – od *Willkommenspolitik*. Nie tylko dlatego, że zmieniają się nastroje społeczne i rośnie poparcie dla AfD, ale również z powodu niedoborów w zasobach, także ludzkich. Niemiecka biurokracja dławi się liczbą wniosków o azyl, procesowaniem dokumentów, organizacją kursów językowych, a i tak ciągle wszystkiego jest za mało.

Selekcja

Dlatego po raz pierwszy w historii duży kraj europejski zamierza wprowadzić migracyjny outsourcing na innym kontynencie. W pięciu afrykańskich państwach: Ghanie, Maroku, Tunezji, Egipcie i Nigerii,

Po raz pierwszy w historii duży kraj europejski zamierza wprowadzić migracyjny outsourcing na innym kontynencie – w Afryce.

areną ludzkich tragedii i napędzanych nimi przepychanek politycznych, dla reszty kontynentu był to problem natury etycznej, moralnej, ale rzadko politycznej. Dzisiaj luksusu debatowania o migracji w czysto abstrakcyjnej formie nie ma już nikt. Do Lesbos, Lampedusy i Wysp Kanaryjskich dołączyły Białowieża i fińska granica z Rosją. Wokół migracji jest dużo krzyku, ale jakoś nikt nie wysuwa konstruktywnych propozycji rozwiązania tej kwestii na poziomie unijnym. Kraje szarpią się indywidualnie, szukają rozwiązań bilateralnych, zapominając, że migracja nie tylko dokądś zmierza, ale przede wszystkim skądś się wywodzi.

Rzadko kiedy w zachodnich dyskusjach migracyjnych pojawia się ten wątek, jakby chodziło o kij z jednym końcem. Co my z tego będziemy mieć, jak to wpłynie na nasze społeczeństwa, czy u nas napędzi to radykalizm. A co, jeśli to nie Europa

mają powstać „centra zatrudnienia, migracji i rozwoju”, pozwalające wychwycić migrantów z kwalifikacjami, których niemiecka gospodarka pilnie potrzebuje, od tych, którzy stanowiąliby zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego albo zwyczajnie nie wnoszą ekonomicznej wartości dodanej. W takich punktach osoby chcące przenieść się na stałe do Niemiec musiałyby dosłownie udowodnić, że w Europie się przydadzą. Wymagane są dyplomy studiów i dokumenty potwierdzające co najmniej roczne zatrudnienie w jednej ze specjalności wytypowanych przez niemieckie ministerstwo rozwoju. Jeśli weryfikacja zakończy się pozytywnie, procedura wizowa zostanie maksymalnie skrócona, a niemieckie służby na miejscu nie będą już różnicować kryteriów zatrudnienia dla Niemców, obywateli innych krajów UE oraz nowych migrantów.

Nie ma jeszcze zbyt wielu szczegółów funkcjonowania tych placówek, zwłaszcza dotyczących ewentualnej obecności w nich niemieckich urzędników, w dodatku przeszkodą w realizacji planu może się okazać 17-miliardowa dziura w budżecie federalnym, powstała w wyniku odrzucenia przez Trybunał Konstytucyjny uzasadnienia decyzji o przesunięciu środków przeznaczonych na walkę z pandemią do obszaru inwestycji w zieloną transformację energetyczną. Jeśli jednak Niemcom uda się przerzucić obciążenia biurokratyczne związane z migracją na kraje afrykańskie, jednocześnie wysyłając sygnał: potrzebujemy was, ale pokażcie kwity, Europa naprawdę obudzi się w nowej rzeczywistości politycznej.

Z Afryki już dochodzą głosy, że to prosty sposób na drenaż mózgow w krajach, w których powstaną te centra. I nie tylko w nich, bo niemiecka reforma, którą z dumą ogłaszają Scholz i minister spraw zagranicznych Annalena Baerbock, umożliwi ubieganie się o wizę w uproszczonej procedurze również obywatelom innych państw. W Berlinie mówią, że to rozwiązanie dające korzyści wszystkim zaangażowanym stronom – Niemcy zyskają wykwalifikowaną siłę roboczą,

a Ghańczycy, Marokańczycy czy Senegalczycy przestaną być narażeni na śmiertelnie niebezpieczną podróż przez Morze Śródziemne, działanie grup przemytniczych, gwałty, haracze, wymuszania i inne tragedie szlaku migracyjnego.

Dla Niemców to ostatni dzwonek na wprowadzenie tego typu rozwiązań. Sam Scholz, podpierając się wliczeniami ministerstwa rozwoju, mówi, że kraj potrzebuje rocznie 1,5 mln nowych pracowników z zagranicy, żeby zachować obecny poziom produktywności gospodarki. Co więcej, obowiązująca polityka wizowa jest nie do utrzymania, bo zaraz system zakorkuje się bezpowrotnie.

Pewne efekty scenariusza, w którym wyjazd do Europy staje się prostszy, da się w miarę rzetelnie przewidzieć, bo wielka migracja z 2015 r. dostarczyła mnóstwa danych na temat osób migrujących. ►

► Według AERC, Afrykańskiego Konsorcjum Badań Ekonomicznych, prawie jedna trzecia (32,9%) migrantów powyżej 25. roku życia, którzy wtedy trafili do krajów OECD, miała konkretne kwalifikacje zawodowe. Najwięcej w tej grupie było inżynierów i lekarzy – zwłaszcza ta druga grupa jest tu ważna, bo każdy kraj afrykański boryka się w tej chwili z niedoborem personelu medycznego. Fundacja im. Mo Ibrahima szacuje, że roczne straty dla całej kontynentalnej gospodarki wynikające tylko z wyjazdu wykształconych tu lekarzy sięgają aż 2 mld dol. Dokładnych statystyk na temat liczby medyków, którzy opuścili Afrykę, nie ma, ale szacunki mówią o ponad 100 tys. osób w ciągu ostatnich pięciu lat.

Revolucja demograficzna

Tyle, jeśli chodzi o perspektywę kontynentalną. Przyjrzyjmy się krajom, w których mają zostać otwarte niemieckie centra wizowe. 65% wszystkich lekarzy wykształconych w Egipcie już mieszka i pracuje za granicą, a 80% tych, którzy jeszcze

przeżywa kryzys finansowy, bo tradycyjni darczyńcy zajmują się własnymi problemami gospodarczymi.

Właściwie w każdym sektorze gospodarki sytuacja wygląda podobnie. Brakuje inżynierów, nauczycieli, prawników, kierowców, ale też wykształconej klasy politycznej, przywiązanej do standardów demokratycznych, odpornej na korupcję oraz na oferty autokratów i ich przedstawicieli, chociażby komfortowo zadowolonej w Afryce Grupy Wagnera. Global Centre for Climate Mobility (GCCM), ośrodek analityczny działający pod auspicjami Narodów Zjednoczonych, opublikował niedawno wyniki pionierskiego badania na temat planów migracyjnych ludności na kontynencie. Wynika z nich, że aż 45,5% wszystkich obywateli państw afrykańskich rozważa przeprowadzkę do innego kraju (niekoniecznie do Europy), a w grupie wiekowej 18-24 lata odsetek ten wynosi aż 52%. To ponad połowa grupy liczącej 178 mln osób.

GCCM przeprowadził symulacje rozwoju Afryki do 2050 r. w dwóch scenariuszach, w zależności od intensywności konfliktów zbrojnych,

że podobne do niemieckich plany reformy polityki migracyjnej zapowiadają Brytyjczycy, Holendrzy, Włosi i Hiszpanie.

Zanim będzie za późno

Efekty takiego exodusu dla Afryki będą katastrofalne i trzeba to napisać jako stwierdzenie, a nie tryb przypuszczający. Zastój gospodarczy, klęski humanitarne i epidemie będą występować częściej, tak samo konflikty zbrojne, wywołane wcale nie kwestiami ideologicznymi czy religijnymi, ale dostępem do zasobów naturalnych: przede wszystkim wody, pastwisk, obszarów rolnych. Globalne ocieplenie przyspieszy pustynnienie obszarów, chociażby w Sahelu, a tam już nastąpiła gigantyczna erozja demokracji, naznaczona krwią przelaną w wojskowych zamachach stanu. Te wszystkie czynniki zsumowane wywołają jeszcze większą migrację, której jednak nie uda się filtrować, tak jak chcą tego Niemcy i w gruncie rzeczy cała Europa. Coraz bardziej rozgrzana planeta przesunie obszary cywilizacji dalej na północ i południe, środkowy pas będzie po prostu niezamieszany.

Teoretycznie więc zyskać mogłyby te obszary w Afryce, które są w stanie zaofiarować lepsze warunki bytowe: RPA, Maroko, Egipt.

To państwa o rosnącym znaczeniu międzynarodowym, obecne na najważniejszych forach wielostronnej dyplomacji, lecz one zdają się nie dostrzegać potencjału migracyjnego. Problemem jest też dość powszechny wewnątrzafrykański rasizm, w wyniku którego np. migranci z Sudanu, Zimbabwe czy Kenii są w RPA często prześladowani i dyskryminowani, kraje Maghrebu mają ten sam problem z przybyszami z Afryki Subsaharyjskiej. Dlatego potrzeba natychmiast europejskiej, a może i globalnej redefinicji strategii migracyjnych, również pod względem norm prawa międzynarodowego i definicji uchodźcy. Za chwilę może być za późno już dla wszystkich.

W Ghanie, Maroku, Tunezji, Egipcie i Nigerii mają powstać „centra zatrudnienia, migracji i rozwoju”, by wychwycić migrantów z kwalifikacjami, których potrzebuje niemiecka gospodarka.

nie wyjechali, poważnie rozważa emigrację. Ghana straciła 3 tys. lekarzy, którzy w latach 2018-2021 przenieśli się do Wielkiej Brytanii, a Nigeria swój exodus zaliczyła w latach 2016-2018: 9 tys. absolwentów medycyny opuściło ją dla kariery w krajach anglosaskich, w tym w USA i Kanadzie (dane za amerykańskim think tankiem Wilson Center). W efekcie na Wyspach Brytyjskich co 10. osoba zatrudniona jako personel medyczny pochodzi z kraju afrykańskiego.

Niemcy chcą iść w tym samym kierunku, bo już teraz deficyt kadrowy w służbie zdrowia to 10 tys. wakatów. Tymczasem w takich miejscach jak Sierra Leone na 6 mln osób przypada 136 wykształconych lekarzy i dostęp do opieki medycznej utrzymuje się wyłącznie dzięki pomocy humanitarnej Zachodu. A i ta

postępującej degradacji środowiska i klimatu oraz sytuacji gospodarczej. Wynika z nich, że do 2050 r. kraj zamieszkania zmieni od 75 mln (scenariusz optymistyczny) do 113 mln (pessimistyczny) Afrykanów. Większość pozostanie na kontynencie, bo nie będzie miała zasobów materialnych, żeby dostać się do Europy, ani odpowiednich kwalifikacji, żeby Europa przyjęła ich legalnie.

Ale nawet jeśli przyjąć konserwatywny, kilkunastomilionowy scenariusz, oznaczałoby to demograficzną rewolucję dla Starego Kontynentu, a i dla samej Afryki. W tej chwili na innych kontynentach żyje 21,5 mln osób urodzonych w krajach afrykańskich, z czego ponad połowa (11 mln) w Europie. W ciągu najbliższego ćwierćwiecza niemal na pewno ta ostatnia liczba się podwoi, zwłaszcza

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Przypadkiem moje oko padło na pewien tekst w portalu Gazeta.pl. Przecierałem zdumione oczy – już czytałem go, czytałem! Ale kilkanaście lat temu. Mam coraz bardziej dojmujące wrażenie, że w ogóle czytam cały czas teksty, które już czytałem. W sumie w logice kapitalistycznych mediów to racjonalne – po co pisać nowe, jak już jest napisane? Recykling fraz wychodzi poza tym taniej i jest przygotowaniem gruntu do tego, że media będą tworzone przez AI (sztuczną inteligencję). Każdy redaktor i dziennikarz ze szkoły medialnej AI ma niebotyczne przewagi nad tradycyjnymi wyrobnikami słów: nie śpi, tylko spełnia nieosiągalne dotąd marzenie kapitalistów mediowych – zasługuje 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu; nigdy nie ma kaca, okresu, zwykłego obniżenia nastroju, kłopotów w domu, braku kasy. Nie korzysta z urlopów, nie bierze chorobowego, nie tyle nigdy nie chce podwyżki, ile po prostu kasę ma

naprawdę wciąż ludźmi?) jest 58-letni Wacław Kowalski, biznesmen i sportowiec, obecnie snajper ukraińskiej jednostki wywiadu SBU, który miał oddać (oddął, oddał) śmiertelny (tak uważa sam Wacław: „Nie ma szans, żeby przeżyć”) strzał z odległości 3800 m (*wot, tiochnika!*). Trzeba oddać sprawiedliwość autorowi notki, Eugeniuszowi Diaczkowowi, że przepisał on, chwilami potykając się o polszczyznę, artykuł z „The Wall Street Journal”. Można by uznać, że autor zakochał się w tej historii, w bohaterskim snajperze, jego cudownym karabinie (produkcji ukraińskiej) i jeszcze wspanialszym pocisku (produkcji ukraińskiej), który jest taki dłuugi: „Unikalny ukraiński nabój, który jest pociskiem 12,7 mm (.50 BMG) w ponownie skompresowanej łusce z naboju 14,5 mm (.114) używanego przez karabin maszynowy KPVT (wielkokalibrowy czołgowy karabin maszynowy Władimirowa). Nabój ma długość 16 cm” (pisownia oryginalna).

Pornografia snajperska

gdzieś, w jego świecie ona nie gra żadnej roli. To taki sam proces jak akumulowane doświadczenie Ubera, który wciąż korzysta z ludzkich kierowców tylko po to, żeby na podstawie zapisów i analiz setek milionów przejazdów przygotować do pracy pojazdy autonomiczne. Ci dzisiejsi kierowcy to takie mięso taksjarskie.

13 lat temu moje zdumienie (a wręcz, co trzeba przyznać ze wstydem pewnym, oburzenie) wywołał tekst, notka w tejże Gazecie.pl. Tekst informował o pewnym śmiertelnym strzale (tak naprawdę strzały były dwa) brytyjskiego snajpera do afgańskiego taliba podczas ówczesnej operacji w ramach wojny z terroryzmem. Sam strzał nie był powodem mojej gwałtownej reakcji – wiem, że żołnierze (a coraz częściej ich automatyczne sobowtóry, chodzące, jeżdżące, latające) strzelają do innych żołnierzy (w najlepszym wypadku) i takie zabijanie ludzi nazywa się fachowo „eliminacją celów”, podobnie jak w języku myśliwych nie istnieje słowo krew, ale wyłącznie „farba”. Poraził mnie język informacji o śmiertelności strzale żywcem przeniesiony z kolumn sportowych. Otóż ówczesne dwa strzały snajpera Craiga Harrisona (i w konsekwencji dwa martwe ciała) nazwano „rekordem świata”, a wynosił on 2475 m, chociaż komentujący to przedstawiciel producenta broni wyznał, że karabin ma skuteczną celność na poziomie 1600 m. Ale co potrafi zrobić dobry zawodnik, posługując się nawet marnym sprzętem...

I oto kilka dni temu czytam notkę jakby wyjętą z przeszłości: nowym rekordzistą świata w strzelaniu do ludzi (ale czy wszyscy ludzie, do których się strzela, są

No i ten rekord, rekord świata, porównanie z poprzednimi „rekordami”. 13 lat temu pytałem (chyba sam siebie), czy oprócz dziennikarzy ktoś wie, że bierze udział w jakiejś imprezie sportowej, biciu rekordów, konkurencji snajperów, którzy ścigają się, kto z dalszej pozycji zastrzeli człowieka. Czy są sędziowie na sali? Gdzie regulamin tej dyscypliny? Czy są kontrole antydopingowe? Kto potwierdza trafienie? Czy liczy się tylko martwy, czy wystarczy trafiony? A jak tylko trafiony, to czy ciężko, czy lekko? Kto bije brawo? Jak się rozlicza producent broni za rekord (świata!!!)?

Sportowcy biorą udział w wojnach, walczą, zabijają. Są wówczas jednak żołnierzami, a nie sportowcami. Jak to się dzieje, że taki tekst w swojej kuriozalnej militarności jest drukowalny, bo jego brutalizm jest już tak przezroczysty, niewidoczny, że redakcja go po prostu publikuje? Rosja wszystko tłumaczy? Wcześniej talibowie? Sprowadzanie wojennej kultury do sportowej zabawy jest czymś głęboko antyludzkim. Gdyby strzelali Rosjanie i tak się chwalili, mówiłbym to samo. Gdyby Polacy – także.

Wojna nie jest dyscypliną sportową, a żywiące się nią padlinożercze media winny znać miarę.

Za chwilę ktoś pomyśli: polskim piłkarzom jakoś się nie strzela, skoczkom się nie skacze, może rozkręmy transmisje snajperskie? I te komentarze: wiatr północno-wschodni, 7 m/s, lekka mżawka, bierze poprawkę, kręci śrubką, pięknie leci, leci tyle sekund, ach, opada, jak dokładnie! Trafia w czoło, płuco, trzewia! Wychodzi na prowadzenie!!! I premia za truposza. Koniec zawodów.

HENRY KISSINGER

i sztuka ograniczenia w polityce

Fundament realistycznego myślenia Kissingera to uprzytomnienie sobie granic swoich mocy sprawczych

Piotr Kimla

W wieku 100 lat zmarł Henry A. Kissinger, zwany niekiedy amerykańskim Bismarckiem. To jedna z najbardziej wpływowych figur w światowej polityce ubiegłego wieku. Jego oddziaływanie było odczuwalne również w obecnym stuleciu. Nie tylko za sprawą wielu ważnych książek, które opublikował, lecz także z uwagi na działania firmy doradczej Kissinger Associates. Czytelnicy PRZEGLĄDU doskonale wiedzą, że do końca był aktywny. Numer 42/2022 tygodnika stwarzał okazję do lektury wywiadu udzielonego przez byłego sekretarza stanu brytyjskiemu historykowi Andrew Robertowi. Pretekst do wywiadu stanowiła nowa, ciekawa książka Kissingera o przywództwie politycznym – „Leadership. Six Studies in World Strategy” (Przywództwo. Sześć studiów na temat światowej strategii). Z kolei 6 lutego 2023 r. na łamach PRZEGLĄDU ukazał się tekst „Jak uniknąć kolejnej wojny światowej?”, nawołujący do rozpoczęcia ukraińsko-rosyjskich rozmów pokojowych. Trzeba przyznać, że rozum polityczny i tym razem Kissingera nie zawiodł. Czyż sytuacja negocjacyjna nie była wtedy o niebo lepsza od dzisiejszego stanu rzeczy, gdy Ukraina ma za sobą nieudaną letnią ofensywę, a w perspektywie ciężką zimą, naznaczoną rosyjskimi atakami?

W związku ze śmiercią amerykańskiego dyplomaty pojawiło się dużo tekstów wspomnieniowych, podsumowujących dorobek i niezwykłą karierę tego żydowskiego emigranta



z Niemiec. Jak wiadomo, Kissinger emigrował, gdy kraj naszych sąsiadów został opanowany przez hitlerizm. Jego kariera w USA faktycznie była niezwykła. Należy on do wąskiego grona intelektualistów, którym powiodło się w polityce. O skali jego sukcesów świadczą medale i nagrody, z Pokojową Nagrodą Nobla na czele (razem z nim otrzymał ją północnowietnamski dyplomata Le Duc Tho) za wypracowanie pokoju w Wietnamie. Aczkolwiek humorysta Tom Lehrer stwierdził, że „satyra umarła w dniu, w którym Henry’emu Kissingerowi przyznano Pokojową Nagrodę Nobla. Ten fakt zamyka drogę do wypowiadania jakichkolwiek dalszych żartów”. Złośliwości sekretarzowi stanu nie szczędził też Joseph Heller, autor słynnego „Paragrafu 22”, który był zdania, że „Kissinger przyniósł pokój Wietnamowi w taki sam sposób, w jaki Napoleon dał pokój Europie: przegrywając”. Trzeba jednak jasno powiedzieć, że

ani Lehrer, ani Heller nie zaświadczyli swoimi dowcipnymi wypowiedziami o głębszym wyrobieniu politycznym.

Pomimo wielości artykułów wspomnieniowych można odnieść wrażenie, że sedno stanowiska Kissingera nie zostało jasno wyartykułowane lub wręcz w nich umyka. Jego filozofia polityczna jest być może zbyt subtelna, by dało się ją naprędce uchwycić. Domaga się poświęcenia większej ilości czasu na lekturę. Spędzenia w towarzystwie tego autora paru miesięcy życia. Mogę upewnić każdego, kto się tego podejmie, że nie dozna rozczarowania. Zamierzam wydobyć i przybliżyć fundament, na którym wspiera się Kissingerowskie myślenie o polityce. Ale wcześniej zastrzeżenie: nie twierdzę, że Kissinger na każdym kroku kariery politycznej pozostawał w zgodzie z wykładaną filozofią.

Po pierwsze, autor „Porządku światowego”, podobnie jak Max Weber, poszukiwał możliwości

zachowania ludzkiej podmiotowości w polityce w coraz bardziej biurokratyzowanym świecie. Przez podmiotowość rozumiem wolność decydowania i zdolność do ponoszenia odpowiedzialności za podjęte decyzje. Wiedzy na temat konfliktu między mężem stanu a zapleczem biurokratycznym Kissinger nie czerpał wyłącznie z historii polityki. Doświadczył go w praktyce. Zdaniem Alastaira Buchanana o napięciu wytwarzającym się pomiędzy mężem stanu a machiną biurokratyczną Kissinger napisał więcej niż jakikolwiek współczesny politolog.

Po drugie, dużo się mówi o postaciach Castlereagha i Metternicha jako źródłach inspiracji dla poczynąń Kissingera. Ma to oczywiście związek z jego dysertacją doktorską obronioną na Harvardzie i wydaną w formie książkowej pod tytułem „A World Restored. Metternich, Castlereagh and the Problems of Peace”. Odczuwam satysfakcję, bo za moją rekomendacją krakowski Universitas opublikował niedawno polski przekład „Świata przywróconego”. Warto na marginesie wspomnieć, że praca o Metternichu i Castlereaghu była intensywnie studiowana w ministerstwach spraw zagranicznych, gdy stało się jasne, że jej autor jest stojącym za prezydentem głównym architektem amerykańskiej polityki zagranicznej. Jednak to postać Ottona von Bismarcka

zimnej kalkulacji możliwości, jakie stoją przed sprawującym władzę mężem stanu.

Przykład polityki Bismarcka prowadzi do najistotniejszego punktu w filozofii politycznej Kissingera, mianowicie do jednej z najtrudniejszych politycznych sztuk, jaką jest sztuka ograniczenia. Opanować sztukę ograniczenia w polityce, to umieć przeciwstawić się ekspansywnej naturze władzy, opisywanej na wiele sposobów przez historyków, filozofów, politologów, a znajdującej wyraz w chińskim przysłowiu: „Kto znalazł

każdego ciężaru w zmaganiach o zagwarantowanie wolności na całym świecie. Okazało się, że – jak to ujęła Coral Bell – „chęć ponoszenia kosztów i ciężarów w przypadku amerykańskich wyborców nie jest większa niż w przypadku innych rozsądnych narodów”.

Dla amerykańskiej umysłowości Wietnam to potężny zastrzyk zwątpienia w wyjątkowość misji USA w świecie. Zwątpieniu temu dał wyraz „nadworny historyk demokratów” Arthur Schlesinger Jr.: „Z pewnością nadszedł czas, by

W lutym w PRZEGLĄDZIE ukazał się tekst Kissingera nawołujący do ukraińsko-rosyjskich rozmów pokojowych. Czyż sytuacja negocjacyjna Ukrainy nie była wtedy o niebo lepsza od dzisiejszej?

się na tygrysie, nie może po prostu z niego zsiąść”. Co istotne, postulaty umiarkowania i powściągliwości obecne są w pismach Kissingera od końca lat 40. minionego wieku, kiedy to w Stanach Zjednoczonych istniała silna wiara w trwałą przewagę i w zasadzie nieograniczone możliwości Ameryki. Wiara wypływająca m.in. z dominacji w zakresie broni jądrowej.

Nacechowana sceptycyzmem postawa teoretyczna autora „Dyplomacji” została wzmocniona przez okoliczności, w jakich wstępował on na scenę polityczną. Działo się to

Amerykanie – zbliżając się do 200. rocznicy narodzin narodu – porzucili dziecinne złudzenie, że Wszechmogący nakazał Stanom Zjednoczonym Ameryki odkupić grzeszny świat. (...) Nie ma ludów wybranych. Żaden naród nie jest święty ani wyjątkowy, amerykański czy jakiegokolwiek inny. Ameryka, jak każdy inny kraj, ma rzeczywiste i fikcyjne interesy, wznioste i samolubne cele, kieruje się honorowymi i plugawymi motywami”. W świetle powyższego bardziej zrozumiała staje się – dokonana za sprawą Kissingera – ewolucja amerykańskiej polityki ku *détente*.

Naturalnie prowadzić politykę odprężenia, w której kluczową rolę odgrywały negocjacje i kompromisy, osiągać w niej sukcesy, można jedynie wtedy, gdy gracze wznieśli się na wyższy poziom racjonalności, wynikający z uznania granic swojej mocy. W XIX w., kiedy polityka znajdowała się w rękach prawdziwych zawodowców i osiągnęła apogeum, granice swojej władzy uprzytomnili sobie Metternich i Castlereagh. Dlatego w dążeniu do realizacji swoich celów przedkładali dyplomację nad siłę. Tu bije źródło pochwał kierowanych pod ich adresem przez Kissingera. Przekonanie, że przywódcy, a za ich sprawą kierowane przez nich narody, winni rozpoznać własną ograniczoność, stanowi centralny

Przekonanie, że przywódcy, a za ich sprawą narody, winni rozpoznać własną ograniczoność, stanowi centralny punkt filozofii politycznej Kissingera.

i jego polityka miały być tematem dzieła życia Kissingera. Dzieła, którego nigdy nie napisał. Poprzestał na świetnym esej z tytułem „The White Revolutionary” (Biały rewolucjonista). Wedle Kissingera rewolucyjność żelaznego kanclerza zasadzała się na przeświadczeniu, że – wbrew stanowisku konserwatystów – hamulce czy samoograniczenie w polityce nie pojawiają się automatycznie z uwagi na szacunek dla tradycji i porządku, lecz są wynikiem

wówczas, gdy Stany Zjednoczone przeżyły swój „moment Machiavellego”, mówiąc językiem historyka J.G.A. Pococka. Moment, w którym każde państwo po raz pierwszy uświadamia sobie własne ograniczenia i własną skończoność. Sytuacja w Wietnamie u schyłku lat 60. i na początku 70. dobitnie pokazała, że Ameryka – wbrew słowom prezydenta Johna F. Kennedy’ego z orędzia inauguracyjnego z 1961 r. – nie zapłaci każdej ceny i nie poniesie

► punkt Kissingerowskiej filozofii politycznej. Jego zdaniem świadomość, że zdominowanie otoczenia międzynarodowego nie leży w granicach możliwości, że – jak uczy Tukidydes – „z czasem wszystko upada”, powinna prowadzić do wniosku, że racjonalne zachowanie polityczne to pełne umiarkowania poszukiwanie sposobów pokojowej koegzystencji z innymi. Oponenti polityczni z ich odmiennymi systemami wartości, na których współistnienie jesteśmy skazani w wyniku ograniczoności naszej mocy, przestają być odrażający moralnie, szpetni estetycznie i szkodliwi ekonomicznie. Przestają być wrogami egzystencjalnymi, a stają się oponentami, neutralnymi graczami, a czasem sojusznikami. Zyskują status partnerów, których – nie mogąc ich wyeliminować – należy tolerować i którzy poprzez nieuniknione kontakty, sojusze itp. osiągają należną godność.

To rozumowanie tłumaczy, dlaczego wedle Kissingera doktryna ograniczenia ma głębokie implikacje moralne. Skonstatowanie własnej

ograniczoności otwiera drogę do wykształcenia cnót roztropności i umiarkowania. Drogę do dążenia do pokoju zbudowanego na *aequilibrium*, czyli na równowadze sił. Jako pilny student historii dyplomacji Kissinger doskonale zdawał sobie sprawę, że ludzie cieszyli się najdłuższymi okresami pokoju wówczas, gdy politykom udawało się wytworzyć i utrzymać równowagę sił. W mowie z 19 września 1974 r. skierowanej do

Świadomość naszych granic oznacza uznanie konieczności pokoju.

Senackiego Komitetu Spraw Zagranicznych stwierdził: „Świadomość naszych granic oznacza uznanie konieczności pokoju”.

Konkludując, fundament realistycznego myślenia Kissingera to uprzytomnienie sobie granic swoich mocy sprawczych. Być przeświadczonym o ich nieograniczoności, to popaść w fanatyzm. Stąd niechęć autora „O Chinach” do

„prawdziwych wyznawców”, moralnych absolutystów, różnej proveniencji utopistów, rozemocjonowanych ideologów i proroków. Zwraca na to uwagę Peter W. Dickson – autor ważnej książki „Kissinger and the Meaning of History” (Kissinger i znaczenie historii). W postawie „prawdziwych wyznawców” tkwi błąd strukturalny, rugujący z niej ducha tolerancji. Jak dowcipnie wyraził się Michael Oakeshott: „Poszukiwaczom »prawdy« w polityce brak odporności na przekonanie, że osiągnęli swój cel”. Kissinger nie żywi wątpliwości, że fundatorami

zrównoważenia politycznego, dającego gwarancje dłuższego okresu cywilizowanego życia, są polityczni realisci. Ludzie rozumiejący – jak on sam – że polityka nie jest dziedziną eliminowania moralnej niegodziwości, ale „borykaniem się z zagrożeniami, zanim staną się nie do opanowania”. Upewnia nas o tym Helmut Schmidt, notabene pierwszy laureat nagrody im. Henry’ego A. Kissingera, przyznawanej dyplomatom przez Amerykańską Akademię w Berlinie za zasługi w budowaniu relacji transatlantycznych. W końcowej części mowy wygłoszonej z okazji nadania mu doktoratu honoris causa przez Uniwersytet Johnsa Hopkinsa w Baltimore Schmidt przekonująco wywodził, że duch umiaru i racjonalności jest trwale zespólny z realistyczną szkołą politycznego myślenia i działania. „Realizm w polityce – wyjaśniał byty niemiecki kanclerz – jawi mi się jako jedyny gwarant zachowania rozsądnego systemu, zdolnego do utrzymania świata w równowadze. Realizm z konieczności oznacza politykę pokoju (...). Realizm oznacza koniec końców uznanie granic naszych środków i władzy. *Realpolitik* można zatem rozumieć jako wezwanie do umiarkowania. (...) Tylko umiarkowanie daje szansę rozwiązania problemów naszych czasów. Tylko rozprzestrzenianie się rozumu może zagwarantować nasze przetrwanie”.

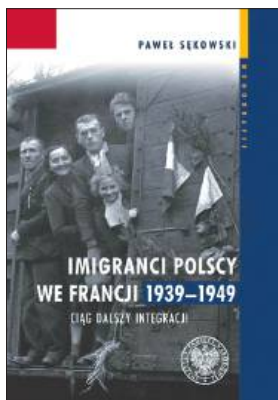
KSIĄŻKA

POLONUSI WE FRANCJI

Tylko nieliczni historycy zajmowali się losami Polaków, którzy wyemigrowali do Francji. Z tym większym uznaniem trzeba się odnieść do opublikowanej dysertacji doktorskiej Pawła Sękowskiego o Polonusach nad Sekwaną w latach 1939-1949. Choć książka poświęcona jest głównie tej dekadzie, autor pisze też o ludziach, którzy przybyli jeszcze przed I wojną światową. Patrzy na imigrantów nie tylko z pozycji historyka; daje czytelnikowi także szerokie kompendium wiedzy na ich temat, uwzględniając obok czynników politycznych równie ważne aspekty socjologiczne czy kulturowe.

I właśnie te ostatnie zasługują na szczególną uwagę. Opis tego, co na te procesy wpływało i decydowało o stawianiu się Francuzami, jest najciekawszą i najważniejszą częścią publikacji. I wielkim wkładem w poznanie polskiej diaspory we Francji. Również tej dzisiejszej.

Po wojnie do nowej Polski wróciło tylko 15% niedawnych imigrantów. Co się działo z tymi, którzy zdecydowali się zostać na francuskiej ziemi, jaka była ich pozycja we francuskim społeczeństwie, jaki utrzymywali związek z Polską? To powinno być kontynuacją pracy dr. Sękowskiego. Tylko kto miałby sfinansować tak kosztowne prace badawcze?



Paweł Sękowski,
Imigranci polscy we Francji 1939-1949. Ciąg dalszy integracji,
IPN, Warszawa 2023.

Paweł Dybicz

Piotr Kimla

Eliza Sarnacka-Mahoney Korespondencja z USA

42-piętrowy Big Pink w centrum Portlandu to atrakcja, której nie można przegapić. Różowy granit zdobiący fasadę wieżowca sprowadzono aż z Hiszpanii, bo róż i róż to symbole stolicy stanu Oregon, zamiennie nazywanej Miastem Róż. Gdy odwiedziłam ją kilkanaście lat temu, też wjechałam na 30. piętro, by przy okazji lunchu w Portland City Grill podziwiać panoramę metropolii i jej okolic.

Big Pink wciąż przyciąga turystów, ale widok z okien restauracji się zmienił. Dziś obrazy z centrum miasta to bezdomni oraz narkomani, którzy w białych dzień, na oczach przechodniów, dają sobie w żyłę i czasem padają na środku ulicy. Kierowcy muszą wtedy wysiadać z samochodu, by przeciągnąć nieprzytomnych na chodnik. Jeśli ktoś ma pecha, w drodze do pracy natknie się na zwłoki ofiary przedawkowania. Wszystko to nierzadko pod nosem policji, ale nikt nie interweniuje, bo posiadanie narkotyków jest tutaj legalne.

W 2020 r. Oregon jako pierwszy stan w kraju je zdekryminalizował, a zrobił to na mocy ustawy Projekt 110, którą poparło 58% wyborców. Ludzi przekonał argument, że narkomani potrzebują pomocy, a nie zakuwania w kajdanki. Projekt 110 ambitnie taką pomoc zaoferował. Po pierwsze, ustanowił budżet na budowę nowych ośrodków odwykowych i rehabilitacyjnych – finansują go podatki odprowadzane przez branżę marihuanową. Po drugie, przededefiniował zasadniczo rolę policji w nowej wojnie z narkotykami – z wymierzających kary na głościcieli dobrej nowiny. Policjanci wciąż wlepiają narkomanom mandaty, ale tylko na 100 dol. Co ważniejsze, mają informować, że mandat zostanie umorzony, jeśli ukarany zadzwoni na darmową infolinię, by dowiedzieć się o możliwościach leczenia.

Opór narkomana

Niestety, po trzech latach od wejścia prawa w życie wygląda na



Codziennosc na ulicach Portlandu.

Dekryminalizacja narkotyków

Trudna lekcja Oregonu

to, że nie jest ono skuteczne. Według sondaży co najmniej 56% wyborców opowiada się teraz za cofnięciem Projektu 110, powołując się na statystyki.

Jak wylicza William Nunemann, dyrektor infolinii Lines for Life, do której kieruje narkomanów policja, do końca lutego 2022 r. przy kilku tysiącach mandatów wypisanych w latach 2020-2022 tylko 92 osoby zadzwoniły na infolinię, a zaledwie 19 zgłosiło się na odwyk. W 2019 r., przed dekryminalizacją narkotyków, z przedawkowania, głównie opioidów, zmarło w Oregonie 280 osób. W roku 2021 już 737, a w roku 2022 – aż 955. Obrońcy Projektu 110 podpierają się co prawda badaniami przeprowadzonym w 2021 r. przez New York University razem z Centers for Disease Control and Prevention oraz Network for Public Health Law, wedle którego statystyki śmierci z przedawkowania rosną z roku na rok w całej Ameryce, ale Oregon zachowuje pierwszą pozycję, jeśli

chodzi o odsetek narkomanów w populacji. To aż 4,46% mieszkańców stanu, podczas gdy średnia dla całej Ameryki wynosi 3,44% (osoby w wieku 12 lat i powyżej).

Nasila się zarazem przestępczość z użyciem broni, amerykańska specjalność. Jak podaje komisariat główny w Portlandzie, w 2019 r. policja odpowiedziała na 413 incydentów z użyciem broni. W roku 2022 – na ponad 1,3 tys.

Przeciętnemu zjadaczowi chleba poza granicami USA Oregon z niczym się nie kojarzy. Dlaczego więc to tu podjęto pierwszą w Ameryce próbę dekryminalizacji narkotyków, która bardziej pasowałaby do Kalifornii czy Nowego Jorku? Bo od początku istnienia Oregon był stanem, gdzie radykałowie mogli liczyć na schronienie i zrozumienie. W XIX w. tylko tu Afroamerykanie, nawet ci wolni, nie mieli prawa ani mieszkać, ani pracować, stan praktykował dyskryminację na niebotyczną skalę. Po wojnie secesyjnej z otwartymi ►

► ramionami przyjmował konfederackich przesiedleńców z Południa. Na początku XX w. stał się przyczółkiem ugrupowań suprematystycznych typu Ku Klux Klan, co jednak nie przeszkodziło, by stanowi politycy, tacy jak gubernator William U'Ren, wyrosli na przełomie XIX i XX w. na najbardziej postępowych polityków Ery Progressywnej, a kobiety w Oregonie otrzymały prawo głosowania już w roku 1912, osiem lat przed resztą Ameryki.

W latach 80. Portland stał się światową stolicą skinheadów i neonazistów, co w pierwszej dekadzie XXI w. doprowadziło do powstania tam

Raj dla dilerów

Dlaczego dekryminalizacja wszystkich narkotyków jednak Oregonowi się nie udała? Eksperci wskazują trzy czynniki.

Pierwszy to skok w statystykach uzależnień w całym kraju związany z pojawieniem się na rynku fentanylu. Howard Koh z Komisji ds. Badania Kryzysu Opioidowego w Ameryce Północnej, działającej przy Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii, nazywa tę fazę kryzysu opioidowego „najbardziej dewastującą epidemią w historii”. Przestrzega

W 2020 r. Oregon jako pierwszy w kraju zdekryminalizował narkotyki na mocy ustawy, którą poparło 58% wyborców.

pionierskiego w USA ruchu antyfaszystowskiego, Rose City Antifa. Stanowi anarchiści mieli swój moment w 1999 r., kiedy wsparli w Seattle protest przeciwko Światowej Organizacji Handlu i stali się siłą napędową zamieszek znanych jako batalia o Seattle.

Wszyscy też chyba pamiętamy, że choć rozruchy po śmierci George'a Floyda (maj 2020 r.) zaczęły się w Chicago i w Minneapolis, to jednak w Portlandzie przybrały największe rozmiary, ściągając na ulice największych ekstremistów i fundując mieszkańcom kilka miesięcy protestów. Fotograf Rian Dundon, autor książki „Protest City”, ukuł dla tego okresu nazwę *Portland's summer of rage* – portlandzkie lato wściekłości.

Przyglądając się historii stanu, trudno oprzeć się refleksji, że od początku ścierały się tu w walce o duszę i kieszenie frakcje radykałów: z jednej strony reformatorów głoszących idee egalitaryzmu i sprawiedliwości społecznej, z drugiej suprematystów. Jeśli zaś chodzi o legalizację używek, Oregon zawsze znajdował się na czele peletonu. Na posiadanie niewielkiej ilości marihuany zezwolił długo przed resztą kraju, w 1973 r. W 1998 r. stał się drugim po Kalifornii stanem, który dopuścił jej posiadanie w celach medycznych, a w 2014 – czwartym, po Waszyngtonie, Alasce i Kolorado, który wprowadził jej pełną legalizację.

jednocześnie, że jeśli nic się nie zmieni do końca tej dekady, epidemia uśmierci 1,2 mln osób w USA i Kanadzie. Gdzie na tym obrazku jest Oregon? Mingus Mapps, naczelnik Wydziału Transportu, Wody oraz Ochrony Środowiska w Portlandzie, ocenia, że w bardzo niedobrym miejscu, gdyż dekryminalizacja narkotyków zmieniła stan w raj dla dilerów. – Niestety, zyskaliśmy sławę miejsca, gdzie dilerzy mogą się łatwo dorobić – mówi Mapps.

Fentanyl, jak większość narkotyków, dociera do USA głównie przez południową granicę, a przemysłem zajmują się południowoamerykańskie kartele Sinaloa i Jalisco. Składniki do produkcji fentanylu przybywają jednak z Chin. Ten problem zawędrował już nawet na najwyższe szczeble władzy i był przedmiotem rozmów podczas ostatniego spotkania prezydenta Bidena i chińskiego lidera Xi Jinpinga w Kalifornii w listopadzie br.

– Wiemy, że skala transportu fentanylu do Oregonu rośnie w zatrważającym tempie. W 2019 r. służby federalne na terenie Oregonu i Idaho przechwyciły 43 dawki fentanylu. W 2022 r. było już 32 mln dawek. Niestety, dużo trudniej w zaistniałej sytuacji ustalić, którądy dokładnie biegną szlaki przemytu. A do tego

brakuje nam ludzi do pracy – wyjaśnia Chris Gibson, szef regionalnego oddziału programu na rzecz walki z przemytem narkotyków, Oregon-Idaho High Intensity Drug Trafficking Area, finansowanego przez Office of National Drug Control Policy, biuro ds. kontroli narkotyków przy Białym Domu. Jest tajemnicą poliszynela, że służby mundurowe w Oregonie od kilku lat mierzą się z brakami kadrowymi, bo na fali protestów pod hasłem „Defund the police” (Zabrać policji kasę), które towarzyszyły marszom pod sztandarami Black Lives Matter po śmierci George'a Floyda, oregońskie komisariaty straciły część funkcjonariuszy i nie zapęłniły wakatów nowymi.

Rzecz druga to niezrealizowany plan powszechnego dostępu do odwyku i leczenia, zakładanego przez prawo o dekryminalizacji narkotyków. I nie chodzi jedynie o zółwie tempo transferu obiecanych funduszy między agencjami stanowymi a aktywistami i inwestorami gotowymi tworzyć miejsca terapii. Przez trzy lata w całym stanie udało się dodać do istniejącej puli łóżek dla narkomanów na odwyku tylko ok. 300 nowych, więc ich łączna liczba wynosi nieco ponad 1,7 tys. To kropla w morzu potrzeb.

Mike Marshall, były alkoholik, a od 2017 r. dyrektor organizacji Oregon Recovers, koalicji na rzecz zmian w opiece zdrowotnej nad narkomanami, wyjaśnia: – Największym problemem jest istniejący system, który nie chce być dostępny i nie

Wśród zwolenników powtórnej delegalizacji są sami narkomani.

ma liderów gotowych wprowadzić zmiany. Nie pomogło i to, że zwolennicy dekryminalizacji poszli na swoją wojnę, kompletnie nie rozumiejąc, czym jest proces leczenia odwykowego i że nasz system nie jest do tego przygotowany. Patrzyliśmy na Portugalię, która zdekryminalizowała narkotyki już ponad 20 lat temu i odniosła sukces, ale ona przed wprowadzeniem prawa przygotowywała się przez dwa lata. My

poszliśmy na żywioł. Wystawiliśmy wóz przed konia.

Największy problem stanowi dostęp do leczenia szpitalnego, bo generuje ono największe koszty, jest więc nierentowne z punktu widzenia prywatnej służby zdrowia, a taką jest cały sektor medyczny w USA. W dodatku ubezpieczalnie prawie nigdy nie refundują w pełni takiego leczenia. Nie wygląda też na to, by cokolwiek szybko się

Zainteresowanych odsyłam do polityki prezydentów Nixona i Reagana, bo tam należy szukać genezy tego zjawiska. Pierwszy wstrzymał inwestycje w budownictwo komunalne, argumentując, że sprzyja ono koncentracji biedy. Drugi, twórca reaganomiki, zmniejszył budżet na dotacje do mieszkań dla potrzebujących, bo założył, że misję pomocy biednym przejmie wolny rynek. Rynek nigdy tą misją wystarczająco

narkomani. I kto wie, czy to nie ich głos politycy z Oregonu powinni słuchać przy podejmowaniu decyzji o dalszym losie Projektu 110. Brytyjski dziennik „Daily Mail” opublikował kilka miesięcy temu raport, w którym wypowiadał się m.in. Eric James, bezdomny uzależniony od fentanylu, a żyjący z drobnych kradzieży i z pieniędzy za zebrane puszki oraz butelki: – Ludzie najczęściej przestępstw popełniają wtedy, gdy wiedzą, że ujdzie im to na sucho. Moi znajomi, wiedząc, że policja nie dojedzie na czas, bez oporów popełniają jeszcze większe przestępstwa.

Zapytany, czy chciałby pójść na odwyk lub detoks, James odpowiedział zdecydowanym „nie”. I dodał, że nie zna nikogo, kto byłby chętny.

Jak więc zmotywować ludzi do odwyku i powstrzymać falę uzależnień? Eksperci twierdzą, że przekupstwem. To nie żart. Taka forma psychosocjalnej terapii odwykowej rzeczywiście istnieje, fachowo nazywa się *contingency management* (postępowanie zapobiegawcze) i oferuje pacjentom wynagrodzenie finansowe za to, że zgłaszają się na odwyk, a potem pozostają czysti.

Badania prowadzone już od prawie 30 lat, najpierw na alkoholikach, a z czasem na narkomanach, potwierdzają, że *contingency management* jest najskuteczniejszą metodą. W zeszłym roku Kalifornia jako pierwsza zaczęła pilotażowo wprowadzać takie leczenie, oferując pacjentom do 700 dol. w ciągu sześciomiesięcznej kuracji odwykowej. Kilka tygodni temu Departament Zdrowia i Usług Społecznych przygotował na ten temat raport dla Kongresu z nadzieją, że rząd zastanowi się nad utworzeniem specjalnego budżetu, by postępowanie zapobiegawcze stało się dostępne i stosowane.

Czy naród, który wciąż nie jest przekonany, że warto się opodatkować na powszechne ubezpieczenie medyczne, robi to dla bezdomnych narkomanów? Trudno w to uwierzyć.

Eliza Sarnacka-Mahoney

W Oregonie w latach 2021-2022 bezdomność skoczyła o 25%, podczas gdy w Kalifornii wzrosła o 6%, a w Waszyngtonie o 10%.

zmieniło, choć w skali kraju ponad 40% osób uzależnionych nie ma dostępu do leczenia ani terapii, a prezes Krajowej Rady ds. Zdrowia Psychicznego Chuck Ingoglia nazywa tę sytuację „ogólnonarodowym skandalem”. Geriatryczny Kongres oraz 80-letni prezydent, ubezpieczeni przez rządowy program Medicare, nie rwą się do działania. A jeśli w przyszłym roku prezydenturę przejmie republikanin, być może czeka nas rezygnacja z reformy Obamacare i dostęp do leczenia stanie się jeszcze bardziej problematyczny.

Pułapka bezdomności

I w końcu kwestia bezdomności, która nie tylko w Oregonie, ale i w całej Ameryce idzie dziś ramię w ramię z narkomanią i zaburzeniami psychicznymi. W Oregonie w latach 2021-2022 bezdomność skoczyła o 25%. Porównajmy to z dwoma innymi stanami, gdzie zjawisko przybiera największe rozmiary: Waszyngton – wzrost o 10%, Kalifornia – o 6%. Niezależnie od tego, czy bezdomni w Oregonie zmieniają się w narkomanów, bo narkotyki stały się legalne i dostępne, czy narkomani stają się bezdomni, bo przez uzależnienie tracą źródła utrzymania i dach nad głową, faktem jest, że bezdomność sprzyja narkomanii. Ameryka zaś ma z bezdomnością coraz większy problem, bo pogłębia się kryzys dostępu do taniego mieszkalnictwa.

się nie zainteresował, wobec czego większa o ponad 30 mln populacja ma o 200 tys. lokali komunalnych mniej niż 40 lat temu. Niemal połowa osób kwalifikujących się do programu mieszkalnictwa dotowanego nie ma zaś szans na takie lokum, bo mieszkań buduje się za mało.

Czy mieszkańcy Oregonu podejmą kolejny radykalny krok i na powrót zdelegalizują narkotyki, przekonamy się za rok. Na razie trwa zbieranie podpisów, by propozycja takiej ustawy mogła się znaleźć na karcie wyborczej. Lisa Schroeder, właścicielka restauracji Mother's Bistro w centrum Portlandu, nie traci nadziei: – Głosowałam za dekriminalizacją, ale gdybym mogła tę ustawę „odgłosować”, zrobiłabym to bez wahania. Byłam naiwna i wiem, że mnóstwo ludzi myśli dzisiaj tak samo jak ja. Dekriminalizacja może się sprawdzić tylko tam, gdzie jest dużo pomocy społecznej. Oregon i reszta Ameryki takim miejscem, niestety, nie są.

Kristin Olson, adwokatka z kancelarii Olson Brooksby w Portlandzie, dodaje: – Dopiero gdy Oregon zmienił się w widowisko dla całego świata, zrozumieliśmy, że popełniłmy błąd. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że dobrowolnie godzimy się na upadek cywilizowanych norm i przekazanie naszej przestrzeni publicznej ludziom chorym, którzy popełnią przestępstwo, by tylko trwać w uzależnieniu.

Co ciekawe, wśród zwolenników powtórnej delegalizacji są sami

ODRZAŃSKOŚĆ TO INNA POLSKOŚĆ

Ludzie często czują jakąś odrębność, ale nie wiedzą, na czym ona polega

Rozmawia Mateusz Demski

Kiedy czytałem „Odrzanię”, zrobiło na mnie wrażenie porównanie, że polskie Ziemie Odzyskane były niczym amerykański Dzikie Zachód. Wyobrażam sobie, że nie chodzi o gorączkę złota i pojedynki rewolwerowców w samo południe.

– Ziemie Odzyskane, podobnie jak Dzikie Zachód w XIX w., były krainą wielkich szans i niejednokrotnie równie wielkiego ryzyka. Istniały tam możliwości szybkiego wzbogacenia się – czasem mniej, czasem bardziej moralnie. Wiele osób trafiło po wojnie na te ziemie tylko na chwilę. Nie wszyscy, którzy tam przybyli, zapuścili korzenie. Znaczna część pojechała, nigdy nie miała w planach zostać. Mówimy o szabrownikach, którzy przyjechali wydrzeć bebechy tej krainie, ogołocić ją z wszystkiego, czego nie zabrali Sowieci. Albo o ludziach takich jak mój pradziadek, którzy jeździli tam na handel. Niektórzy ukrywali się tam np. ze swoją przeszłością wojenną.

Podobnie jak na Dzikim Zachodzie początkowo państwo było tam słabe. Do niektórych rejonów Wrocławia czy innych miast komendantura sowiecka nie sięgała i lepiej było się tam nie zapuszczać. Jasne, że ten Dzikie Zachód to fraza literacka, ale jest sporo analogii z wczesnym okresem powstania tych ziem, zanim jakoś je ujarzmiono. **Dzikie Zachód stał się jednak symbolem mitycznym, który przez lata był odpowiednio pobudzany w wyobraźni ludzi i ubarwany specyficzną ikonografią. We wstępie piszesz, że Ziemie Odzyskane zajmują w polskiej pamięci niewiele miejsca.**



ZBIGNIEW ROKITA

– autor książki „Odrzania. Podróż po Ziemiach Odzyskanych”, laureat Nagrody Literackiej Nike 2021 za „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku”.

Reporter, dziennikarz i redaktor (ur. 1989). Jego książkowy debiut „Królowie strzelców. Piłka w cieniu imperium” (2018) został przełożony na język ukraiński i doczekał się adaptacji teatralnej, wystawionej przez Teatr Nowy w Zabrzu. „Kajś. Opowieść o Górnym Śląsku” (2020) wyróżniono Nike 2021 oraz nominowano do Literackiej Nagrody Europy Środkowej Angelus, nagrody Ambasador Nowej Europy i Międzynarodowej Nagrody im. Witolda Pileckiego. W swoich tekstach Rokita przypomina, że historia nigdy nie jest tak oczywista jak w szkolnych podręcznikach. Opowiada o pamięci, tworzeniu mitów i przemilczeniach.

– A mówimy tu o jednej trzeciej dzisiejszej Polski. Na Ziemiach Odzyskanych zmieściłoby się pięć Izraeli. To duża przestrzeń, a mimo to te tereny są – podobnie jak mój Górny Śląsk – słabo reprezentowane. Na opowieści o nich nie starczyło miejsca w podręcznikach.

Jako Ślązak wiem, że brakuje nam języka, by wyrazić to, jak polskość bywa zróżnicowana.

Dla mnie to też był temat do odkrycia, bardzo wiele miejsc, o których piszę, odwiedziłem po raz pierwszy w trakcie prac nad książką. W sumie to jakieś 60 miejscowości, co jest pewnym osiągnięciem, dlatego że nie mam prawa jazdy. Nie znałem Szczecina, Zielonej Góry, Gorzowa Wielkopolskiego. Na Warmii i Mazurach byłem po raz pierwszy. Najbardziej lubię siadać do pisania w momencie, kiedy zaczynam czuć, że temat już mnie kręci, a jeszcze się z niego nie habilitowałem. Kiedy mogę na bieżąco, na żywo, wszystkiego się dowiadywać. Na oczach czytelników.

I postanowiłeś nadać tym wszystkim miejscom nową nazwę – Odrzania. A przecież takim miejscom jak Mazury czy Gdańsk do Odry daleko.

– Odrzania jest synonimem tych wszystkich niedoskonałych pojęć określających te ziemie: Ziemie Odzyskane, ziemie uzyskane, ziemie wyzyskane, ziemie poniemieckie. Odra to symbol. To hasło, które miało opisywać tę mglistą krainę – czasem wbrew ciekom wodnym, bo z perspektywy Olsztyna czy Gdańska rzeczywiście może to brzmieć egzotycznie. Zależało mi na tym, żeby ta książka podzielała w sposób, w jaki działa na mnie ta kraina: drażniąco i niepokojąco. Żeby była w pewien sposób bluźniercza, jak pytania, które te ziemie przed nami stawiają.

Pytania widnieją już na skrzydełku książki. Kiedy ją otwieram i patrzę na mapę Ziem Odzyskanych, nic tu do niczego nie pasuje, nic ze sobą nie współgra. Na pierwszy rzut oka trudno te wszystkie miejsca – od Świnoujścia po Elk, od Szczecina

po Wałbrzych – ze sobą zestawić, znaleźć wspólny mianownik.

– Nie twierdzę, że te miejsca wiele łączy: gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie Olsztyn, gdzie Zabrze. Jestem świadom, że to nigdy nie była spójna kraina i nie jest taką do dzisiaj. Tym, co ją łączy, i tego ta książka dotyczy,

jest natomiast pamięć. Jasne, całą Polskę łączą zmagania z pamięcią, ale te wyzwania są jednak zupełnie inne. Rok 1918 był mniejszą rewolucją dla Krakowa czy Warszawy, dla tej Polski-Polski, czyli Wiślanii, niż rok 1945 dla Wrocławia czy Słubic. Tam padały, a nawet do dzisiaj padają fundamentalne pytania: kim my w ogóle tutaj jesteśmy? Czy jesteśmy zdobywcami, a może spadkobiercami tych ziem? Czy jesteśmy stąd, czy może skądś indziej? Czy chcemy, żeby

Odrzania jest synonimem wszystkich niedoskonałych pojęć: Ziemie Odzyskane, ziemie uzyskane, ziemie wyzyskane, ziemie poniemieckie.

historia naszych miast i wsi zaczynała się w roku 1945, czy może chcemy przebić się do świata sprzed 1945 i uznać go za swój? Wiele elementów konstrukcji tej pamięci jest endemicznych, nie występują one w Wiślanii.

Gdy mówię: „Spójrzmy przez chwilę na te wszystkie miasta jak na jedną całość”, to oczywiście, że jest to pewien pakt, który proponuję czytelnikom. Na tej samej zasadzie, na jakiej ktoś opisuje historię kultury Europy, patrząc jednocześnie i na Łotwę, i na Portugalię jak na elementy jednej układanki.

Kiedyś powiedziałeś, że Ziemie Odzyskane są jak ożywione przez Frankensteina monstrum – pozszywane z kawałków, ze strzępów, mogły istnieć siłą pewnej społecznej umowy.

– Mówiłem wtedy akurat o Lubuszczyźnie. Faktycznie, Lubuszczyzna to największy Frankenstein tych

ziem – zlepek z Brandenburgii, Nowej Marchii, Wielkopolski, Dolnego Śląska, kawałka Pomorza. Żeby było śmieszniej, nazwa Lubuszczyzna wzięta się od miejscowości Lubusz, która leży tuż za granicą, po stronie niemieckiej. Chciano zamanifestować, że Polska sięgała kiedyś jeszcze dalej na Zachód – zresztą niejeden fantazjował w latach 40. o przekroczeniu przez Polskę Odry i Nysy i sięgnięciu choćby po ziemie Serbów Łużyckich. Lubuszczyzna to kraina wymyślona od nowa, która zaczęła żyć swoim życiem. Powstała tożsamość lubuska, mimo że w przeszłości niczego takiego nie było.

Inna sprawa, że nawet w regionach sztucznie skonstruowanych dziś na ziemiach poniemieckich, w czwartym pokoleniu, tworzą się coraz silniejsze tożsamości regionalne. Jako Ślązak wiem, że brakuje nam języka, by wyrazić to, jak polskość bywa zróżnicowana. Polszczyzna na te niuanse jest często wrażliwsza w przypadku innych niż siebie samej. Po polsku

możesz powiedzieć Pers i Irańczyk, Ormianin i Armeńczyk. Ale jeżeli mam się czuć etnicznym Ślązakiem, będącym obywatelem Polski, to nie mogę powiedzieć, że jestem Ślązakiem i Rzeczpospolitą.

To jak to jest z tą tożsamością?

– Mamy coraz lepszą terminologię do opisu tożsamości regionalnych, coraz więcej osób mówi o sobie: jestem Dolnoślązakiem, jestem Lubuszaninem, ostatnio ktoś powiedział mi o sobie „Nowopomorzanie”. Ale to jest też ten moment, w którym ludzie często już czują jakąś odrębność, ale nie wiedzą, na czym ona polega. Albo inaczej: wiedzą już, kim nie są, a jeszcze nie wiedzą, kim są. Inna rzecz, że to nie jest jeszcze – w przeciwieństwie do tożsamości śląskiej – tożsamość dziedziczna. To tożsamość, która wymaga namysłu, na ogół ludzie sami sobie ją konstruują. Na Odzyskanych potrzeba wysiłku, ▶

► żeby skonceptualizować, żeby wyrazić tę swoją odrębność.

A propos Ziemi Odzyskanych, dość powiedzieć, że te ziemie nigdy, ani przed wojną, ani po niej, nie stanowiły jednej całości. Niektóre rejony – jak Wrocław albo Szczecin – ostatni raz miały cokolwiek

Ziemi Odzyskanych odniemczanie jest gwałtowne.

Odniemczanie kojarzy nam się za zwyczaj z materią nieożywioną: z zamazywaniem napisów na szyldach, niszczeniem przedmiotów. Ale najważniejsze było pozbycie się Niemców. I to w zdecydowanej większości.

Koegzystencja Polaków i Niemców przebiegała w różny sposób: czasem to były przyjaźnie, czasem stosunki neutralne, a czasem wrogość.

wspólnego z państwem polskim w średniowieczu. Przyszyć po wojnie do Polski ogromnych ziem należących dotychczas do Niemców nazywasz jednym z największych eksperymentów demograficznych w dziejach ludzkości.

– Ten eksperyment polegał głównie na tym, żeby przesunąć świątę. Na ziemiach poniemieckich, które po 1918 r. przypadają Polsce, przebiega to łagodniej. Po I wojnie światowej w Katowicach, gdzie dzisiaj rozmawiamy, 85% mieszkańców Górnego Śląska – w jego ówczesnych granicach – poparło Niemcy w plebiscycie, ale Katowice trafiają do Polski. Niemców i Ślązaków zostaje tu wielu. Potem, na przełomie lat 20. i 30., blok partii niemieckich wygrywa w wyborach samorządowych. Polonizuje się czy też wiślanizuje to miasto, ale spokojniej. Po II wojnie w przypadku

Na terytorium, gdzie żyło niemal 10 mln obywateli niemieckich, miało nagle dojść do wymiany ogromnej grupy ludności.

W jaki sposób ta wymiana miała przebiegać?

– Jeden z mitów mówi, że te tereny będą zasiedlane ludźmi z Kresów. Łatwo policzyć, że samo Breslau przed wojną było ludniejsze niż trzy największe miasta Kresów: Wilno, Lwów i Stanisławów. Kresowianie stanowili zdecydowaną mniejszość osadników. Większość to byli ludzie z Polski centralnej, którzy wcale nie musieli się tam przenieść. Trzeba było ich jakoś zachęcić. Elementem eksperymentu była zmanipulowana opowieść o tych ziemiach. Znamy te wszystkie hasła: „ziemie piastowskie”, „odwiecznie polskie”, „myśmy tu nie przyszli, myśmy tu powrócili”. Te opowieści czasem bardziej,

czasem wcale nie stykały się z rzeczywistością, ale w tamtym czasie odegrały pożyteczną rolę. Ludzie po wojnie, w czasie niepewności – kiedy żyli w złych warunkach, często razem z Niemcami albo obok Sowietów, którzy mordowali i rabowali – musieli sobie jakoś te ziemie oswoić i umościć się na nich. Pomagała im opowieść o rzekomo odwiecznej polskości Ziemi Odzyskanych.

Nawiązując do tego, co mówiłeś o odniemczaniu – Polak i Niemiec spotykają się pod jednym dachem. Nie dochodziło do odwetu, linczu na niedawnym okupancie?

– Nieraz było tak, że jedna wieś miała sołtysa niemieckiego z nadania Sowietów, a kolejna wieś miała sołtysa polskiego. Takie miejscowości jak Szczecin kilkakrotnie przechodziły z rąk do rąk: z niemieckich do polskich, z polskich do niemieckich – a były głosy, że powstanie tam w ogóle Wolne Miasto Szczecin. Przyszłość tych ziem naprawdę nie była w tamtym momencie pewna. Niemcy jeszcze przez pewien czas pełnili rozmaite funkcje publiczne – np. listonoszy, którzy najlepiej poruszali się w morzu ruin. Często Polacy mieszkali razem z Niemcami. Wczoraj byłem u znajomych w Gliwicach i kolega opowiadał mi, jak jego babcia jako nauczycielka przyjechała tam w 1945 r. W pokoju, gdzie teraz mieszka jego córka, kwaterowała dwójka Sowietów, a za ścianą mieszkała Niemka, która wkrótce się wyniosła.

To nie są odosobnione przypadki, czasem te spotkania trwały latami. W książce przywołuję opowieść mojego dziadka, który razem z Niemcami mieszkał do 1948 r. pod Środą Śląską. Koegzystencja Polaków i Niemców przebiegała w różny sposób: czasem to były przyjaźnie, czasem stosunki neutralne, a czasem wrogość. Do samosądów też dochodziło, ale pewnie bardziej dziwi, że często były to dobre relacje. Znam historie, gdy ćwierć wieku później, kiedy przekraczanie granicy polsko-niemieckiej stało się znacznie łatwiejsze, te rodziny ponownie się spotykały. Znam nawet sytuacje, gdy kontakty trwają do dziś. **Niemcy wkrótce zniknęli, a wraz z nimi ich historia – oficjalnie odrzucono na tych ziemiach**

KSIĄŻKI

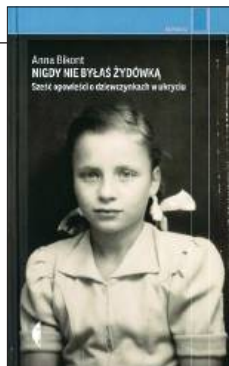
Anna Bikont

Nigdy nie byłaś Żydówką

Sześć opowieści o dziewczynkach w ukryciu

Czarne, Wołowiec 2023

„Dokąd idzie, wiedziała. Ale skąd idzie – to musi dopiero wymyślić. Musi wymyślić całe swoje życie i tak, aby każdy uwierzył”. Te zdania otwierające opowiadanie Bogdana Wojdowskiego o ukrywającej się na wsi Małce, jednej z bohatererek Anny Bikont, mogłyby rozpoczynać historię pozostałych dziewczynek – Elżuni, Blimy, Janki, Dorki, Ireny. Choć ich wojenne doświadczenia były podobnym koszmarem, dalsze losy potoczyły się odmiennie: wszak z traumą każdy próbuje radzić sobie po swojemu. Intymne reporterskie studium charakterów, życia w ukryciu, ratowania się lub bycia ratowaną. Ciężaru, który niesie się przez całe życie: bólu, tęsknoty, niemożliwości zapomnienia, ale również ukrytej siły, by stawić czoło przyszłości, nawet gdy nieustannie pada na nią długi cień Zagłady.



wszystko, co niemieckie, pojawiła się potrzeba budowy nowego mitu. Polakom zaczęto wmawiać historie o powrocie na piastowskie ziemie i o prastarych słowiańskich osadach, które tu istniały. Masz ulubione, najbardziej kuriozalne i niepowtarzalne zarazem baśnie, które miały dowodzić polskości tych ziem i ich mieszkańców?

– Trudno zrobić taki ranking, konkurencja jest zacięta, ale choćby ten mit piastowski jest osobliwy. Będąc wczoraj w Gliwicach, sam mijałem Zamek Piastowski – to oficjalna nazwa budynku, który jest oddziałem muzeum miejskiego. Kiedyś było tam więzienie, arsenał, ale to nigdy nie był zamek, a tym bardziej piastowski, jak mówiono nam w szkole. To pokazuje, że wiele z tych mitów jakoś awansem prześlizgnęło się przez granice 1989 r. Posłuchaj hymnu Piasta Gliwice, to się przekonasz. Pisząc tę książkę, pojechałem do dolnośląskiego Brzegu, żeby zobaczyć zamek ostatniego Piasta. Na miejscu okazało się, że ostatni Piast – Jerzy Wilhelm, który zmarł pod koniec XVII w. – był nie polskojęzycznym katolikiem, ale niemieckojęzycznym protestantem, a swój ród nazywał Die Piasten. Wbrew powojennej opowieści, która chciała w nim widzieć niemal polskiego separatystę.

Te przekonania obowiązują?

– Wiele mitów słabnie na przełomie lat 60. i 70. Wówczas w trzech krajach spierających się bardziej czy mniej oficjalnie o Odrzanie – w NRD, RFN i PRL – dochodzi do zmiany pokoleniowej. Rytuały i narracja antyniemiecka kojarzona z Gomułą słabnie. Zostają podpisane ważne umowy, m.in. Gierka z Honeckerem o ruchu granicznym. W latach 70. Niemcy z obu niemieckich państw przekraczają granicę polsko-niemiecką 50 mln razy. Dochodzi do wielkiego osławiania.

Zastanawiałeś się nad tym, co by się stało, gdyby projekt przyłączenia tych ziem do Polski się nie powiodł? Gdyby tych terenów jednak nie udało się zasiedlić?

– Najlepiej takie przewidywania wyraża pojawiające się w książce jak refren słowo *jein*. To połączenie niemieckiego *ja*, czyli tak, z *nein*, czyli nie. Ono oznacza, że coś może

istnieć i nie istnieć jednocześnie. Tak jest chyba z tą sytuacją.

Na Ziemach Odzyskanych został odniesiony spektakularny sukces – sprowadzono nowych osadników, tereny zostały zagospodarowane, jedna trzecia Polski nie stała się ziejącą pustką ziemią pośrodku Europy. Komuniści myśleli, że będzie to ziemia jałowa, ziemia statystyczna, gdzie spotykają się ludzie z różnych regionów, kultur, z różnymi pamięciami, którzy się zgalwanizują, ujednolicą i nagle powstanie człowiek socjalistyczny, którego największą herezją są „Sami swoi”. Wbrew temu wytworzyło się coś zupełnie innego – powstało tam wiele różnych, swoistych krain.



Często umyka nam też, jak bardzo ta ziemia była zdruzgotana. W 1945 r. trzy czwarte przemysłu na Ziemach Odzyskanych było zniszczone. Wiele pól było zaminowanych, odsetek wybitych lub wywiezionych zwierząt gospodarskich sięgał 90-99%. Nie mówię już o czynnikach miękkich, psychologicznych. I to, że się udało, to jest *ja*. Ale jest i to *nein*. Na przykład miejsca, które nie osiągnęły stanu ludności z 1939 r., lub niepotrzebne zniszczenia powojenne, niezwiązane już z wojną. Zdecydowanie więcej jednak się udało.

Z biegiem lat to, co poniemieckie, stało się coraz bardziej oswojone, ale stosunek reszty kraju do tych ziem pozostaje ambiwalentny. Pisziesz, że stolica po wojnie traktowała Odrzanie jak swoją kolonię i ogłosiła ją z surowców, a dzisiaj Warszawa skąpi na renowację tamtejszych zabytków.

– Jeśli chodzi o zabytki, to na Odrzanie przypada nieproporcjonalnie mało pieniędzy. Dolny Śląsk, jak i wszystkie tereny poniemieckie nie mają równoprawnego miejsca w polskim imaginariuszu, w polskiej wyobraźni. Kilkanaście lat temu jeden Kraków dostał więcej pieniędzy z Warszawy (nie wliczając systemów grantowych) na ochronę zabytków niż reszta Polski razem wzięta. I to nie jest tylko polityka PiS. Lata, o których mówię, to czasy rządów PO – co najlepsze, ministrem kultury był wtedy pochodzący z Kłodzka Bogdan Zdrojewski, były prezydent Wrocławia. Gdyby przeliczyć, ile rocznie przypada na zabytek w Dolnośląskim, a ile w Małopolskim, wciąż jest to przepaść. Pytanie, z czego to się bierze. Nie wiem, czy odpowiedzią nie są słowa byłego rektora UJ Franciszka Ziejki: „Tutaj są to zabytki polskie od średniowiecza, a nie są to zabytki budowane przez innych, jak tutaj bezustannie powraca Dolny Śląsk”.

Nie chodzi tylko o zabytki.

– Są też inne rzeczy, które mogą wydawać się pierdołami, ale nimi nie są. Nie ma wśród lektur obowiązkowych ani jednej, która mówiłaby coś o doświadczeniach milionów ludzi od kilku pokoleń osławających sobie te ziemie – taką książką jest choćby „Dom dzienny, dom nocny” Olgi Tokarczuk. Jeżeli na liście lektur tyle miejsca poświęcamy na XIX-wieczne idee niepodległościowe, to dlaczego nie zabrać z tego 10% i nie powiedzieć czegoś o mieszkańcach Odzyskanych? To nie pozostaje bez konsekwencji.

Myślisz, że ludzie kiedyś skorzystają z tego twojego określenia Odrzania i będą nazywać się Odrzanami i Odrzankami?

– Nie wiem, ale skoro w ostatnim spisie powszechnym prawie 2,5 tys. osób powiedziało o sobie, że należą do Kościoła Latającego Potwora Spaghetti, to wierzę, że za 10 lat pojawi się przynajmniej tyle samo Odrzan i Odrzanek. Nie chodzi o odcinanie się od Polski. To jest tożsamość niekonkurencyjna wobec polskości. Odrzańskość to inna polskość, bo różnych polskości jest wiele.

Mateusz Demski

KURTYNA W GÓRĘ



Dario Fo, „Przypadkowa śmierć anarchisty”, reżyseria, adaptacja i tłumaczenie Michał Zadara, Teatr Powszechny w Warszawie, premiera 18 listopada 2023

Policjanci w pułapce

Michał Zadara wykorzystał farsę Daria Fo jako ramę do opowieści o polskiej policji i jej zmaganiach (albo z nią zmaganiach), podstawiając praktykom policyjnym niewygodne lustro. Spektakl okazał się niezwykle udany, w brawurowym tempie

i idealnym rytmem, a to za sprawą doskonale zgranego zespołu z Barbarą Wysocką na czele. Stworzyła ona portret szalonej anarchistki, jej bohaterka, wciąż zmieniająca tożsamość, z precyzją dekonspiruje praktyki policyjne, pozornie stając po stronie strażników władzy. W sztuce aż rojno od paradoksów i zdumiewających zderzeń z rzeczywistością za oknem – dość wspomnieć o pojawiającym się na scenie przestawnym granatniku komendanta policji. Dario Fo, a za nim Zadara idą drogą wielkiego Moliera, który w swoich wrogów i przeciwników politycznych najboleśniej godził śmiechem. Nawet jeśli to śmiech gorzki.

Jedną z cech tego spektaklu jest nieskrywana teatralność, umowność. Kiedy brak na scenie jakiegoś rekwizytu, niewidzialna ręka po prostu go podrzuca z kulis. Umowne drzwi z pomieszczenia, które nie ma ścian i można je opuszczać w dowolnym miejscu, pozostają symbolem zniewolenia, ale i znakiem, że jest stąd jakieś wyjście.

Premiera odbyła się, akurat gdy Polska czekała, jak się ułożą zmienione rządy, a w tym okresie zawieszenia próbowała złapać oddech. Terapia śmiechem może bardzo się przydać, zwłaszcza że uświadamia, w jakiej rzeczywistości ostatnio przyszło nam żyć.

Tomasz Miłkowski

Wesele z przytupem

Wydawało się, że pierwsza premiera pod kierownictwem Pawła Dobrowolskiego, nowego dyrektora Teatru im. Stefana Jaracza, może się okazać klasyczną sztafpą, którą zechce obejrzeć jedynie wierna publiczność olsztyńskiej sceny. Tymczasem „Wesele” w reżyserii Sławomira Narlocha wzbudziło nie tylko zainteresowanie, ale wręcz pewną sensację w mieście i regionie. Wywołała m.in. pogłoski, że narodowy dramat Wyspiańskiego został przerobiony na musical o miłości! A na dodatek w inscenizacji ma się pojawić cały zespół teatru, łącznie ze studentami Studium Aktorskiego im. Aleksandra Sewruka i młodzieżowym zespołem dętym. Sygnały te przyciągnęły publiczność, już na premierze teatr pękał w szwach.

Dużo jest nowoczesnej i porywającej muzyki Jakuba Gawlika oraz tańców z przytupem w choreografii Daniela Leżonia. A pod koniec spektaklu Jasiek (Damian Kądziera ze Studium Aktorskiego) biegnie po scenie obrotowej, jakby startował w maratonie. Spektakl jest podzielony na trzy części: Wczoraj, Dziś i Jutro, przy



Stanisław Wyspiański, „Wesele”, reżyseria Sławomir Narloch, Teatr im. Stefana Jaracza w Olsztynie, premiera 17 listopada 2023

czym w tej drugiej części kwestie wypowiedzane są śpiewająco (dosłownie), w trzeciej zaś w rolę Panny Młodej, w miejsce Emilii Lewandowskiej, wciela się zasłużona aktorka olsztyńskiej sceny Irena Telesz-Burczyk, choć Pan Młody grany jest nadal przez Mikołaja Tryndę. Wbrew obawom ważne sprawy narodowościowe eksponowane są zgodnie z przesłaniem Wyspiańskiego.

Marek Książek

NA EKRANACH



Vamos a la playa

reż. Bettina Blümner, prod. Niemcy, Arte.tv

Film pod hiszpańskim tytułem „Vamos a la playa” jest niemiecką produkcją zrealizowaną na Kubie. W bardzo sprawnej

narracji pokazuje on 14 dni poszukiwań młodego Niemca, który od pewnego czasu nie daje znaku życia. Prócz tego chwytu dramaturgicznego mamy obraz współczesnej, biednej, choć egzotycznej Kuby, a także przybyszów z Europy, którzy odwiedzają wyspę w celach seksturystycznych. Trójka poszukiwaczy – dwie dziewczyny i chłopak – też pogrąża się w grach erotycznych, załotach i zabawach. Reżyserka dała aktorom specjalne zadania, aby w wolnych

chwilach nagrywali na swoje komórki rozważania na temat miłości, związków, szczęścia, kontaktów z rodziną itd. Ten materiał został częściowo wprowadzony do filmu. Pojawiają się również wątki pokazujące kontrast między bogatszymi i biedniejszymi, co dowodzi już całkiem poważnych aspiracji politycznych i społecznych twórców filmu. Walorem jest udział polskiego aktora Jakuba Gierszała i poetyckie, symboliczne zakończenie. Mocna pozycja ArteKino Festival na platformie Arte.tv.

Bronisław Tumilowicz

Kolumnę przygotowała
Agata Gogólkiewicz

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Do mordobicia jeden krok

Komisja do badania wpływów rosyjskich, zwana Lex Tusk, rozwiązana przez nowy Sejm. Awantura w parlamencie zmierzała w stronę mordobicia. Trochę się zawiodłem, że do tego nie doszło. Komisja w swoim tzw. częściowym raporcie – częściowym, bo śpieszono się, to był pośpiech przedśmiertny – konkluduje, że Tusk, Sienkiewicz, Cichocki, Klich i Siemoniak (nie wiem czemu zgubili Sikorskiego) nie powinni piastować funkcji państwowych. Prawica uznała raport za prawdę objawioną, lewica i liberałowie za podły stek bzdur, który ma utrudnić stworzenie rządu przez Tuska. Biedny prezydent będzie teraz między prezesem a Tuskiem i międzynarodową opinią. Spektakl obalania PiS zacznie się 11 grudnia. Miałem zaplanowaną tego dnia ważną wizytę lekarską, odwołałem ją.

Przed laty Sławomir Cenckiewicz, szef komisji i współautor „częstkowego raportu”, zaprosił mnie do kawiarni. To było na tyle dawno, że poszedłem, teraz bym nie poszedł. Chciał mi dać swoją grubą książkę o Annie Walentynowicz, w której gęsto korzystał z mojej książki „Życie Anny Walentynowicz”, wydanej w podziemiu w 1986 r., a potem przedrukowanej oficjalnie. Bardzo książkę chwalił. Przed spotkaniem zlustrował mnie dokładnie, przeglądając moje teczkę, i był pod wrażeniem, mucha nie siada. Wydał mi się kulturalny i rozsądny. No i co się porobiło... „Częstkowy raport” sugeruje, że Tusk był agentem rosyjskim, sterowanym przez Putina. I pomyśleć, że taki człowiek będzie premierem. Aż ciarki idą po plecach.

Wiedza i prawo bywają bezradne, gdy stają naprzeciw troglodytów.

W mediach publicznych drgawki przedśmiertne, żadnego wyciszenia, wymiotują treścią, którą trawia od lat. Bardzo się martwię o stan umysłów sekty smoleńskiej. Jak żyć w kraju, którego premierem będzie przyjaciel zbrodniarza Putina, odpowiedzialnego za zbrodnię smoleńską? A zarazem sługa Niemiec. Jak żyć? To za komuny było lepiej.

Jerzy Stępień, kiedyś prezes Trybunału Konstytucyjnego, mówi mi, że był na spotkaniu najwybitniejszych polskich konstytucjonalistów. I miał niedoparte wrażenie, że wiedza i prawo bywają bezradne, gdy stają naprzeciw troglodytów.

Czytam biografię Igora Mitoraja, nie najlepiej napisaną, trochę archaiczna w formie, szkoda. Ogromnie cenię

tego rzeźbiarza, autora niezwykłych rzeźb i pomników. Kto wie, czy to nie najbardziej w świecie znany polski artysta drugiej połowy XX w. A w kraju chyba niedoceniony. Jego rzeźby stoją w ważnych miejscach, widziałem je w Paryżu, w Krakowie na rynku, w Santa Cruz na Teneryfie, zawsze robiły na mnie wrażenie. Nagie postacie wzorowane na rzeźbach antycznych, spatynowane przez czas, niekiedy bez ręki, nogi, jakby okaleczone. Łączą kulturę antyczną z naszą. Dużą część życia Mitoraj spędził we Włoszech w małym miasteczku Pietrasanta. Jego rzeźby tym bardziej niezwykłe, że żyjemy w czasach upadku pomnikowej rzeźby. Koszmar setek Janów Pawłow II rozsianych po Polsce, liczne Lechy Kaczyńskie, to wszystko okropne. Ale inne współczesne pomniki, nienaznaczone religią i polityką, też koszmarnie.

Na tym tle podoba mi się sztuczna palma na rondzie de Gaulle’a, bardziej obiekt niż rzeźba. Bardzo lubiłem tęczę na placu Zbawiciela, była uśmiechnięta, została zniszczona przez homofobów. Jaka szkoda, że nikt nie

wpadł na pomysł, by skorzystał z rzeźb sędziwego Józefa Wilkonja. Rozmawiałem z nim kiedyś o tym, oglądając w Zalesiu niezwykle rzeźby w drewnie i w blasze w ogrodzie jego podwarszawskiego domu. Niektóre

aż się proszą, by je ustawiać na placach. A co z pomnikiem katastrofy smoleńskiej na placu Piłsudskiego? Marmurowe schodki, czarna bryła. Autorem jest znany i ciekawy twórca Jerzy Kalina. Pomnik stoi w złym miejscu, ale nie wadzi mi jako dzieło sztuki, trochę przypomina czarny obiekt z kosmosu. A sprawa zamachu smoleńskiego zupełnie zacięła, skończyło się paliwo polityczne. I samolot spadł jakby po raz drugi. Już nawet nie wiemy, czy komisja żyje, czy martwa, widać jedynie Macierewicza, jak z obłędem w oku przemierza sejmowe korytarze. Wedle prezesa zamach był, tylko tak podstępny, że nie da się go udowodnić. Jakaś rola w tym Tuska i Putina.

Zdumiewające zjawisko, kiedy słucham muzyki z komputera, od jakiegoś czasu wchodzą na nią odgłosy z innego świata, jakbym go podsłuchiwał. Język orientalny, może chiński, słychać hałas ulicy, rozgorączkowany gwar rozmów, czasami odgłosy jakiejś gry, kłótnie, spory. Doprowadza mnie to do szału, przeszkadza słuchać muzyki, ale też fascynuje. I myśl: czy to nie może działać w obie strony?

Abakany i dywany

Wystawy Jolanty Owidzkiej i Magdaleny Abakanowicz w 1960 r. zwiastowały lawinę wydarzeń, które zmieniły oblicze polskiej i światowej sztuki



Rzeźby Magdaleny Abakanowicz. Muzeum Rzeźby Polskiej w Orońsku, 2019 r.

Katarzyna Jasiołek

W latach powojennych oficjalną część życia tkaniny artystycznej odbiorcy mogli śledzić w salach galerii i muzeów, na łamach prasy czy w katalogach towarzyszących wystawom zbiorowym. Tkaniny stanowiły tu jedynie tło, organizowały przestrzeń, dzieląc ją na części, leżały na podłodze w otoczeniu mebli, ceramiki, szkła, metaloplastyki. Ot, jak choćby na ogólnopolskich wystawach architektury wnętrz i sztuki dekoracyjnej, które odbyły się w Warszawie w 1952 i 1957 r., czy też na wystawie z okazji 30-lecia „Ładu” w 1956 r.

Indywidualnych wystaw tkaniny w Polsce nie było aż do 1960 r. – co nie powinno dziwić, bo czy rzemiosło – sztuka użytkowa – zasługuje na podobne traktowanie jak sztuki wysokiej, czyli malarstwa, grafiki warsztatowa czy rzeźba? Dziś to pytanie retoryczne, ale na szczęście w końcu

nadeszła zmiana w myśleniu samych artystek i artystów, a także krytyków sztuki i muzealników. W 1960 r. w Warszawie mieliśmy do czynienia z dwoma wystawienniczymi precedensami, których bohaterkami były Jolanta Owidzka i Magdalena Abakanowicz, dwie wybitne artystki o różnym podejściu do tkactwa. Wystawy te zwiastowały lawinę wydarzeń, które zmieniły oblicze polskiej i światowej sztuki.

A wszystko zaczęło się, przynajmniej oficjalnie, 2 kwietnia w niewielkim wnętrzu warszawskiej galerii Kordegarda, gdzie otwarta została ekspozycja prac Magdaleny Abakanowicz. Można było wśród nich zobaczyć „Kompozycję”, w której na lniane płótno artystka naniosła farbami abstrakcyjny wzór, wpisujący się w poodwilżowe eksperymenty. Krytykom trudno było zaszklifikować prace, bo nie było to ani malarstwo, ani tkanina artystyczna w formie, do jakiej przywykli.

Abakanowicz miała, co oczywiste, na swoim koncie już pewne sukcesy związane z tkaniną malowaną. Projektowała i wykonywała duże kompozycje dopełniające wnętrza – jak chociażby te na Targach Poznańskich czy Targach Lipskich, w muzeum w Pułtusku, Szydłowcu, w biurze amerykańskich linii lotniczych, a w mniejszej skali: w jednym z wnętrz na Osiedlu Młodych w Warszawie. (...)

Za projekty tkanin malowanych Abakanowicz otrzymała kilka nagród i wyróżnień, np. pierwszą nagrodę w konkursie spółdzielni „Ład” oraz na wystawie z okazji 30-lecia „Ładu”. (...) W roku 1957 dwie tkaniny malowane artystki można było zobaczyć na objazdowej wystawie sztuki polskiej w Izmirze, Bombaju, Kairze, Damaszku i Bagdadzie, a dwa lata później dwa jej gobeliny na organizowanej przez CPLiA objazdowej wystawie po Stanach Zjednoczonych. Ten etap w twórczości Abakanowicz

zamykała właśnie wystawa w warszawskiej Kordegardzie, na której artystka jawiła się jeszcze jako malarka-projektantka. To zawieszenie między dziedzinami sztuki widać było na ekspozycji – obok malowanych Inów pojawiły się tam prace olejne, gwasze oraz jeden niewielkich rozmiarów kilim.

Magdalena Abakanowicz urodziła się w podwarszawskich Falentach. W 1944 r. rodzina przeniosła się do Gdańska. Tu zaczęła się przygoda przyszłej artystki ze sportem, bo choć skończyła liceum plastyczne w Gdyni, została także lekkoatletką z medalami na koncie. W 1955 r. uzyskała dyplom na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, a później także w sopockiej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych. Od 1965 r. prowadziła zajęcia na jeszcze innej uczelni – w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu, gdzie w 1979 r. otrzymała tytuł profesorski. Chociaż Abakanowicz wraz z innymi naszymi artystami odniosła sukcesy już podczas pierwszej edycji biennale w Lozannie, tak naprawdę dopiero złoty medal na biennale w São Paulo uznać można za moment rozpoczynający jej wielką międzynarodową karierę. Czy w roli artystki tkaniny? Niekoniecznie, choć z dziedziną tą będzie kojarzona do końca życia. Jeśli jednak spojrzeć na dorobek Abakanowicz, tkanina stanowi w nim ostatecznie niezbyt długą czasowo przygodę. Była teoretyczką sztuki, tworzyła rzeźby, instalacje przestrzenne, projekty architektoniczne, wreszcie rzeźby funkcjonujące w przestrzeni publicznej, które można oglądać w Europie, Stanach Zjednoczonych, Azji, Australii.

Przy okazji wystawy artystki w Zachęcie w 1975 r. historyk sztuki Stefan Morawski pisał na łamach „Projektu”, że „przesunięcie punktu ciężkości z płaszczyzny ku przestrzeni, z materii jeszcze geometryzowanej ku materii jakby poddanej



Praca z wystawy „Jolanta Owidzka. Tkaniny dawne i nowe”, Galeria DAP1 w Warszawie, 2019 r.

organicznemu pędowi, od łagodnej ekspresji fakturowej do ostrej ekspresji pęknięć, szczelin i poszarpanego obrzeża, od przedmiotu do oglądania w dystansie kontemplacyjnym do niepokoju sytuacyjnego” nastąpiło u Abakanowicz pomiędzy pierwszym lozańskim biennale w 1962 r. a 1966 r. Potem prace artystki stały się monumentalnymi rzeźbami.

Magdalena Abakanowicz chciała być twórcą uniwersalnym, a nie kobietą-artystką, uwikłaną w typowo kobiecą, odwieczną pracę przy krosnach.

„Tkaniny zostały w czarodziejski sposób zamienione w dziwotwory w grotach górskich lub podwodnych, zmierzwione i włochate zwisami gwałtownymi bądź melancholijnymi przypominają gęstwinę roślinności podzwrotnikowej. Czasem znów budowane są tak, że wydają się sugerować układy najpierwotniejsze – menhirów i kromlechów. Poruszamy się pośród nich, wchłaniania w nisze ich ścian albo trzymaniem w odległości od ich wypukłej kadłubopodobnej powłoki; czujemy ich twardość lub miękkość” (...), pisał Morawski, przedstawiając w zwięzłej formie

zainteresowania Abakanowicz do końca lat 70.

Na wystawie w 1975 r. dostrzegł u artystki kolejny przełom. Obok tworzywa dotychczas używanego sięgnięła ona również po płótno krawieckie i workowe, poza skalą monumentalną zaczęła interesować ją zaś także skala przyziemna, w której znalazło się nawet miejsce dla człowieka. Morawski pisał: „Figury ludzkie – manekiny wymacerowane i uwiędłe, w monotonnym szeregu oraz towarzyszące im poprute, jakby zagipsowane głowy, rozrzucone w pobliskiej przestrzeni – tworzą metaforyczny symbol ludzi skażonych milczeniem i apatią, ludzkości na śmietniku. Ekspresja tych kikutów współgra znakomicie z jakby wyjętymi z totemowej procesji makrobtamami czarnej tkaniny osuwającymi się ku podłodze w sposób niemal uroczysty. Tak więc i tutaj odnajdujemy zarazem ciągłość dążeń artystycznych Abakanowicz, jak i jej nieustanne przekraczanie własnych osiągnięć”.

Tekst ten powstał po tym, gdy Abakanowicz zaprezentowała już światu swoje pierwsze rzeźby z płótna jutowego utwardzanego żywicą. Była

znana w Europie i Stanach Zjednoczonych jako artystka tkaniny, miała za sobą wiele wystaw zbiorowych i indywidualnych, dzięki którym już zawsze była kojarzona z tym medium.

Anda Rottenberg twierdziła jednak, że etykieta ta była wbrew intencjom Abakanowicz: „»Nie jestem tkaczką«. Podkreślała to zawsze, kiedy rozmowa schodziła na »Abakany«. Tak, jakby materiał i technika z samej definicji deprecjonowały artystyczną rangę jej dzieł. Chciała być twórcą uniwersalnym, a nie kobietą-artystką, uwikłaną w typowo kobiecą, odwieczną pracę przy krosnach. ▶

► Co innego juta, tkanina »najniższej rangi«, służąca do produkcji worków, używana przez nią do formowania dziesiątek kobiecych, męskich i dziecięcych sylwet”. (...)

Zostańmy jeszcze na chwilę w 1960 r. Jolanta Owidzka, bohaterka drugiej ważnej wystawy, zapytana o to, czy własne prace postrzega jako sztukę, czy jako rzemiosło, odpowiadała: „A prof. Szymański, wspaniały artysta, zawsze mówił, że nie jest sztuką zrobić pracę, która się trzem kolegom będzie podobała, a jest sztuką zrobić dzieło, które będzie odpowiadać zamówieniu klienta, pozostając jednocześnie dziełem sztuki. I to mi przyświeca przez całą drogę mojej twórczości”.

Wystawę otwarto 16 listopada, a na ekspozycji w Zachęcie zobaczyć można było dywany strzyżone typu Rij – wykonane w technice od wieków znanej w krajach skandynawskich, która rozgłos na świecie zdobyła w latach 50. Na tamach „Projektu” można było przeczytać: „Prace Owidzkiej, a już szczególnie ostatnie dywany wskazują na pogłębiający się stale pierwiastek malarskich inspiracji. Mniej już obowiązujący staje tu rygor geometryzowanych, podkreślanych czernią podziałów. Pojawia się gra nieregularnych, miękko przechodzących w siebie plam kolorystycznych. Dywan powieszony w pionie staje się pokrewny obrazowi. Ta właśnie cecha wyróżnia prace Owidzkiej wśród innych naszych, raczej tradycyjnych, realizacji tkackich. Ekspozycję tkanin przygotował Oskar Hansen, układając je głównie w poziomie na kilku wysokościach, a nawet podwieszając na obniżonym daszku (...)”.

Wystawie towarzyszył niewielkich rozmiarów katalog utrzymany w kolorze ostrej czerwieni i opatrzone nie tylko spisem prac i krótkimi informacjami biograficznymi, lecz także wstępem autorstwa historyka i krytyka sztuki Ryszarda Stanisławskiego. Pisał on: „Artystów plastyków przyzwyczajono się dzielić niejako na dwie kategorie: na artystów »prawdziwych« uprawiających sztukę »czystą« oraz na tych, którzy zajmują się sztuką pośledniejszą, tzw. użytkową. Niezależnie od istniejących rzeczywiście



Magdalena Abakanowicz, „Kompozycja Monumentalna”, 1973-1975.
Wystawa „Rzeźba w poszukiwaniu miejsca”, Zachęta, 2021 r.

odrębności poszczególnych dziedzin twórczych nie można zgodzić się z drastycznością tego arbitralnego podziału. Zarówno bowiem granice niektórych dyscyplin w wielu wypadkach są niemal nieuchwytne, a w każdym razie zacierają się coraz bardziej, jak również próby generalizowania i schematyzowania zjawisk i postaw artystycznych wydają się zgoła sprzeczne z istotą rozwijającej się sztuki współczesnej. Wyszedłszy raz poza utarte szablony, sztuka staje się tym, czym być musi – wyrazem własnego osobistego stosunku artysty do różnorodnej problematyki otaczającej rzeczywistości, zgodnie ze świadomością i wrażliwością jednostki w oparciu o wybrane czy też wręcz wynalezione przez siebie środki artystycznej wypowiedzi (...)”.

Taką właśnie postawę reprezentowała zdaniem Stanisławskiego Owidzka, która choć sięgała po powszechnie znaną technikę, wybiegła myślami daleko poza charakterystyczne dla niej wzory. Mówiąc krótko: była nowatorką.

„Owidzka podejmuje z całkowitą świadomością wagi zagadnienia jeden z kapitalnych problemów sztuki współczesnej. Jest nim ciągle szeroko otwarty problem związku malarstwa nowoczesnego ze sztuką użytkową i poprzez nią z przemysłem i architekturą. Kompozycje dywanowe Owidzkiej z ich ogromnym bogactwem inwencji twórczej noszą cechy malarstwa abstrakcyjnego, jednak podporządkowanego ściśle określonej funkcji użytkowej – ona wydaje się być punktem

wyjścia, głównym wyznacznikiem dla koncepcji plastycznej, decydującej z kolei o artystycznej wartości przedmiotu. Tak pojęta tkanina dywanowa staje się pełnowartościowym komponentem nowoczesnego wnętrza”, pisał Stanisławski, by dodać, że dywany artystki można było oglądać z równą satysfakcją pod różnymi kątami, a także z różnych miejsc w pomieszczeniu, co umożliwiał abstrakcyjny układ form. Tu z pomocą Owidzkiej przyszła nie tylko umiejętność tkania, lecz także wiedza teoretyczna z dziedziny kompozycji wnętrza.

Kilka lat później wystawę Owidzkiej z 1960 r. na łamach „Projektu” wzięła pod lupę Danuta Wróblewska. Ponieważ nie była to już recenzja pisana na gorąco, sprzymierzeńcem krytyczki był czas, pozwalający ocenić i docenić, jak doniosłe wydarzenie dla polskiej sztuki miało miejsce sześć lat wcześniej: „I to był właśnie ten pierwszy w tkaninie sygnał nowego myślenia. Do sal przyjmujących w poprzednich latach głównie żakardy, ludowość i skąpe, naturalne koloryzacje, wkroczyło tkactwo wynikłe z malarskiego koloru i rozmachu. Rzucono kaskady czystych i śmiało łączonych barw, temperowane jedynie spokojnym, geometryzującym układem; zmateriałizowały się pierwsze grube faktury. Ale tuż obok dywanów i kilimów, spełniających potrzebę swobodnego koloru (...)”.

Owidzka urodziła się w Radomiu, a podczas okupacji uczęszczała do szkoły krawieckiej siostr zmartwychwstanek na warszawskim Żoliborzu, która była przykrywką dla tajnego gimnazjum. Obok innych przedmiotów uczyła się tam kroju i szycia. Co prawda niespecjalnie za tym przepadała, ale mama sugerowała jej studia w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Krakowie, gdzie rzekomo miał zostać zorganizowany dział żurnalistyki i mody. Miała szczęście – nic takiego się nie wydarzyło, prężnie działały tam jednak Wydział Malarstwa i Katedra Gobelinu prowadzona przez prof. Stefana Gałkowskiego. Już samo grono profesorskie było znakomite: prof. Zdzisław Gedliczka uczył

splotów i technik, Natalia Stadtmüllerowa pracy z koronkami, Franciszek Walczowski malarstwa na tkaninie, Eustachy Wasilkowski martwych natur, a w tajniki organizowania kadru obrazu i umieszczania przedmiotów we wzajemnych relacjach przyszłą artystkę wprowadzał sam Tadeusz Kantor.

Po półtora roku studentka jednak porzuciła Kraków. Jej rodzice przenieśli się z Dąbrowy Górniczej (gdzie ojciec był dyrektorem fabryki) do Warszawy, a że ojciec był już słabego zdrowia, musiała im towarzyszyć. Żał jej było profesorów, kolegów i koleżanek, szczególnie że powojenna Warszawa była miastem zupełnie innym niż Kraków. Wszędzie gruzy, chodziło się po usypianych z nich górach i dolinach. Na szczęście pracownia Eleonory Plutyńskiej okazała się fascynującym miejscem. (...)

Jolanta Owidzka stworzyła dziesiątki tkanin monumentalnych: do biur LOT-u, samolotów czy warszawskiego hotelu Victoria.

Owidzka otrzymała dyplom w 1952 r. Po studiach pracowała w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego. Projektowała tkaniny, które wykonywano w dłuższych seriach, a gdy profil instytutu ewoluował w stronę placówki badawczej, wspólnie z Danutą Ejsmont-Szarras dostała temat „Rola tkaniny we współczesnym wnętrzu mieszkalnym”. „I cały czas mowa była o tym, że musimy znaleźć nowy styl wzornictwa, w którym wszystkie dziedziny będą miały jakiś wspólny mianownik. I to było to poszukiwanie wspólnej skali [...] polskiego współczesnego stylu. W warunkach bardzo wielkiej biedy, bo jeszcze warunki mieszkaniowe były ograniczone, przy przydziale mieszkań uwzględniano minimalną ilość metrów kwadratowych na osobę. Więc te mieszkania były wielofunkcyjne. Musiały mieć powierzchnie, które jednocześnie były przeznaczone i do wypoczynku, i do pracy, i jako jadalnia. Przy pomocy tkaniny starałyśmy się jakoś wydzielić te funkcje, a jednocześnie

znaleźć jakiś wspólny mianownik tego wszystkiego”. (...)

Artystka w instytucie pracowała do 1957 r., a od 1958 r. zasiadała w komisjach oceniających projekty tkanin na potrzeby przemysłu i spółdzielczości. Przed słynną wystawą w Zachęcie prace Owidzkiej można było oglądać chociażby na 2. Ogólnopolskiej Wystawie Architektury Wnętrz i Sztuki Dekoracyjnej w 1957 r., na wystawach Pracowni Doświadczalnej ZPAP, na Targach Poznańskich, a także na ekspozycjach zagranicznych: w Zurychu, Genewie, Chinach, Kairze, Aleksandrii, Bagdadzie, Damaszku, Izmirze, Bombaju, Londynie, Budapeszcie i Kolonii.

Jednym z kolejnych przystanków było 1. Biennale w Lozannie, o którym mówiła: „Polskie prace stanowiły novum. Dla gobelinu francuskiego charakterystyczne jest przede

wszystkim to, że osnowa całkowicie jest przykryta wątkiem i że formy są tkane tak czy inaczej. A u nas osnowa odgrywała rolę nie tylko konstrukcji, ale i ujawniania konstrukcji, wprowadzaliśmy też różne nowe surowce, nie tylko wełnę. To miało ogromne działanie. Pamiętam jeszcze w Akademii, jak prof. Marek Włodarski tłumaczył nam, że nie o to chodzi, żeby praca była piękna, ale działająca. Ja lubiłam, żeby było piękne, ale i rzeczywiście działające”.

Po pierwszej odsłonie Lozanny przyszły kolejne i wiele wystaw na całym świecie. Artystka stworzyła dziesiątki tkanin monumentalnych do wnętrz reprezentacyjnych: biur LOT-u, samolotów, recepcji dla gości rządu na Dworcu Centralnym czy warszawskiego hotelu Victoria. Jeśli można by pokusić się o użycie jednego słowa, by określić jej tkaniny – to niewątpliwie powinno być to słowo „malarskie”. (...)

Fragmenty książki Katarzyny Jasiołek *Tkanina. Sztuka i rzemiosło*, Marginesy, Warszawa 2023



STARSZA ONA, MŁODSZY ON

Miłość wbrew metryce

Rozmawia Beata Biały

Czy mogę mieć młodszego kochanka? Czy seks w związku z dużą różnicą wieku jest lepszy, czy gorszy niż seks równolatków?

– Seks może być albo dobry, albo zły, i to niezależnie od różnicy wieku. Rozumiem, że pytasz o seks starszej kobiety z młodszym mężczyzną. Duża różnica wieku partnerów w tę stronę jest coraz częściej spotykana. Kiedyś związki „starsza ona, młodszy on” budziły sensację, choć różnica wieku w drugą stronę była od wieków akceptowaną normą. Myślę, że nie ma dobrej odpowiedzi na pytanie, czy seks w związkach z dużą różnicą wieku jest lepszy niż seks równolatków. Lepsze jest to, co danej osobie sprawia satysfakcję, przyjemność, odpowiada. Określenie „duża różnica wieku” również jest kwestią umowną, ale zwykle myślimy o różnicy rzędu 10 lub więcej lat. Ponieważ jesteśmy różnorodni pod względem seksualnym, uczuciowym, preferencyjnym, części osób tego typu związki dają większą satysfakcję i dlatego je wybierają. Na pewno starsza kobieta, bardziej doświadczona życiowo i seksualnie, otwarta i świadoma swojej seksualności może być dla młodego, mniej doświadczonego mężczyzny atrakcyjną kochanką. W tej relacji mężczyzna może oczekiwać, że kobieta nauczy go seksu i sprawi mu przyjemność.

Starsza partnerka jest też częściej samowystarczalna i może pełnić rolę jego „opiekunki”. Czasem pomaga młodszemu mężczyźnie w utrzymaniu, karierze, sama czerpiąc satysfakcję z jego seksualnej młodości, co stanowi odwrócenie kulturowo bardziej powszechnego scenariusza „kobiety utrzymanki”.

Co pociągającego widzi młody chłopak w seksie z dużo starszą kobietą? On ma 20 lat, ona 40 albo on 30, ona 50.

– Biorąc pod uwagę kryteria wizualne czy biologiczne, wiele współczesnych 40-, 50-latek wygląda podobnie jak pokolenie ich córek. Więc różnica wieku na tym etapie może być w ogóle nieodczuwalna. Pewnym zagrożeniem jest to, co może zadziać się potem, za 10 czy 20 lat. Ta odczuwalna różnica wieku z czasem zacznie się pogłębiać, co z kolei może się przełożyć na kryzys w związku. Poza tym atrakcyjność seksualna to nie tylko i wyłącznie opakowanie, ale też osobowość, seksapil, który wykracza poza elementy wyglądu zewnętrznego. Mamy tendencję do bardzo silnego wartościowania walorów fizycznych w kontekście seksualności. Seks jest kojarzony z młodością, witalnością. Natomiast pamiętajmy, że są jeszcze inne elementy, które mogą być atrakcyjne seksualnie.

PROF. MICHAŁ LEW-STAROWICZ

– seksuolog, psychiatra, psychoterapeuta

Część osób wskazuje na to, że dla nich atrakcyjność seksualna jest w najmniejszym stopniu związana z wyglądem czy atrybutami fizycznymi, za to szczególnie atrakcyjne czy stymulujące są dla nich różne cechy osobowości, charakteru, intelektu, posiadanie wspólnych pasji. Zatem seksualność musimy rozpatrywać w szerokim spektrum. Dla niektórych ludzi w kontekście więzi erotycznej stosunek seksualny może być tylko jedną, wcale nie podstawową i dominującą formą relacji. I to powinno zamykać dyskusję, co jest lepsze, a co gorsze. Lepsze jest to, co ludzie w sposób świadomy dla siebie wybierają, co daje im poczucie spełnienia, radości z bycia razem.

Co daje młodemu chłopakowi starsza kobieta? Namietność i doświadczenie w seksie, brak pruderii, otwartość...

– To jedna z wielu możliwości. Unikajmy upraszczania i sprowadzania relacji do jednego mianownika. Przecież 20-latką też może być bardzo otwarta i bezpruderyjna, a 50-latką wręcz przeciwnie – konserwatywna lub zakłopotana w sferze erotycznej.

Taka konserwatywna raczej nie wejdzie w związek z dużo młodszym mężczyzną.

– Kto wie? Serce nie służy. Z drugiej strony kto powiedział, że każdy młody mężczyzna szuka w związku bezpruderyjnego seksu? Może przecież szukać w relacji przede wszystkim opiekuńczości, matczynej troski, poczucia bezpieczeństwa. Nie możemy się dopatrywać w związkach z różnicą wieku jedynie motywów seksualnych. Starsza kobieta może realizować w relacji z młodszym partnerem właśnie potrzebę opiekuńczości. Jeżeli do tej pory była mało otwarta w kwestii seksu albo zagląda jej w oczy widmo nadciągającej starości, a w swoim życiu nie spełniła się seksualnie, to taka relacja może działać na nią stymulująco, dawać poczucie cofnięcia się w czasie.

Przypomniał mi się film „Powodzenia, Leo Grande”. Emerytowana katechетка, która nawet nie zaznała w życiu orgazmu, po śmierci męża wynajmuje sexworkera. On ma jej pokazać wszystkie przyjemności

w seksie, które ją ominęły. Ale wracając do pytania – co jeszcze może dać starsza kobieta młodemu chłopakowi?

– Mam pewien problem w pozostawianiu w kanonie takiej rozmowy. Zobacz, jak bardzo szeregujemy. To tak, jakby wiek kobiety i różnica wieku względem partnera stanowiły główną definicję tej osoby. Musimy też pamiętać, że istnieje bardzo duża różnorodność między osobami w danej grupie wiekowej. Wiek jest z pewnością istotną zmienną, ale nie czymś, co jednoznacznie definiuje człowieka. To, co mamy do zaoferowania partnerom, nie zależy wyłącznie ani nawet w głównej mierze od naszego wieku.

Seks jest kojarzony z młodością, witalnością. Ale pamiętajmy, że są jeszcze inne elementy, które mogą być atrakcyjne seksualnie.

Wciąż jednak wracam do tego pytania, bo sama przez lata byłam w takim związku i długo zastanawiałam się, co on we mnie widzi. Nie ma w tym pytaniu żadnej oceny, szeregowania, szufladkowania. Po prostu chcę wiedzieć. Bo różnica wieku 20 czy 30 lat jest zauważalna właściwie w każdym aspekcie.

– Na pewno jest zauważalna z perspektywy doświadczenia życiowego – nie zawsze seksualnego, bo osoba młodsza czasami może mieć bardziej bujne doświadczenia seksualne.

Nawet nie chodzi mi tylko o życie seksualne, ale o życie w ogóle. Weźmy chociażby prezydenta Francji i jego żonę.

– Nigdy nie konsultowałem ich w swoim gabinecie, trudno mi spekulować na temat ich związku. Ale są różne powody i motywacje do tego, jak ludzie się wiążą. I jeżeli pytasz, co może przynosić związek z różnicą wieku, to osoba starsza może być przewodnikiem życiowym, mentorem, biorąc pod uwagę jej doświadczenie, pomocą w wielu kwestiach. Może mu imponować swoimi osiągnięciami życiowymi. Może wspierać jego rozwój zawodowy i wspierać go materialnie. Może wypełniać deficyt matki, której

albo realnie nie było, albo nie wywiązywała się ze swojej roli. Dla młodego mężczyzny, który nie chce być ojcem, wygodny może być brak presji na prokreację. Jak widzisz, tego typu związek może zaspokajać różnicowane potrzeby.

Dobrze, a co ona ma ze związku z dużo młodszym facetem?

– Sama młodość jest atrakcyjna, stanowi istotny afrodyzjak, jak już mówiłem, pozwala symbolicznie cofnąć czas.

Że jeszcze raz przeżywa młodość, która jej gdzieś umknęła?

– Może mieć takie poczucie. O realizowaniu się kobiety w roli opiekunki albo w relacji seksualnej już wspomnieliśmy. Z czysto fi-

zycznego względu kobieta może odczuwać jako atrakcyjną większą responsywność młodego partnera, reaktywność i sprawność seksualną, chęć na częste kontakty seksualne. Atrakcyjna może być dla niej jego pewnego rodzaju niewinność, brak doświadczenia, gotowość do uczenia się od osoby z większym doświadczeniem. A nawet takie prozaiczne kwestie jak poczucie, że jest osobą silną, sprawną fizycznie, dającą mu poczucie bezpieczeństwa. Nie chcę już mówić o zaopiekowaniu się na stare lata, bo to rzadko kiedy jest świadomy cel czy argument. Istotne może być poczucie imponowania, tego, co jest w stanie zaoferować dzięki swojemu doświadczeniu życiowemu, seksualnemu, statusowi materialnemu itd. To może działać na nią dowartościowująco. Przy czym z dojrzałością w zestawieniu z wiekiem różnie bywa. Słyszałem w swoim gabinecie, że on jest młodszy o 20 lat, ale jest bardzo dojrzały czy mentalnie dużo starszy. To też trzeba brać pod uwagę – jak definiujemy odczuwanie wieku drugiej osoby. Starsza partnerka może być mniej dojrzała emocjonalnie i życiowo, niż na to wskazuje jej wiek biologiczny. ▶

► **A to nie jest tak, że kobietom towarzyszy jednak lęk, że on ją kiedyś zostawi? Że pewnego dnia spojrzy na nią, na siebie i zapyta: „Co ta stara kobieta robi obok mnie?”.** **Że przejrzy na oczy, a ona zostanie sama.**

– Słyszysz nieraz takie obawy, to rozumiem. Pewna prawie 50-letnia kobieta, atrakcyjna, zadbana, bardzo aktywna życiowo, opowiadała mi o swoim związku z dwudziestoparoletnim mężczyzną. Mówiła, że czuje się spełniona, kochana, zaopiekowana. Jest im po prostu ze sobą dobrze. A jednocześnie ma w sobie mechanizm ostrzegawczy, który mówi: „Uważaj, ostrożnie, nie angażuj się tak bardzo, różnica wieku zacznie mu kiedyś przeszkadzać”.

Związek jest taki, jacy są ludzie, którzy go tworzą. Początek każdej erotycznej relacji jest okresem najsilniejszych emocji i namiętności.

I ona myśli: „Rzeczywiście, przyjdzie w końcu czas, że zacznę się starzeć w sposób widoczny i przestanę być dla niego atrakcyjna”.

Wyobraziła sobie ich relację za 20 lat – ona dobiega siedemdziesiątki, on ledwie skończył czterdziestkę. Będzie chciał żyć aktywnie, chodzić na imprezy, mieć częsty seks, a ona może być już na zupełnie innym etapie. W związku z tym stara się nie wyobrażać sobie, że będą ze sobą na zawsze. Żyje chwilą. Czuje jednak, że się angażuje, tego się nie da kontrolować. Tłumaczy sobie, że są ze sobą szczerzy, teraz jest dobrze, ale kiedyś może cierpieć. Inna sytuacja: kobieta żyje w związku równoległym – mąż i znacznie młodszy kochanek. Jedna z moich pacjentek nie miała problemu z tym, że on jest młodszy od niej o ćwierć wieku, tylko przeżywała dylemat bycia w podwójnej relacji – ze stałym partnerem, z którym więź erotyczna dawno już się wyczerpała, i namiętnego romansu ukrywanego przed mężem. W końcu nie wytrzymała tego napięcia, czuła się nie fair wobec męża i postanowiła rozstać się z kochankiem, a potem nostalgicznie wspominała przebudzenie

seksualne, jakiego z nim doznała. Choć miałem też parę, w której on – starszy pan, zgadzał się, by jego żona miała młodszych kochanków, bo on już nie ma ani siły, ani ochoty na seks.

Naprawdę są tacy mężczyźni?

– Tak, choć są to rzadkie sytuacje. W jednym przypadku jest to związek: on lat 70, ona lat 50, kochanek lat 26. Mieli wcześniej bardziej intensywny seks, ona zawsze miała duże potrzeby, on na początku w zupełności dawał radę, później już nieco mniej, a z czasem nabrał poczucia, że seks go już w ogóle nie interesuje, ma swój obszar większej aktywności zawodowej, towarzyskiej, sprawia mu to przyjemność. Akceptuje to i mówi: „Związałem się z młodszą

różne scenariusze związków. To, co byłoby nie do pomyślenia w dziesięciu relacjach, w jedenastej może być czymś dopuszczalnym, a w dwunastej zupełnie swobodnie włączonym w biografię tych osób.

Czy związek z dużą różnicą wieku jest bardziej emocjonalny?

– Związek jest taki, jacy są ludzie, którzy go tworzą. Początek każdej erotycznej relacji jest okresem najsilniejszych emocji i namiętności. Z czasem narasta przywiązanie, jeżeli bliskość emocjonalna się nie pogłębia, a namiętność przygasa, to ludzie zwykle się rozstają, chyba że pozostają w związku z czysto pragmatycznych względów.

Kiedy miłość się kończy?

– Miłość się kończy, kiedy człowiek nie czuje już bliskiej więzi emocjonalnej z drugą osobą, nie czuje, że to jest coś więcej niż tylko przyzwyczajenie. To często uczucie pewnej pustki w związku, zdystansowania. Każdy przeżywa to na swój sposób.

Jaki jest termin ważności związku „starsza ona, młodszy on”?

– To akurat nie ma nic wspólnego z różnicą wieku. Największa siła namiętności, pociągu seksualnego zwykle w odczuwalny sposób słabnie w ciągu kilkunastu miesięcy czy pierwszych lat trwania związku. Ocenia się, że namiętność jest najsilniejsza przez pierwszy rok-dwa lata związku, potem wiele zależy od innych czynników łączących dwoje ludzi oraz umiejętności podtrzymania więzi erotycznej. Siła namiętności ma bowiem tendencję do tego, żeby się zmniejszać. Choć nie u każdego tak samo.

Nawet biologia jest przeciwko takim związkom. Bo o ile związek ze starszym mężczyzną jest naturalny w tym sensie, że mężczyzna do końca życia może mieć dzieci, kobieta ma czas ograniczony.

– Czas zarezerwowany na płodność rzeczywiście jest ograniczony. Ale to nie przekreśla miłości ani więzi erotycznej.



Michał Lew-Starowicz, Beata Biały,
Spełniona. Czego pragną kobiety,
Rebis, Poznań 2023



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Czego nie czytać w wannie

Masz ci los, nie zażywałem waniennych kąpeli dawno, bo u mnie tylko prysznic, najchętniej letni – zachciało mi się w hotelu wylegiwać z książką w piśszczocie pian, ale skóra się odzwyczaiła i od leżenia w gorącej wodzie teraz pokrzywka i świąd. Lepiej i zdrowiej żyć „na Kałużyńskiego”, przypomnę, że ów ekscentryk nie mył się i był z tego dumny, choć nie było tak zawsze. Początkowo kłął się na wszystkie świętości, że myje się w balii, ale jako że zdradzał go niezapaszek, doradzono mu, by w takim razie zmieniał wodę. Kiedy przebywam na wyprawach górskich i biwakach jaskiniowych, gdzie z racji okoliczności higiena osobista jest zachowywana symbolicznie, po kilku dobach bez kąpeli przestaję śmierdzieć, wydzielam raczej pierwotny, zwierzęcy cuch. Czuję się wtedy jeszcze bardziej częścią, elementem fauny raczej niż społeczeństwa; wracam ku dolinom i załatuję przyjaźnie, kozice biorą mnie za ziomka, świstaki nie uciekają, chutliwe misiołaki porykują z kniei, myśląc, że to jakiś konkurent na rewirze. Mam wtedy na sobie czysty, aseptyczny brud, jestem umazany jaskiniowym błotem, zdrowo przepocony i właściwie zaimpregnowany na wszelkie wirusy. A w mieście – proszę bardzo, wyłażę z wanny i od razu nadaję się do dermatologa.

A zasiedziałem się, bo wpadł mi w ręce („Literatura na Świecie” nr 9-10/2023) nowy, wspaniały przekład „Woyzecka” autorstwa Jacka Burasa, intensywnie skolokwializowany, a nawet „gwarawy”. Tytułowy Büchnerowski nieszczęśnik fascynuje mnie bodaj, od kiedy pierwszy raz zobaczyłem w jego roli Klausa Kinskiego – ten to obłąkańców grać nie musiał, wystarczyło mu czerpać z obfitych zasobów własnego szaleństwa. W tekście tego ponurego dramatu pojawia się najbardziej depresyjna bajka wszech czasów, którą opowiada dzieciakom babcia (niebezpiecznie to czytać w gorącej wannie, bo człowiek od razu sprawdza, czy aby jakiej zyletki nie ma na podorędziu). W tłumaczeniu Burasa brzmi to tak: „Było raz jedne bardzo biedne dziecko, co nie miało ojca ani matki. Wszyscy umarli i nikogo już nie było na świecie. Wszyscy umarli, więc poszło i płakało dzień i noc. Ale na ziemi nie było już nikogo, więc postanowiło pójść do nieba. Księżyc patrzył się na dziecko bardzo miło, ale jak doszło do księżycy, to się okazało, że to jest ino zwiędły słonecznik. Jak potem doszło do gwiazd, to to były takie małe złote muszki, nabite na

szpilki, jak to robi dzierzba, co je nabija na kolce tarniny. A jak chciało znowu wrócić na ziemię, to się z niej zrobił przewrócony garnek, i dziecko było zupełnie same, i wtedy usiadło i zaczęło bardzo płakać, i tak siedzi do teraz i jest zupełnie same”. Jeśli ktoś chciał koniecznie wiedzieć, jak się czuje człowiek w fazie depresyjnej, ma odpowiedź.

Tak się zasiedziałem w tej wannie, bo zaraz po „Woyzecku” znalazłem w tym samym numerze „Literatury na Świecie” rewelacyjną mowę Clemensa Setza o koniu zwanym Mądrym Hansem. A w niej obraz jeszcze bardziej łamiący serce niż przytoczona bajka, właściwie tak żałosny i przejmujący, że z tej wanny ledwie wylażłem pełen obaw, że oto trafiłem na swego konia turyńskiego i odejdę od zmysłów jak Nietzsche.

Otóż na przełomie wieków XIX i XX niejaki Wilhelm von Osten pogrążył się w idée fixe nauczania koni

Jestem tym dzieckiem łkającym nad przewróconym garnkiem świata; jestem tym zagłuszonym koniem frontowym; ja, Woyzeck Kuczok.

alfabetu. Stworzył w tym celu specjalny system porozumiewania się ze zwierzętami, które jakoby wystukiwały kopytami poszczególne litery, a nawet słowa. Setz przywołuje efekty tego eksperymentu, które nawet przy furze dobrej woli trudno uznać za komunikatywne – konie kuszone marchewką nauczyły się coś tam wystukiwać, być może nawet chciały zaiste coś napisać, ale wychodził z tego bełkot, który odczytywać, a raczej interpretować potrafił tylko ich bakałarz. I tu zbliżamy się do obrazu, od którego mózg staje – po wybuchu wojny „mądre” konie zostały zarekwirowane przez armię i wyjechały na pierwszą linię walk. Setz pisze: „Zostały zagnane na pole bitwy. I nagle już nie umieją, jeśli kiedykolwiek umiały, porozumieć się z żywą duszą stukaniem. Lepiej nie próbujmy sobie wyobrazić, jak wytrenowane w języku stukania ogiery na froncie, nocą, albo nawet podczas ogluszających, dezorientujących walk, wciąż bezradnie wysyłają swoje znaki”. Jestem tym dzieckiem łkającym nad przewróconym garnkiem świata; jestem tym zagłuszonym koniem frontowym; ja, Woyzeck Kuczok.

Szymon Jastrzębowski,
Tomasz Związek

Gdy po pierwszych 3 tys. lat od ustąpienia lodowca i kilku fluktuacjach klimatu obumarłe szczątki traw i innych roślin pionierskich stworzyły cienką warstwę gleby, a ich systemy korzeniowe związały ze sobą miliony ziaren kwarcu, do gry weszły drzewa. Brzozy, osiki, wierzby i ona, królowa szczyrków i Kujaw: sosna. Objęła we władanie każdy, nawet najuboższy skrawek ziemi, który ludzie niebawem będą nazywać Puszcą Kampinoską. Palowym korzeniem zakotwiczyła się w lotnych piachach, a te drobniejsze wypuściła na zwiady w poszukiwaniu wody. Nic nie mogło jej powstrzymać. Nawet gdy wydmyowe piaski wściekle gnane przez zachodnie wiatry zasypywały ją niemal w całości, korzenie, wbrew odwiecznemu prawu grawitacji, zaczynały rosnąć ku górze, aż wydostały się na powierzchnię. Przypominają one korzenie oddechowe cypryśnika i pełnią podobną funkcję. Dzięki grubiej, ogniotrwałej korze sosny radziły sobie całkiem nieźle nawet z pożarami. Bez sosen nie istniałby krajobraz Puszczy Kampinoskiej.

Sosna zwyczajna (*Pinus sylvestris* L.) swoją nazwę gatunkową zawdzięcza powszechności występowania. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu była nazywana pospolitą, a i dziś mniej zorientowani w taksonomii roślin określają ją tym mianem. (...)

Paweł Przybylski, biolog molekularny, doktor nauk leśnych z Instytutu Badawczego Leśnictwa w Sękocinie Starym, który bada zmienność genetyczną najstarszych drzewostanów sosnowych w Puszczy Kampinoskiej i zajmuje się ochroną cennych puszczańskich genotypów, zapytany o kampinoską sosnę stwierdził: „Uważam, że nadzwyczajność sosny zwyczajnej jest paradoksalnie związana z jej pospolitością. Spektrum jej występowania jest olbrzymie. Wiąże się to bezpośrednio z możliwościami adaptacyjnymi tego gatunku. Jednocześnie sosna jest gatunkiem pionierskim i rośnie wszędzie tam, gdzie inne gatunki nie są w stanie. Z tego



SOSNA (nad)zwyczajna

Bez sosen nie istniałby krajobraz Puszczy Kampinoskiej

wszystkiego wynika bezpośrednio jej ważność ekonomiczna (...).

Historia powstania Puszczy Kampinoskiej i kształtowania się jej specyficznego ekosystemu po ostatnim zlodowaceniu jest ściśle związana z występowaniem sosen. Od czasu, gdy czoło lądolodu definitywnie wycofało się daleko na północ, pojawiło się wiele pokoleń drzew. Czy było ich na tyle dużo i czy warunki wzrostu były wystarczająco różnicujące, by wykształcił się ekotyp, rasa, a może nawet podgatunek specyficzny dla puszczy? Zdaniem Pawła Przybylskiego trzeba być w tej kwestii ostrożnym: „Istnienie ekotypu jakiegokolwiek gatunku trzeba dobrze udowodnić. W mojej prywatnej opinii sosna kampinowska to odrębny ekotyp, ale nie mam na to bezpośrednich dowodów. Trzeba w tym przypadku wziąć pod uwagę historię ewolucyjną tej konkretnej populacji. Z badań genetycznych, które wykonałem dla najstarszych fragmentów drzewostanów

sosnowych Puszczy Kampinoskiej, jasno wynika, że tamtejsze sosny stanowią jednolitą i odrębną pulę genetyczną. Obszar, na którym rosną, czyli mozaika wydym śródlądowych i terenów zabagnionych, także jest obszarem specyficznym. Wszystko to sprawia, że sosna kampinowska mogłaby być traktowana jako odrębny ekotyp. Nie mamy jednak informacji o puli genowej innych populacji występujących na Mazowszu, chociażby w Puszczy Białej czy w okolicach Warki. Tym samym trudno powiedzieć, czy ten ekotyp jest charakterystyczny wyłącznie dla Puszczy Kampinoskiej, czy może raczej dla obszaru całego Mazowsza. Niemniej uważam, że pule genetyczne zachowane na obszarze Kampinoskiego Parku Narodowego są niezwykle cenne i warte zachowania oraz ochrony”.

Tajemnicą poliszynela jest fakt, że Kampinoski Park Narodowy został utworzony na obszarze, na którym wcześniej prowadzono intensywną

gospodarkę leśną. Tym samym pochodzenie młodszych drzewostanów w puszczy pozostaje w większości nieznane i z dużym prawdopodobieństwem obce dla tego obszaru. Hipotezę tę potwierdza fakt, że zachowane informacje o proveniencji nasion nie wskazują na lokalne pochodzenie. Jednocześnie na podstawie badań genetycznych pokolenia matecznego i potomnego starodrzewów sosnowych wykazano, że informacja genetyczna niesiona przez pyłek pochodzący z otaczających je młodszych drzewostanów może przyczyniać się do utraty cennych alleli występujących w puli genetycznej najstarszych drzewostanów w parku narodowym. (...)

Naukowcy z Instytutu Badawczego Leśnictwa z inicjatywy Pawła Przybylskiego i we współpracy z pracownikami Kampinoskiego Parku Narodowego postanowili zapobiec dalszej utracie i mieszanii się pul genowych młodszych drzewostanów niewiadomego pochodzenia z tymi autochtonicznymi. Podjęli działania, których celem było połączenie ze sobą przynajmniej części najstarszych osobników sosny zwyczajnej rosnących na obszarze Puszczy Kampinoskiej. Zaaranżowanie takiej „randki” nie było jednak prostym zadaniem. Aby do niej doszło, drzewa należało najpierw sklonować. (...)

Mimo że drzewka na plantacji mierzą obecnie niewiele ponad metr, są to osobniki, których wiek fizjologiczny to nawet 200 lat.

Aby drzewa mogły się ze sobą „spotkać”, pozyskuje się niewielkie fragmenty pędów, zwane zrzesami, i szczepi się je na podkładkach, podobnie jak w wypadku drzew owocowych. W ten sposób pula genowa starego osobnika zostaje niejako skopiowana i przeniesiona w miejsce, gdzie będzie on mógł zostać zapylony przez inne osobniki sklonowane w taki sam sposób. Takie miejsca są nazywane plantacjami nasiennymi. Ta założona przez naukowców z Instytutu Badawczego Leśnictwa na terenie szkółki leśnej KPN w Julinku składa się z 43 genetycznych klonów sosny zwyczajnej rosnących

na obszarach ochrony ścisłej „Grani-ca”, „Wilków”, „Wiersze”, „Czerwińskie Góry” i „Sieraków”. Mimo że drzewka na plantacji mierzą obecnie niewiele ponad metr, są to osobniki, których wiek fizjologiczny to nawet 200 lat. Mamy nadzieję, że już niedługo doczekamy się pierwszych szyszek, a także nasion, które posłużą do wyhodowania sadzonek i wzbogacenia innych fragmentów parku o genotyp sosny kampinoskiej. (...)

Ochrona bioróżnorodności, o czym bardzo często się zapomina, to także działania na poziomie genetycznym.

Wśród kampinoskich sosen króluje ta „zwyczajna”. Wprawne oko w wielu miejscach parku dostrzeże także sosnę czarną, smołową i Banksa.

Nie wiemy, czy różnorodność alleli ukrytych w kodzie genetycznym najstarszych kampinoskich sosen okaże się decydująca dla przetrwania gatunku na tym obszarze. Nie wiemy też, czy i jak sztucznie wprowadzone młodsze drzewostany poradzą sobie ze zmianami klimatu. Być może te najstarsze sosny też zostały kiedyś posadzone bądź posiane, ale prawdopodobieństwo, że do produkcji sadzonek użyto nasion miejscowych drzew, jest bardzo duże. Oznacza to, że drzewa, z których pochodziły

Kampinoskiego Parku Narodowego może się wydarzyć szekspirowska tragedia. Na dużym terenie parku, także na obszarach ochrony ścisłej, będziemy obserwować ogromną ilość suchych, stojących drzew. Zabraknie natomiast młodego pokolenia lasu. W związku z tym należy rozważyć zmianę podejścia do obszarów ochrony ścisłej. Uważam, że powinny w nich być podejmowane działania zmierzające do sztucznego wywoływania różnego rodzaju zaburzeń lub nieingerowania w te występujące naturalnie. Wcześniej jednak

musielibyśmy doprowadzić do zmiany koncepcji funkcjonowania takich obszarów (...).“

Patrząc na Puszcę Kampinoską oczami ekologa, czyli naukowca zajmującego się badaniem wpływu środowiska na organizmy w nim żyjące oraz interakcji pomiędzy środowiskiem a organizmami, zauważymy, że jedyną nadzieją na skuteczne odnowienie sosen w Puszczy Kampinoskiej jest wielkoskalowe zaburzenie powstałe w sposób naturalny lub wywołane przez człowieka. Choć z perspek-

tywy administracji parku może to brzmieć niedorzecznie, Paweł Przybylski przekonuje, że nie ma w tym nic, co nie miałyby uzasadnienia w wymaganiach ekologicznych sosny zwyczajnej: „Coś dobrego, co może się przydarzyć tym populacjom, to wielki, choć niezbyt intensywny pożar powierzchniowy lub huragan. Oba te zaburzenia stwarzają olbrzymie ilości mikrosiedlisk i dodatkowo zapewniają ponowne włączenie pierwiastków (np. azotu, fosforu) do obiegu. Badania, które prowadziłem wraz z dr. Łukaszem Tyburskim i prof. Szymonem Jastrzębowskiem, jasno wskazują, że na obszarze Kampinoskiego Parku Narodowego brakuje efektywnego odnowienia naturalnego sosny zwyczajnej. Wynika to w głównej mierze z braku odpowiednich nisz ekologicznych, umożliwiających powstanie ▶

► i utrzymanie się siewek. Te z kolei powstają wyłącznie w wyniku wspomnianych wcześniej zaburzeń, powodujących przerwanie zwartej pokrywy roślinnej runa oraz wymieszanie wierzchnich warstw gleby”.

Dobrym przykładem niszy powstałej w wyniku oddziaływania silnych wiatrów są wykroty. Drzewo przewrócone wraz z bryłą korzeniową w naturalny sposób przygotowuje przestrzeń dla nowego pokolenia. Dzieje się to po pierwsze przez dopuszczenie większej ilości światła do dna lasu, a po drugie przez odstąpienie warstwy gleby mineralnej. W borach sosnowych runo, złożone zwykle z gęsto rosnących krzewinek borówki czernicy i brusznicy oraz mchów, stanowi nieprzepuszczalną barierę dla kiełkującego korzenia zarodkowego. Zapasy energetyczne

może nawet bardziej niż w latach 80. potrzebujemy alternatywy. Tymczasem niedobitki tych zamorskich sosen są usuwane z parku narodowego w ramach czynnej ochrony przyrody i tzw. przebudowy drzewostanów, w ramach której eliminuje się gatunki obce, by przywrócić skład gatunkowy lepiej dostosowany do siedliska. (...)

Zwykle rzadko przywiązujemy się do pojedynczych twórców przyrody. Znacznie częściej mówimy: „odwiedziłem Puszczę Kampinoską”, niż „byłem przy Dębie Kobendzy”. W krajobrazie są jednak także takie jego elementy, które trwale zapisują się w ludzkiej pamięci i wyobraźni. Stanowią swego rodzaju kamienie milowe lub drogowskazy. Stają się początkiem legend, podań, ale i opowieści jak najbardziej prawdziwych. Czasem

Dąb Powstańców. Jego historia jest w zasadzie bliźniacza do tej opowiedzianej przy Sośnie Powstańców – ten sam okres i ten sam okrutny sposób zakończenia życia młodych powstańców styczniowych. Szanse na prawdziwość tej opowieści są jednak znacznie większe, gdyż dąb liczy obecnie ok. 300 lat i już w 1863 r. z pewnością osiągnął pokaźne rozmiary.

Kolejną sosną strażniczką jest rosnąca w Obszarze Ochrony Ścisłej „Nart” Sosna Królowej Bony. To jedna z najstarszych i największych kampinoskich sosen. Z całą pewnością nie pamięta czasów królowej Bony, bo liczy 170-200 lat. Jej nazwa nawiązuje do rzekomej wizyty królowej w nieodległym Zamczysku, gdzie, jak głosi legenda, władczyni miała ukryć swój bajeczny skarb. (...)

Nie wszystkie kampinoskie sosny (i drzewa innych gatunków) noszą czyjeś imię lub odegrały bardziej lub mniej chwalebny rolę w historii. Większość to bezimiennie strażniczki.

Jedne to słynne sosny masztowe, które dzięki temu, że rosły w surowych wydmowych warunkach, wykształciły wąskie przyrosty i smukłe pnie, zwane strzałami. Inne w wyniku różnych życiowych historii przyjęły fantastyczne kształty i właśnie z ich powodu są nazywane kandelabrowymi. Jest też sosna „fotograficzna”, której pień tworzy jakby ramkę do zdjęć.

Strażniczkami krajobrazu z czasów, gdy puszcza była użytkowana gospodarczo, są wszystkie sosny noszące blizny w postaci spał żywicznych. Wiele z nich powoli zabliznia stare rany, które jednak jeszcze długo będą świadczyć o przeszłości i rodowodzie tych drzewostanów.

W puszczy rosną też sosny, o których istnieniu wiedzą nieliczni. Strzegą oni zazdrośnie tajemnicy ich lokalizacji. (...)

W perspektywie 50 lat na terenie Kampinoskiego Parku Narodowego może się wydarzyć szekspirowska tragedia.

w nasionach sosny są bardzo niewielkie i siewka bez dostępu do wody i składników odżywczych w bardzo krótkim czasie zamiera. (...)

Wśród kampinoskich sosen króluje ta „zwyczajna”. Nie jest to jednak jedyna przedstawicielka rodzaju *Pinus* w dzisiejszej puszczy. Wprawne oko turysty botanika w wielu miejscach parku dostrzeże także sosnę czarną, smołową i Banksa. To relikty czasów, gdy do kampinoskich lasów przykładano gospodarczą miarę. Te północnoamerykańskie krewniaczki naszej sosny były sadzone w różnych celach – z pewnością najważniejszy był ten ekonomiczny, ale pod lupę brano także ich odporność na zanieczyszczenia i suszę. W latach 80. XX w., gdy widmo katastrofy ekologicznej jawiło się już bardzo wyraźnie na horyzoncie, leśnicy poszukiwali gatunków, które mogłyby zastąpić rodzime odmiany. Wybierano głównie sosny i jodłę olbrzymią. Pewne nadzieje (podobnie jak dziś) wiązano także z daglezją zieloną – badania nad nią rozpoczęto już w XIX w. Dziś ciężko nad nami widmo katastrofy klimatycznej, a skutki globalnych zmian klimatu odczuwamy wszyscy. Kto wie,

wiążą się z jakąś ludzką historią, innym razem tworzą własną opowieść. (...) Na terenie Puszczy Kampinoskiej mamy dwa obiekty przyrodnicze związane z pamięcią o powstaniu styczniowym. Pierwszy to pozostałość po zwałonej uderzeniem pioruna w 1984 r. Sośnie Powstańców, która rosła na południowym skraju wsi Górki. Na jej konarach carscy siepacze wieszali powstańców pojmanych po bitwie pod Zaborowem Leśnym. (...) W momencie, gdy sosna padła, liczyła ok. 170 lat, co oznacza, że wykiełkowała ok. 1814 r., a w roku 1863 miała 50 lat i w surowych kampinoskich warunkach mogła mierzyć 14-16 m i mieć 16-20 cm pierśnicy. Nie są to raczej wymiary drzewa mogącego unieść ciężar wiszących ciał. Tak czy inaczej, choć po sośnie pozostał tylko fragment suchego pnia, w zbiorowej świadomości odwiedzających Puszczę Kampinoską jest ona strażniczką pamięci o tamtych wydarzeniach i ważnym elementem lokalnego krajobrazu.

Drugim drzewem o podobnej martyrologicznej przeszłości jest



Szymon Jastrzębowski, Tomasz Związek, Jacek Marek (fotografie), *Puszcza Kampinoska. Opowieści o wydmach, mokradłach i sosnach. Przewodnik po krajobrazach przyrodniczo-kulturowych*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2023

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Przegląd

Najlepiej przed świętami. Tuż po Czarnym Piątku, ale zanim zacznie się choinkowy chaos. Niektórzy robią to na wiosnę, ja raczej zimą: przegląd. Wymazy, mapy znamion, przestrzenie międzyczębowe, kamienie. W laboratorium pełna dyskrecja. Pani pyta o PESEL. – 79... – podaję, a ona aż podskakuje: – Ciszej! RODO! – mówi. Proszę tylko POKAZAĆ PESEL.

Wyciągam więc dowód z portfela, a ona jeszcze głośniejsze: – Skąd wymaz? – Z... (tu szepczę dyskretnie). – Z czego?! – pani nie daje za wygraną. – Z pochwy – mówię półgłosem. – Z POCHWY? – upewnia się, a głos ma, przysięgam, sceniczny. To małe, osiedlowe laboratorium, więc mówię „dzień dobry” sąsiadom, jakbym codziennie rano nie robiła niczego innego: poniedziałek wymazik, wtorek wymazik, środa wymazik, potem po bułki i do pracy. Przez chwilę czuję się jak znajomy profesor, który kupował jesienią krem mocujący do protez, nie chciałam, żeby wiedział, że patrzę.

U pana doktora też było ciekawie: – Rączki do góry, teraz nóżki. – Co pan z tymi nóżkami! – powiedziałam żartem, ale doktor się zasępił, może nawet obruszył. – Kończyny górne w górę – powiedział sucho, trochę obrażony. Ciekawe, z czego to wynika. Nie robimy się przecież malutcy w przychodniach, gabinetach, szpitalach. Owszem, niektórzy z nas dziecinnieją, ale – powiedzmy – to etap późniejszy. Jaką funkcję spełnia więc zdrobnienie? Czy mamy właśnie wejść w delikatny regres, pamiętać o posłuszeństwie i, wreszcie, „zachowywać się”?

Jest na to wiersz. Napisał go Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki. Poeta dobrze zaznajomiony ze szpitalnym żargonem pełnym zdrobnień, cycuszków, kupek, rączek itd.

III. List

*nie dam ci siebie w żadnej
postaci ani jako Ilnicki
ani jako Dycki nie wiem zresztą
który z nas jest bardziej*

*prawdomówny a który tylko pisze
wiersze i to na ketrelu
na setce ketrelu pisze mi się w natchnieniu
(nie myślę wówczas o zamuleniu*

*któremu podlegam) na czterech setkach ketrelu
jestem poeta wielki siusiam do butelki
(31 V 2015)*

No więc jak to: wielki poeta i do butelki „siusia”? Już samo sikanie – publiczne, bo w wierszu, byłoby kontrowersyjne. Dlaczego poeta dociska, „siusiąc”? Pytanie to zadano na poważnym seminarium w ramach Festiwalu Czesława Miłosza w Krakowie: czy gdyby podmienić siusianie na sikanie – byłaby to strata dla wiersza? I od razu odpowiedź: tak. Tak. Teraz mamy opowieść o medycznej infantyliczacji języka, ale też ironiczny portret „poety”, który po raz kolejny zrzuca swój romantyczny płaszczyk, wystawiając spod niego nie tylko brzuch, ale i siusia-

ka. Byłby to więc może nawet wiersz pisany przeciwko wzniosłości. Nie tylko wzniosłości poezji, ale i choroby. Już wcześniej zresztą, w pierwszych dwóch zwrotkach, Dycki zapowiada ten temat, bawiąc się w wierszu ketrelem, który nie jest niczym specjalnie radosnym i kojarzy się raczej z cierpieniem.

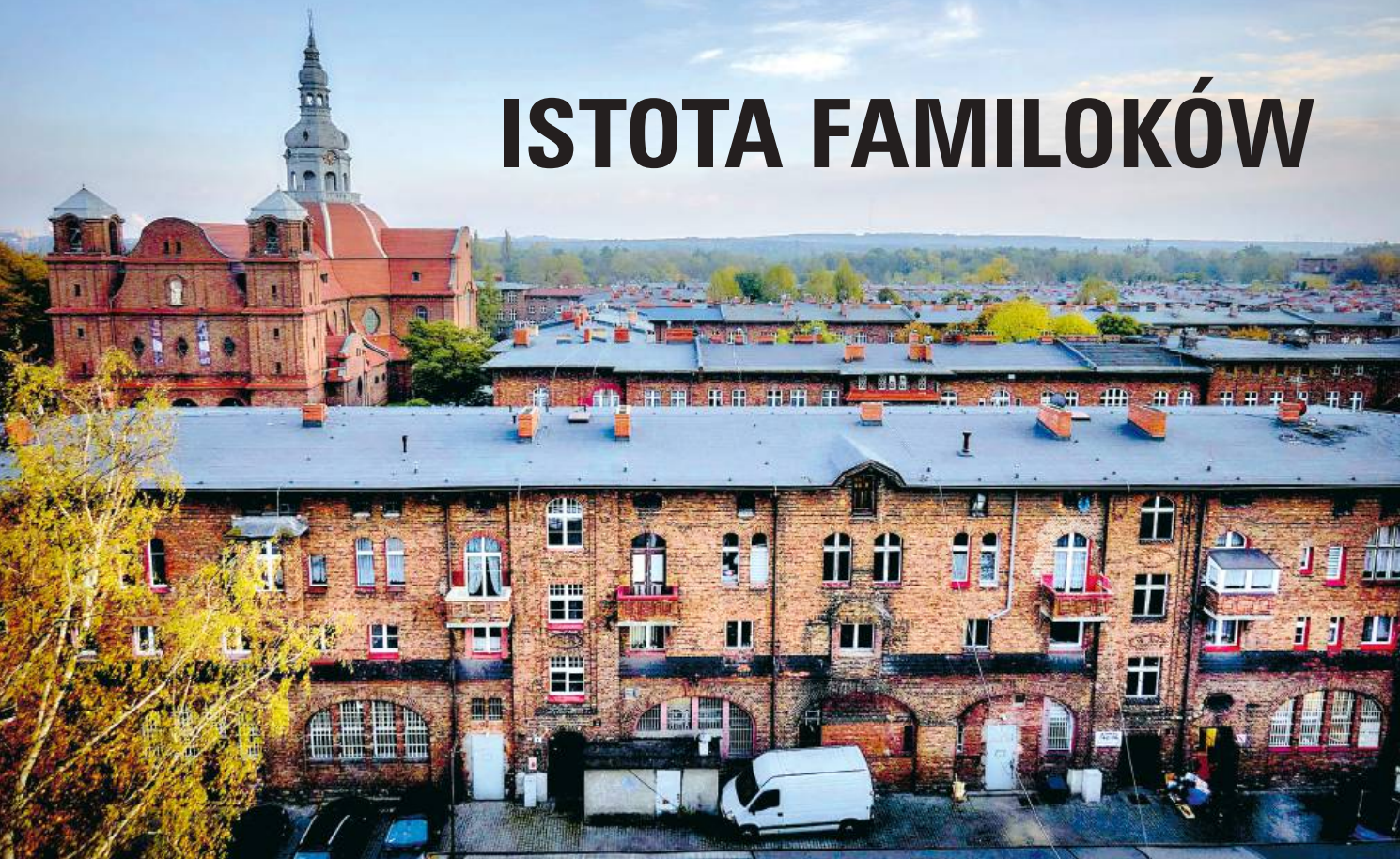
I jeszcze jedna ważna przewrotność w zdaniu „Nie wiem zresztą / który z nas jest bardziej / prawdomówny a który tylko pisze / wiersze”. To „tylko” jest tu znów siusianiem na płaszczyk wieszczą, na atrybuty wielkości, roszczenia do mówienia „prawdy”, do funkcji czy roli poety jako kogoś wyróżnionego, obdarzonego cudownym dostępem. A zatem pisanie wierszy jako czynność powszednia, raczej ze sfery profanum niż sacrum. Słowa „poeta” nie da się zdrobnić – ale Dycki zdrobnił je na swój sposób: siusiąc do butelki.

DOŁĄCZ DO NASZEJ SPOŁECZNOŚCI



Znajdź PRZEGŁĄD na Facebooku, Instagramie, X, YouTube i LinkedIn

ISTOTA FAMILOKÓW



Życie w robotniczych domach na Górnym Śląsku

Kamil Iwanicki

Gdy słyszymy słowo „familok”, od razu pojawiają się skojarzenia: czerwona cegła, oma obserwująca wszystko z okna pomalowanego na czerwono, a na placu biegające bajtle i górnicy zmierzający do domu po szychcie. Ale czy to odpowiednie skojarzenia? I tak, i nie. Skąd się wzięło pojęcie familok i jaka jest jego etymologia? Pierwsza jego część wzięta się od niemieckiego słowa *Familien-Haus*. Czasem korzeni „familoka” poszukuje się w określeniu *Familien-Block*, czyli blok rodzinny, od którego może pochodzić końcówka -ok. (...)

Familoki to robotnicze domy wielorodzinne. Mogły one pomieścić od dwóch lub trzech rodzin do 12 (apostolak), a nawet 24. Najczęściej stawiano domy sześć- i ośmiorodzinne. Mieszkania miały od 40 do 65 m kw., a ich wielkość była zależna

od pozycji robotnika w zakładzie i od wielkości rodziny. Najmniejsze kawalerki, zwane ajnclami, były przeznaczone dla samotnych mężczyzn. (...)

Czy familok musi być ceglany?

No właśnie niekoniecznie. Zazwyczaj domy były nieotynkowane i zbudowane z czerwonej cegły, ale przyjmowały często rozmaite formy i kształty. Na Giszowcu i w III Kolonii w Knurowie budynki nawiązują kształtem do śląskich chat wiejskich. W Rokitnicy na osiedlu Ballestrema domy były białe i miały małe elementy dekoracyjne z muru pruskiego. Na Zandce widzimy różnorodną mieszankę form, pasy szarej i czerwonej cegły i detalu architektonicznego. Na Ficinusie przy budowie wykorzystano piaskowiec. Jednak to właśnie cegła dominuje na większości osiedli. To idealny materiał w śląskim klimacie – brud zanieczyszczonego powietrza nadaje jej więcej uroku i surowiec ten starzeje się z klasą.

Problem, który dotyka wiele domów robotniczych, to chęć ocieplania ich ceglanych fasad. Czasem społecznikom i badaczom uda się zdążyć, zanim oryginalny budynek zniknie pod pierzynką styropianu. W niektórych miastach konserwator zabytków pozwala na ocieplenie jedynie bocznych i tylnych ścian. Wygląda to czasem kuriozalnie, ale trzeba jakoś zmniejszyć koszty ogrzewania. Coś, co też wyróżnia familoki, to okna albo ramy okienne malowane na czerwono i zielono, o czym już wspominałem.

Familoki zazwyczaj były stawiane w zabudowie koszarowej, ale na niektórych osiedlach powstały całe kwartały domów robotniczych, czego najlepszym przykładem jest Nikiszowiec. Także w Mysłowicach na Piosku (jak nazywają tę dzielnicę mieszkańcy) właściciele kopalni postawili w zwartej zabudowie osiedle przy trzech ulicach. Dla pracowników kopalni Oheim (Wujek)

Zabytkowe osiedle Nikiszowiec w Katowicach.

powstała kolonia miejska w zabudowie kwartałowej przy ulicy Barbary w Katowicach, a przy ulicy Przekopowej wybudowano dla górników 36 jednorodzinnych domów w zabudowie szeregowej. Oba osiedla powstały po I wojnie światowej i były zaprojektowane przez Brunona Tautę, cenionego niemieckiego architekta.

Czy familoki były stawiane tylko przez zakłady przemysłowe?

W przypadku większości osiedli to właściciele kopalni albo huty budowali domy robotnicze dla swoich pracowników, żeby utrzymać ich w zakładzie. Koncerny posiadały swoje cegielnie, co ułatwiało zadanie. Znaczący wkład w powstawanie kolonii robotniczych miały wielkie rody śląskiej arystokracji: Ballestremowie, Schaffgotschowie i Donnersmarckowie. Patroni niczym ojcowie otaczali opieką swoich robotników, ale stawiając familoki, kalkulowali też zysk. Ballestremowie postawili kolonie w Rokitnicy, Kuźnicy Rudzkiej i Rudzie. Schaffgotschowie – w Goduli, Orzegowie, Bobrku i Szombierkach. Donnersmarck wybudował Zandkę, osiedla w Świętochłowicach i Chwałowicach pod Rybnikiem oraz kolonię Ficusus. Czasem przemysłowcy oferowali robotnikom działki po okazjnych cenach. Na przykład w drugiej połowie XIX w. właściciele kopalni Luiza na Zaborzu wytyczyli działki, które mogli bezpłatnie otrzymać zatrudnieni już górnicy, pod warunkiem że w ciągu roku wybudują dom. Otrzymywali również nisko oprocentowane pożyczki na budowę, które mogli spłacać dzięki wynajmowaniu mieszkań współpracownikom.

Dla kogo powstawały familoki? Stereotypowo Górny Śląsk postrzegany jest jako kraina pełna kopalń. Wiele kolonii powstało dla górników, w tym te najbardziej znane, takie jak Nikiszowiec i Giszowiec. Po czerwonych oknach możemy poznać familoki górników. Kopalnie to tylko część przemysłu w regionie – węgiel był niezbędny dla hut i licznych fabryk znajdujących się

w pobliżu. Cynkownie, walcownie oraz huty żelaza także potrzebowały licznych rąk do pracy, w związku z czym one również budowały dla swoich pracowników osiedla robotnicze. Kolonia Zandka w Zabrze została wybudowana dla pracowników huty Donnersmarcka, kolonia Huldshinsky'ego w Gliwicach – dla huty i walcowni stali, a Nowa Kolonia Robotnicza w Bytomiu-Bobrku – dla Julienhütte.

Czynnikiem rozwojowym dla przemysłu w połowie XIX w. stała się kolej, która ułatwiała transport surowców i produktów w głąb Niemiec, ale także pomiędzy lokalnymi zakładami. Sieć linii kolejowych przez kolejne dekady opłótł cały region, a transport towarów i ludzi był niewrażliwy. Kolej potrzebowała pracowników do obsługi ruchu, ale także do budowy i naprawy taboru, stąd też na całym Śląsku powstawały liczne domy robotnicze dla kolejarzy. Zawód ten był uważany za dużo lepszy niż praca w kopalni czy w hucie. Nie był tak ciężki i wymagający. Krążyło powiedzenie: „Kto ma w głowie olej, ten idzie na kolej”. W familokach kolejarzy mieszkala rodzina Horsta Bienka

wyglądają. Familok to idea domu robotniczego, która przyjmuje różne formy i kształty.

Domy robotnicze powstawały wraz z początkiem ery industrialnej w Europie. Przodowała w tym Wielka Brytania i to właśnie tam w XVIII w. budowano pierwsze osiedla robotnicze. Z czasem kolonie zaczęły powstawać w pobliżu hut, kopalń i fabryk w całej Europie Zachodniej. W XIX w. w Katalonii zbudowano sto osad dla pracowników przemysłu tekstylnego, a w 1878 r. w okolicach Bergamo powstało miasteczko przy zakładzie włókienniczym. Na terenie Niemiec największe skupisko budownictwa patronackiego utworzono w Zagłębiu Ruhry, do którego często porównywał się Górny Śląsk.

Oprócz Śląska możemy znaleźć familoki w innych polskich miastach, a najwięcej stawiano ich w Łodzi. Łódzkie famuly były budowane przez największych fabrykantów w mieście: Scheiblera i Grohmana oraz Poznańskiego. Najwięcej z nich powstało w Księżym Młynie, uważanym za wzorcowe osiedle w całej Łodzi. Zakłady wydawały znaczne kwoty na funkcjonowanie osiedli.

Zazwyczaj domy były nieotynkowane i zbudowane z cegły, ale przyjmowały często rozmaite formy i kształty.

w gliwickim Zatorzu i Kazimierza Kutza w katowickich Szopienicach, a ich wspomnienia z dzieciństwa to księga pełna ciekawostek o dawnym życiu w koloniach robotniczych.

Pojęcie familok okazuje się trudne do zdefiniowania – pojawiają się różne sposoby postrzegania domu robotniczego. Czy prywatne kamienice czynszowe powstające w miejscowościach też możemy nazwać familokami, nawet jeśli są ceglane i mieszkali w nich robotnicy? Czy budynki w Nikiszowcu to jeszcze familoki, czy już bloki albo kwartały? Czy kamienice w Chorzowie budowane przez hutę dla urzędników to domy robotnicze, czy nie? Definicje słowa familok różnią się od siebie szczegółami. Przyjmijmy, że są to domy ulokowane w koloniach i na osiedlach robotniczych, bez względu na to, jak

Zazwyczaj tamtejsze mieszkania były mniejsze niż na Śląsku, bo miały ok. 35 m kw. i składały się z pokoju, kuchni i spiżarni.

Podobne do familoków ceglane domy można spotkać w podwarszawskim Żyrardowie, gdzie powstało małe miasto fabryczne dla pracowników przędzalni. Na terenie całego województwa śląskiego możemy znaleźć domy robotnicze, bo przemysł nie ominął Bielska-Białej, Częstochowy, Rybnika oraz Zagłębia Dąbrowskiego. W samym tylko Sosnowcu w XIX i XX w. powstało 40 osad. Po wojnie większość z nich została wyburzona, a na ich miejscu postawiono bloki. Właśnie w Zagłębiu powstało jedno z najciekawszych osiedli w całym regionie, czyli Piaski w Czeladzi – mała namiastka Francji.

Na Górnym Śląsku od końca XVIII w. powstało ponad 200 kolonii robotniczych. Były one budowane w różnych stylach architektonicznych i inspirowane różnymi koncepcjami urbanistycznymi. Ta różnorodność założeń powodowała, że kolonie te wyróżniały się na tle Europy. Początek XX w. był okresem świetności familoków. Powstawały wówczas największe kompleksy mieszkaniowe, które stanowiły samowystarczalne miasteczka dla robotników: Nikiszowiec, Giszowiec, kolonia w Czerwionce, Zandka czy Kaufhaus. Osiedle Ballestrema w Rokitnicy zostało okrzyknięte modelowym i najbardziej nowoczesnym osiedlem w Europie. Przyciągały one badaczy i pasjonatów z całego świata. Dla mnie familoki to także punkt wyjścia do opowiedzenia szerzej o ich mieszkańcach, Niemcach, Górnoszlązakach czy Polakach, którzy stworzyli swój mikroświat z licznymi tradycjami, zwyczajami i życiorysami zwykłych niezwykłych ludzi. (...)

A jak się żyło w takim familoku? (...) Rodziny żyły dość skromnie, a w domu znajdowały się zazwyczaj tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Domy robotnicze w koloniach miały na ogół ujednolicony rozkład mieszkań. Wielkość lokali była zazwyczaj uzależniona od liczby członków rodziny

i pozycji pracownika w zakładzie. Pomieszczenia miały swoje określone funkcje. Robotnicy dostawali jedno- lub dwupokojowe mieszkania z kuchnią i komórką. Najczęściej wchodziło się przez kuchnię z korytarza, gdzie sąsiedzi trzymali swoje koła (rowery) i szpargoły (szpargały). Tylko wybrane mieszkania miały sień, zwaną antryjem. Przy drzwiach umieszczano kibel. (...) Z kuchni przechodziło się do pokoju, a z niego

mieszkań, pełnym rogów i kątów, małych pokoi i wąskich schodów nie czuć się bezpiecznie. Górnoszląscy robotnicy potrzebują dużych pokoi z gładkimi ścianami, łatwymi do czyszczenia. Robotnicy z Westfalii żądali, już 30 lat temu, mieszkań z trzema pokojami: kuchnią, pokojem dziennym i sypialnią. Potrzeby pracowników z Górnego Śląska są zaś tak naprawdę w pełni zaspokojone mieszkaniem dwuizbowym: kuchnią

Wielkość lokali była uzależniona od liczby członków rodziny i pozycji pracownika w zakładzie.

– w większych mieszkaniach – jeszcze do kolejnej izby. Ten rozkład pomieszczeń nazywany jest układem amfiladowym.

W osiedlach patronackich Europy Zachodniej układ mieszkań był podobny, ale górnoszląskie familoki odznaczały się swoją specyfiką. Pisz o tym Kurt Seidl w 1913 r.: „Potrzeby mieszkaniowe robotników z Górnego Śląska różnią się od potrzeb robotników niemieckich czy angielskich. Podczas gdy angielscy pracownicy chętnie zamieszkują w dwupiętrowych małych domkach, złożonych z pięciu lub sześciu pokoi, górnoszląski robotnik mógłby w takim

jednym pokojem. Kuchnia jest bowiem traktowana jako główne miejsce w mieszkaniu, ponieważ jest tam najcieplej. 10 lat temu, zanim robotnikowi z Górnego Śląska ofiarowano trzy- lub czteropokojowe lokum, nie wiedział, co począć z pokojem dziennym. Były w nim na ścianach święte obrazy oraz trzy lub cztery okazałe łóżka, z których nikt nigdy nie korzystał. Cała rodzina spała w kuchni na materacach wypchanych sianem”.

To kąśliwe spostrzeżenie niemieckiego badacza regionu było jak najbardziej trafne. Wspominali o tym pisarze i mieszkańcy w pierwszej połowie XX w. Tradycja izby paradowej pochodziła z XIX-wiecznych górnoszląskich wsi, gdzie w chałupach można było spotkać dodatkowy odświętny pokój. Izba ta miała pełnić tylko funkcje reprezentacyjne. W dni powszednie była niedostępna i często zamykano ją na klucz przed dziećmi. To tam znajdowały się najlepsze meble i dekoracje – pokój ten wyróżniał się swego rodzaju odświętnością i powagą. Celebrowano w nim momenty największej wagi: Wigilię, urodziny czy wizytę księdza po kolędzie.

O takiej izbie paradowej w swoim rodzinnym familoku wspomina też pisarz z Gliwic Horst Bienek, który dorastał w kolonii robotniczej na Zatorzu w latach 30.: „Było nas sześciu rodzeństwa i rodzice lubili, kiedy dzieci bawiły się na dworze albo w mieszkaniu sąsiadów, aby w naszym ciasnym mieszkaniu mieć trochę spokoju. Wiele miejsca nie było: kuchnia

Te mamy nas potrzebują

Ми потрібні цим мамам



www.pmm.org.pl

 Polska Misja Medyczna

Wspieraj pomoc medyczną w Ukrainie

mieszkalna, sypialnia, tzw. pokój gościnny z dużym stołem, żyrandol, odziedziczony perski dywan. I ta najcenniejsza rzecz, której pewnie nie znalazłoby się na całej ulicy, pianino Bluthnera. Próg tego pokoju dzieci mogły przekraczać jedynie w niedzielę, a w ogóle tylko wtedy, kiedy byli goście, i wtedy rodzice wskazywali z dumą na pianino, żyrandol i na odziedziczony perski dywan. Nienawidziłem tych niedziel z odwiedzina-
mi, trzeba było przedtem zdjąć buty, nie wolno było mówić, niczego dotykać, i trzeba było siedzieć na jednym z twardych krzesel. Naprawdę przytulnie było tam raz w roku, w Wigilię, kiedy napalono w kaflowym piecu i świeczki płonęły na choince, a pod nią leżały podarki, kiedy matka ubierała się w swoją najlepszą sukienkę, nakładała trochę za dużo różu, siadała do pianina i grała kolędy”.

Sercem każdego domu była kuchnia. To w niej było najcieplej – znajdował się tam piec węglowy z bratrutą (piekarnikiem), który ogrzewał całe mieszkanie. Zimą rozpalano dodatkowo mały żelazny piecyk, czyli kozę. W pokojach stały tzw. kachloki, czyli piece kaflowe. Ważne miejsce w kuchni zajmował biały byfj (kredens), w którym trzymano zastawę. (...)

Ryczka to obowiązkowy w każdej kuchni, kultowy śląski mebel. Jest to mały stołeczek, który może być przydatny do różnych domowych czynności. Zazwyczaj można go znaleźć w kuchni. Wykorzystuje się go przy skrobaniu (obieraniu) kartofli albo gdy trzeba sięgnąć na wyższą półkę czy podłożyć pod nogi taborecik. Bajtłie wykorzystywały ryczkę do wszystkiego. Samo słowo „ryczka” wywodzi się z języka niemieckiego – *die Ritsche* to stołeczek pod nogi. Pojawia się w niemieckim słowniku braci Grimm z 1846 r., jako wyraz pochodzący ze śląskiego dialektu niemieckiego. (...) W typowej kuchni w familoku musiała się też znaleźć roma z makatką (półka z tkaniną dekoracyjną). Wieszano ją w kuchni, a na niej znajdowały się scenki rodzajowe czy jakiś landszaft (krajobraz). Często pojawiała się tam też fraza z przesłaniem: „Miłość i zgoda

domu ozdoba”, „Świeża woda najlepsza ochłoda” czy „Smacznego”. Haftowane były w jednym kolorze, najczęściej niebieskim. Zaczęły znikać pod koniec XX w. (...)

Życie codzienne w mieszkaniu robotniczym skupiało się w kuchni. To tam spędzało się czas razem, rodzinie, na rozmowie, wypoczynku lub wspólnych domowych obowiązkach. Celebrowano czas posiłków, który zależał od rytmu pracy ojca.

W sypialni najczęściej spała cała rodzina, a najważniejsze miejsca w pokoju zajmowało łóże rodziców. Nad nim zazwyczaj wisił tobroz ze Świntom Rodzinom (obraz ze Świętą Rodziną). „Łóżko jest ważnym elementem w przestrzeni, jest wizytówką kobiety – gospodyni, gdyż łóżko i jego postanie jest oglądane i nieustannie oceniane. Łóżko w różnych momentach wystawiane jest na pokaz. Tak jest zwłaszcza w czasie: porodu, odwiedzin księdza i rodziny

Życie codzienne w mieszkaniu robotniczym skupiało się w kuchni. Celebrowano czas posiłków, który zależał od rytmu pracy ojca.

u chorego; śmierci – jeszcze gromadnej, nieosamotnionej. Łóżko śląskie musiało być stabilnością i taką pozostało”. Rodziny spały wspólnie w jednej izbie. Pozostali domownicy spali na mniejszych łóżkach, tapczanach czy siennikach, które chowano w ciągu dnia w komórce. W liczniejszych rodzinach sienniki były rozkładane także w kuchni. Pobożni Górnoślązacy tworzyli w mieszkaniu „święty kąt”, ołtarzyk, gdzie trzymano obrazki świętych, krzyż i świeczki.

W 1904 r. wprowadzone zostały przepisy pruskie, które obligeowały koncerny przemysłowe podczas budowy kolonii do wyposażenia familoków w kanalizację, wodociągi i prąd. Dzięki temu standardem w domach robotniczych stały się wówczas toalety na półpiętrach. Jedna toaleta na cały sztok (piętro). Wcześniej w sieni znajdował się ausgus (zlew) z kokotkiem (kranem), a toalety umieszczano na podwórzu. Łazienek nie było w mieszkaniach, a całe rodziny myły się

zazwyczaj w sobotę, co wspominają starsi Ślązacy: „Ustęp dla wszystkich lokatorów znajdował się na korytarzu. Że w mieszkaniach były łazienki, wiedziano w tych domach jedynie z filmów. Miało się cynkowaną wannę i w sobotę wyciągało się ją z piwnicy i stawiało w kuchni. Wodę podgrzewano w wielkim kotle do prania. Tak nas kąpali jednego po drugim, a kiedy w końcu przyszła kolej na mnie, jako najmłodszego, woda była już brudna, a co gorsza, zaledwie letnia. Zaglądałem do sąsiadów w domu obok, tam mieli tylko jedną wannę dla całego domu, która wędrowała od jednego mieszkania do drugiego, a wodę z kranu trzeba było przynosić z niższego piętra. U nas w mieszkaniu był ustęp, lecz nieogrzewany i regularnie każdej zimy zamarzały rury (...). Tak więc w nagłej potrzebie używaliśmy wiadra po marmoladzie i nawoziliśmy rabarbar i krzaki agrestu w małym ogrodzie przed domem”.

Do każdego mieszkania należały także piwnica i kawałek poddasza. W piwnicy mieszkańcy trzymali węgiel, zimowe zapasy, ziemniaki, krauzy z kōmpotem, apfylmusym i łogōrkami (stoiki z kompotem, musem jabłkowym i ogórkami) oraz beczki z kapustą. Grōdza (duża drewniana skrzynka), schowana zazwyczaj w kącie piwnicy, służyła do przechowywania kartofli. Na zimę robiono zapasy kapusty, którą przygotowywały wcześniej matki z dziećmi, a po szatkownicy ustawiały się kolejki. Gdy ułożono poszatowaną kapustę w beczce, najcięższa osoba w rodzinie (zazwyczaj ojciec) musiała ją już jedynie udeptać. Na tzw. gōrce (strychu) wieszano pranie i trzymano wyroby i mięso ze świniobicia. Czasem wynajmowano przestrzeń kawalerom, żeby sobie dorobić. (...)



Fragmenty książki Kamila Iwanickiego
Familoki. Śląskie mikrokosmosy,
Editio/Helion SA, Gliwice 2023



Jarmark w Gdańsku.

Gdy wszystko się łączy

Magia pomorskich jarmarków bożonarodzeniowych

Helena Leman

Wieczorem 25 listopada, w sobotę, na oficjalnie otwartym Jarmarku Bożonarodzeniowym na Targu Węglowym w Gdańsku tłumy. Z dźwiękami kolęd i muzyki świątecznej mieszają się różne języki, bo zagranicznych gości tu wielu. Feeria światła i szaleństwo zapachów. Choć pogoda nie rozpieszcza i co chwilę zaczyna krupą śnieżną, nikomu to nie przeszkadza. Śnieg dodaje klimatu drewnianym kramom i stanowiskom do konsumpcji przystrojonym lampkami i świerkowymi gałązkami z czerwonymi kokardami i bombkami. Domki na tle zabytkowej architektury też prezentują się pięknie. Niektóre nawiązują do symboliki kalendarza adwentowego, który ustawiono na ulicy Bogusławskiego. Ale pierwsze okienko kalendarza zostanie otwarte dopiero na początku grudnia, gdy zacznie się czas adwentu.

Wyrazić się przez glinę

Pełne czaru są jarmarkowe zakątki: Świetlisty Tron św. Mikołaja, Misio-wy zakątek w Zbrojowni, z czerwonym tronem, czy anielskie skrzydła przy ulicy Tkackiej. Jednak największym zainteresowaniem cieszy się

Pierwszy grzaniec jest taki sobie, ale drugi ma moc, aż ciemno się robi przed oczami.

górująca nad targiem rozświetlona wenecka karuzela, oblegana nie tylko przez najmłodszych. Odważni mogą się przejechać Wirującymi Beczkami – kolejką górską, a mniej odważni interaktywnymi saniami św. Mikołaja – symulatorem lotu. W Łosiowym zakątku, niedaleko kalendarza adwentowego, można nie tylko zjeść czy kupić prezenty, ale także wysłuchać anegdot i bajania Łosia Lucka, który zabawnie kręci głowę i kłapie pyskiem ku uciesze najmłodszych.

Radosną atmosferę wprowadza wędrujący po Targu Węglowym korowód zimowych i świątecznych postaci, który wmaszerował tu przez Złotą Bramę w paradyzie otwierającej jarmark. Uwagę przyciągają zwłaszcza szczudlarze, górujący nad tłumem w niezwykłych

kostiumach, ludzie podchodzą do nich, robią zdjęcia, żartują. W tle słychać hejnał jarmarku skomponowany przez Magdalenę Garbecką, absolwentkę Akademii Muzycznej w Gdańsku.

Na stronie organizatora jarmarku, Międzynarodowych Targów Gdańskich, czytam, że spośród 150 wystawców jarmarku aż 83 to przedstawiciele rzemiosła i artyści. Tę artystyczną nutę tu czuć. W drewnianym domku obok

karuzeli codziennie swoje prace wystawiać będą pomorscy twórcy: absolwenci i studenci wydziałów malarstwa, rzeźby, fotografii, wzornictwa i grafiki gdańskiej ASP, uczniowie liceów plastycznych z Trójmiasta i Słupska oraz organizacje pozarządowe o charakterze twórczym.

Dzisiaj spotykam tu Aleksandrę Wyszyńską-Cypcarz z Pracowni Wypadków Alternatywnych i teatru Valldal. Tworzy w glinie, stosując różne techniki wypału, np. zapożyczone od Indian wypały jamowe saggar czy japońską technikę raku. Jej naczynia o unikatowej kolorystyce i fakturze można nabyć już za kilkadziesiąt złotych.

– Przyjaźń ze sztuką zaczęłam w pełnej kolorów pracowni tkaniny artystycznej Wiesławy Juchniewicz – opowiada. – Tam przez 12 lat tktałam, farbowałam i coraz bardziej fascynowała mnie forma. Wiedzioma tym zauroczeniem skończyłam architekturę krajobrazu i zaczęłam wypalać żywe formy wiklinowe, z czasem uzupełniane elementami ceramicznymi. Tak dotarłam do momentu, w którym glina stała się dla mnie zbiorem moich artystycznych doświadczeń, a formę ograniczać może tylko moja wyobraźnia. Teatr powstał, gdy dostrzegłam, że glinę można wykorzystać do umysłowej, psychologicznej pracy z człowiekiem. Moje zajęcia są dla każdego, poprzez formowanie gliny można się porozumiewać prawdziwie, pokazać to, co czujemy naprawdę.

Kardigan jak gdańska kamieniczka

Gdy zaglądam do domku artystów trzy dni później, w posiadanie wzięli go już młodzi malarze. Ciekawe prezenty oferują też artyści i rzemieślnicy, którzy rozłożyli się w zabytkowej przestrzeni starej Zbrojowni. Króluje biżuteria, poczynając od tej z bursztynu, a na wielobarwnej ceramicznej i ludowej kończąc. Uwagę zwracają także

fantazyjne, artystyczne swetry. – O! Kardigan jak gdańska kamieniczka! – komentuje ktoś.

Można również pogadać o Madagaskarze z Namana, czyli przyjaciółmi tej wyspy, a przy okazji kupić u nich niedrogie koszyki czy kosmetyczki, uplecione tam z rafii i bambusa, i w ten sposób wesprzeć mieszkańców Madagaskaru. Dla obywateli ciekawym prezentem mogą zaś być drewniane mapy świata do powieszenia na ścianie jak obrazy, sprzedawane tuż przy wejściu.

Dominantą bożonarodzeniowych jarmarków zawsze są miody. W budce przy Bramie Wyżynnej, z napisem „Miody prosto z pasieki Pszczółkowo”, uśmiecha się do mnie energiczna dziewczyna. Mówi, że pasieka wędruje z Kaszub do Borów Tucholskich. Ceny normalne. Kilogram miodu wielokwiatowego

kosztuje 40 zł, najdroższy jest gryczany – 53 zł za kilogram. W budce wisi też kilka czapek, po 100 zł każda. Dziewczyna tłumaczy, że czapki robi jej mama, która w ten sposób dorabia do niskiej emerytury. Jak tylko zaczynam w nich przebierać, zaraz pojawiają się inni zainteresowani. Jak to na jarmarku – jeden klient przyciąga drugiego.

Kramy z ozdobami z suszonych owoców to kolejny obowiązkowy element świątecznych jarmarków. Z budki na Tkackiej zapachy pomarańczowy i cynamonu wprost się wylewają, trudno się nie zatrzymać. Może ozdoby są spryskiwane olejem eterycznym, żeby przyciągnąć uwagę klienta? Taki olejek można tu kupić, w zestawie z zawieszka z suszonych owoców kosztuje 50 zł, z wieńcem – 100 zł. Sprzedawczyni w budce mocno opatulona, przytupuje, żeby się rozgrzać.



Asia Nakielska i ekipa górali na jarmarku w Bytowie.

► Na rozgrzanie najlepsze są gorące, chrupiące paszteciki ze szpinakiem po 6 zł sztuka, po prostu niebo w gębie. Serwuje je w budce koło Zbrojowni starsza pani z Ukrainy. Ona również przyznaje, że ziąb dziś większy niż zwykle. – Wszyscy tylko chodzą i grańce piją – podśmiewa się. Idę za jej radą – pierwszy grzaniec jest taki sobie, ale drugi ma moc, aż mi się ciemno robi przed oczami.

Na jarmarku znalazły się przysmaki 17 kuchni świata, np.: tatarsko-krymsko-tureckie czebureki czy baklava, chałwa, rachafłukum, belgijskie frytki, hiszpańskie churros i czekolady, węgierski langosz – po 25 zł w wersji z serem i czosnkiem i droższy w innych wydaniach. Kuszą regionalne produkty spożywcze z Włoch, kaszubskie przysmaki rybne, litewskie wędliny, chatki z piernika.

W budce z litewskimi serami i miodami mężczyzna przedstawia się jako „szef od serów”, jego kolegi „od miodów” nie ma, pojechał po towar. Na jarmarku w Gdańsku jest pierwszy raz, podobają mu się ludzie i miasto, podnosi kciuk na potwierdzenie swoich słów. Odkrawa mi kawałki serów do spróbowania, a podczas degustacji trochę gawędzimy. – Żeby tylko nie było wojny – mówi.

Kolędy ze Słowiańską Duszą

Wtorkowe wieczory na jarmarku są koncertowe. Na scenę wychodzi zespół Słowiańska Dusza, którego członkowie pochodzą z Polski, Ukrainy i Białorusi. Uwagę zwraca Olena Yanchuk, która przyjechała z Kijowa do Gdańska w marcu 2022 r. Jej mocny głos, w którym przebijają tony białego, ludowego śpiewu, nadaje wykonywanym utworom głębię. Podczas koncertu śpiewane są kolędy znane i w Polsce,

i w Ukrainie. Na początek pieśń „Niebo i ziemia”, czyli nasze „Dzisiaj w Betlejem”, potem „Północ już była”, następnie „A wczora z wieczora”.

– A wczora z wieczora, z niebieskiego dwora przyszła k’nam nowina, Panna rodzi syna, Boga Prawdziwego... – zaczyna po polsku Olena z towarzyszeniem zespołu, by w następnej zwrotce przejść na ukraiński. – Przyszli, pokłonili, na ruki złożyli darunki. I my pospieszajmo, Spasa priwitajmo... – płynie nad gdańską starówką.

O przenikaniu się kultury muzycznej pisze Olha Charcyzsyn w artykule „Kolędy – wspólne tradycje polsko-ukraińskie” na Culture.pl. Ukraiński wariant kolędy „Dzisiaj w Betlejem” został wydrukowany w „Bogogłosniku” w 1790 r.,

a najdawniejszy zapis rękopiśmienny diaka Pawła Hryniewicza pochodzi z roku 1720. W śpiewniku kościelnym ks. Jana Siedleckiego pieśń została wydrukowana w 1878 r. Z kolei kolęda „W żłobie leży” (W jasłach leżił), której słowa przypisuje się Piotrowi Skardze, z Polski poszła na Ukrainę. – Wszystko białe dookoła jak piękny sen, w jedną noc tych zmian dokonał puszysty śnieg, przykrył cały szary świat, przykrył to, co boli w nas... – kończy koncert wokalistka jazzowa Krystyna Gedzik. Zza chmur nieśmiało wychodzi księżyc i staje nad Zbrojownią.

W średniowiecznym grodzie

XII Bożonarodzeniowy Jarmark w Owidzu w niedzielę, 3 grudnia, ma zapach dymu z rozpalonych ognisk. Największe płonie na placu grodu, otoczonego drewniano-ziemnym wałem z palisadą. „Gród posadowiony na morenowym wzgórzu wśród lasów i łąk w zakolu rzeki Wierzyca zrekonstruowano w 2012 r. Jego powstanie na początku XI w. wiąże się z umacnianiem na Pomorzu władzy Bolesława Chrobrego. Wraz z kryzysem monarchii wpływy Piastów osłabły. Prawdopodobnie gród padł ofiarą rozkazu Władysława Hermana, który, chcąc uniemożliwić bunt Pomorzanom w 1090 r., nakazał jednej nocy spalić wszystkie pomorskie grody”, czytamy na tablicy przy wieży bramnej, która dziś udekorowana jest lampkami, jemiolą i świerkiem.

Gród pełnił też funkcję mieszkalną. W dziesięciu zrekonstruowanych chatach można teraz nabyć słodczyce, ozdoby świąteczne i prezenty, od biżuterii artystycznej poczynając, z imionami kończąc. Zewnętrzne ściany chat z grubych bali zamieniły się w małe galerie sztuki.

Zabawy dla dzieci na jarmarku w Owidzu.



Największa kolejka jest do Chaty św. Mikołaja. Tłok także przy stoisku gastronomicznym, gdzie uwijają się jak w ukropie panie i jeden pan z Kofta Gospodyń Smolniki. Ich domowe

Dom Samopomocy w Rajkowach, trwają także zbiórki charytatywne, np. na schronisko dla bezdomnych zwierząt w Starogardzie Gdańskim zebrano ponad 7 tys. zł, a kalendarz

czapce, kupionej w Owidzu. – To bardzo stary wzór i widać błędy, ale to czyni tę czapkę jeszcze cenniejszą – stwierdza.

Jej niezujący od trzech lat dziadek, Michał Nakielski z Piwnicznej-Zdroju, tkął rękawice furmańskie, czyli łapawice, na desce. Obecnie jego tradycję kontynuuje Asia, тка nawet na rynku w Bytowie. Należy do grupy 20 tkaczy tworzących rekonstrukcje starych wzorów. Wykonane przez nią rękawice znajdują się w zasobach muzealnych w Polsce i Słowacji. W 2022 r. tkanie rękawic furmańskich przez Czarnych Górąli z Beskidu Sądeckiego zostało wpisane na Krajową listę niematerialnego dziedzictwa kulturowego UNESCO, w tym roku w Piwnicznej mieli pierwszą wystawę.

Jak to na jarmarku – jeden klient przyciąga drugiego.

ciasta znikają z blach szybko. Duży kawałek wybornego sernika z żurawiną kosztuje tylko 5 zł, tyle samo kawa i herbata korzenna, miseczka gorącego bigosu – 12 zł, grochówka – 10 zł, a duża torebka korzennych ciastek zaledwie 16 zł. Są i kulebiaczki, gęsi smalec po 15 zł, wędzone ryby, wędliny.

Targ rozłożył się też na podgrodziu, wzdłuż drogi i aż do restauracji Słowiańska Karczma. Między odwiedzającymi biegają wesole owidzkie mikołaje, podskakując i dzwoniąc głośno dzwonkami. Na wielu straganach można znaleźć rzeczy niebanalne i trzeba mocno trzymać się za kieszeń, żeby nie ulec pokusie.

Na jednym ze stoisk zachwycają artystycznie kute świeczniki i róże, najbardziej jednak urzeka witrażowy anioł, niebiesko-zielony z czerwonymi akcentami. – Tylko 100 zł za tego anioła? – dziwi się jakiś klient. – Ja bym i za 200 tego nie robił – dodaje.

Są również piękne naszyjniki z kwiatami. – Żona zbiera i suszy kwiaty, a ja jej robię okucia i trochę pomagam – tłumaczy skromny autor tych cudów, jakby przytłoczony zainteresowaniem. Małżeństwo przyjechało z małej wsi w Warmińsko-Mazurskiem, jakieś 100 km w jedną stronę.

Na stoisku z ciekawymi ubraniami i torbami, barwionymi i drukowanymi roślinami, naprawdę jest w czym wybierać. Gdy pytam o technologię takiego barwienia, właścicielka robi tajemniczą minę i zaprasza na warsztaty.

W namiocie z przedmiotami do rekonstrukcji historycznych, mieczami i tarczami wygrzebuje dziwną czapkę – to wzór staroskandynawski, robiona jest igłą.

Na jarmarku swoje produkty oferują też Warsztaty Terapii Zajęciowej z Pelplina i Środowiskowy

Ochotniczej Straży Pożarnej z tego miasta sprzedaje mi najwyżej 12-letnia strażaczka, cała przejęta, że jest na zdjęciu.

Po południu zaczyna padać śnieg. Jeszcze grają kołody, jeszcze ostatni ludzie wędrują podestem wzdłuż wału, grzeją się przy ogniskach, a już powoli wszystko rozmywa się w białej zadymce. Stragan z witrażowym aniołem też zniknął, gdyby nie zdjęcie w telefonie, można by pomyśleć, że to tylko baśń.

Łapawice tkane na desce

W drodze do Bytowa 4 grudnia zaśniewiony świat, pod czapami śniegu drzemą przydrożne krzyże, przystanki i drzewa, wzdłuż dachów wiszą sopele, od Rokit droga kiepska.

Na rynku gra świąteczna muzyka, wirują trzy karuzele, młodzież skacze na trampolinach, w drewnianych budkach smakowite kielbasy, szynki i wędzonki domowej roboty, domowe smalczyki z cebulką, choinki drewniane i z bombek, kolorowe stroiki, biżuteria, ogromne paki ziół i przypraw, każda po 6 zł za ledwie. Na gorąco: zakrecony ziemniak, barszcz z pasztecikiem, zimowa herbata, czekolada z piankami i posypką oraz grzaniec bezalkoholowy. Dziewczyny w mikołajowych strojach częstują słodyczami.

Wszystko gotowe, jarmark dziś ruszył, tylko ludzi mało. Na razie imprezę próbują rozkręcić górale z ziemi sądeckiej, którzy przyjechali promować swój region. W ludowych strojach tańczą i śpiewają, przygrywając sobie na akordeonie. Częstują jabłkami z Łącka i czymś mocniejszym, ale tylko tych, którzy nie są zmotoryzowani.

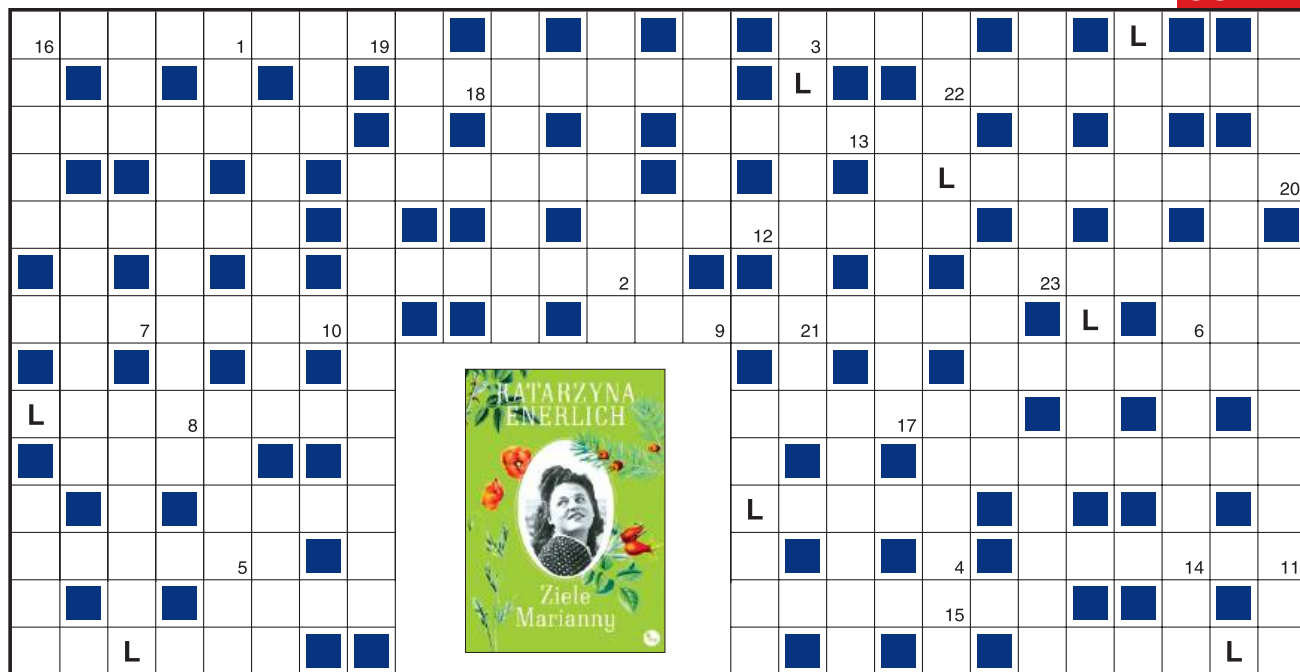
W góralskiej ekipie jest Asia Nakielska, która przygląda się mojej

Jarmarki bożonarodzeniowe na Pomorzu dopiero się zaczynają, ale widać, że granic nie ma, że wszystko się łączy i przenika, że dzięki takim imprezom i ludziom, którzy na nie przyjeżdżają, można głębiej poznać własną tożsamość, zobaczyć te niewidzialne nici, a także zwyczajnie ze sobą pobyc.

W Bytowie jarmark rozkręcają górale.

W grodzisku Owidz jeszcze w grudniu będą warsztaty tradycyjnego białego śpiewu Białogłoty. – Takie śpiewanie pozwala wyrazić to, na co ciężko znaleźć słowa – mówiła Daria Fedde, która je poprowadzi. 16 grudnia będzie tam też Szczodry Wieczór z okazji zimowego przesilenia. O koladkach i szczedrawkach, i szczodrym wieczorze, które towarzyszyły obrzędowi powrotu słońca, pisze Olha Charcyzyszyn w swoim artykule. Po odnalezieniu 30 starych wzorów rękawic furmańskich okazało się, że pochodzą one z różnych rejonów południowej Polski i Słowacji i są potwierdzeniem wspólnoty kulturowej górali Karpat.

Helena Leman
h.lemann@tygodnikprzeglad.pl



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery L ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- port i kąpielisko w Maroku
- kłaść go – uwydatniać
- odmiana gipsu na rzeźby
- kontynent z biegunem
- mocny alkohol z ryżu i trzciny cukrowej
- igława w donicze
- północna kraina wiecznych lodów

- gdy piłka poza linią boiska
- stał się niewypłacalny
- ptak łowny z kurowatych
- drzewo iglaste z Atlasu, Libanu
- „Kordian i...” Kruczkowskiego
- niejeden e-book na nim zmieścisz

- owoc palmy do suszenia
- Ignacy, badacz Chile
- komputera, telewizyjny lub kinowy
- ...tranzystora to emiter
- syn Afrodyty i Aresa
- sztuka dla sztuki hasłem tego kierunku
- prowizoryczny, rzadki szew
- w komplecie z topatką i wiaderkiem
- ...wielki koronny, np. Mikołaj Firlej
- nogi w... czyli krzywe
- mały chłopiec, brzdąc
- brat Polluksa
- rosyjski taniec z przysiadami
- pieśń bożonarodzeniowa
- stolica z pomnikami Andersena

- potocznie o bezpieczniku
- rzut różny
- kopiarka
- przejęzyczenie
- na czele wyścigu lub partii
- ...Warmiński – miasto nad Łyną
- czerwona płachta matadora
- jej głód utrudnia zrużenie palenia
- Andrycz lub Ricci
- „Kamizelka” albo „Katarynka”
- ptak jak skok do wody
- i część sztuki, i nowy wygląd
- głośne zawołanie
- ...czarna – kuzynka brzozy z mokradła
- miękki, niski taboret
- obrazu albo roweru
- dział w urzędzie lub wygłaszany naukowy

- rozpiętość wyników, rozkład trafień
- trójwymiarowe dzieło sztuki
- gromada psów, zgraja
- Marta dla Marii i Łazarza
- ...i Gomora
- suchy, pękający owoc wielonasienny
- rzucić na nią to ryzykować
- w głowie po drinku lub szeptu na widowni
- but z krótką cholewką
- artystyczne zajęcie
- polsko-litewska w Krewie
- ukrop, wrzątek
- ...PC – starzy druhowie Kaczyńskiego
- spoglądanie spod oka
- ...krakowskie – warzelnie i kopalnie w Bochni i Wieliczce

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1147”. Do rozlosowania książki „Ziele Marianny” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 17 grudnia 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1147” z nr. 47: Nikt się mistrzem nie rodzi. Nagrody otrzymują: Róża Dolińska z Dziarnówka, Teresa Leśniewska z Kaliszan, Anna Pilch z Wrocławia, Anna Rowińska z Siedlisk.

Donos patriotyczny

Idzie nowe. Czekają nas radykalna zmiana, jeśli chodzi o stosunek do Unii Europejskiej i zachodnich instytucji. Posłuchajmy zresztą polityków i urzędników PiS.

Jeszcze w czerwcu br., gdy na forum Parlamentu Europejskiego miała miejsce debata na temat praworządności w Polsce, europosłowie PiS walczyli jak lwy. „W Polsce praworządność nie jest łamana – wołała Beata Szydło, zwracając się do komisarza ds. sprawiedliwości Didier’a Reyndersa. – Nie ma takiego problemu. W Polsce sama ze sobą problem ma opozycja, która, nie mogąc pogodzić się z demokratycznym wyborem Polaków – którzy w 2015 r. powierzyli władzę PiS, a w 2019 r. przedłużyli ten mandat – cały czas atakuje i wszczyna awantury, niestety wykorzystując również instytucje europejskie”. I dodawała wojowniczo: „Polska nie jest i nie będzie chłopcem do bicia; nie da się terroryzować poprzez wasze ataki i kary”.

Przekaz Beaty Szydło i innych polityków PiS, zarówno w kraju, jak i za granicą, co mogli powtarzać ambasadorowie, był jednoznaczny: w Polsce jest super, opozycja tego nie może wytrzymać, więc skarży i donosi na swój kraj, co jest niegodne. Prosimy więc obcych, by do naszych spraw się nie wtrącali.

No i trach! Minęło parę miesięcy i donoszenie zachodnim instytucjom stało się czynem patriotycznym.

Beata Szydło zdążyła już powiedzieć w TVP Info, że Tusk nie może przejąć telewizji publicznej. „Będziemy również tutaj apelować do UE, jeżeli Tusk będzie praworządność łamał, żeby UE, KE pomogła Polsce. Bo praworządność jest rzeczą podstawową i dla UE również bardzo istotną”, deklarowała.

Także Mateusz Morawiecki zapowiedział, że będzie apelował do Unii – w sprawie propozycji postawienia

szefta NBP przed Trybunałem Stanu: „To będzie szalenie niebezpieczny precedens, bo każda kolejna ekipa rządowa będzie chciała postawić następnego szefa NBP przed Trybunałem. (...) Postaram się, aby świat instytucji międzynarodowych dowiedział się o tym”.

Ha! Nie musi już się starać, bo Adam Glapiński wziął sprawy w swoje ręce. O zapowiedziach postawienia prezesa przed Trybunałem Stanu Narodowy Bank Polski poinformował oficjalnie Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Bank Światowy i Europejski Bank Centralny. „Pisma zostały wysłane – oświadczyła I wiceprezes NBP Marta Kightley. – Będziemy się spotykali z przedstawicielami tych instytucji i informowali ich o sytuacji wokół NBP. Prosimy też EBC, ale i MFW oraz Bank Światowy o podjęcie działań w tej sprawie. Mamy już umówione rozmowy z przedstawicielami tych instytucji”.

W tym klimacie działa nawet szef CBA Andrzej Stróżny. On z kolei napisał list do „służb partnerskich” w Europie Zachodniej i w Ameryce, alarmując, że Donald Tusk chce rozwiązać CBA. „Te polityczne zapowiedzi, jeśli zostaną zrealizowane, mogą stworzyć precedens i zachęcić polityków innych krajów do podjęcia prób likwidacji lub wprowadzenia głębokich reform także w innych instytucjach antykorupcyjnych”, ostrzegał. Przy okazji straszył, że „może to skierować nas z powrotem na ścieżkę, po której korupcja będzie kroczyć zdecydowanymi i pewnymi krokami”. Jak konkludował, „z pewnością osłabiłoby to całą Unię Europejską”.

Oto przełom w PiS. A może nie przełom, tylko zmiana taktyki?

Attaché

Wspólne posiłki
wzmacniają więzi.
Pandy wielkie na wybiegu
w zoo w Chongqing
w środkowych Chinach.
2 grudnia 2023 r.





PENETRACJE

MONDE
diplomatique

OLGA DRENDA,
PISARKA, DZIENNIKARKA

Energia protestów z 2020 r. rozplynęła się w końcu w politycznych partykularyzmach, ale stało się tak również dlatego, że ich kody próbowały podchwycić zorganizowane media czy organizacje. Tak jak młodzieżowy slang traci świeżość w chwili, gdy odkrywają go dorośli, tak samo buntowniczy i jednoczący zarazem potencjał tymczasowych autonomii trwa dopóty, dopóki istnieje poza strukturami. W przypadku Pomarańczowej Alternatywy energia wypaliła się wraz z nadejściem nowej rzeczywistości politycznej. Happenings z kiwaniem milicjantów przestały mieć sens, gdy MO zmieniła się w policję, a cenzurę zniesiono: nie było przed kim uciekać.

zwierciadło **EWA EWART,**
DOKUMENTALISTKA

Tyle jest mediowych outletów, platform streamingowych, stron internetowych, stacji, więc trzeba ciągle karmić głód informacji newsami, reportażami, depeşami... Mówię studentom, że mamy nowy rodzaj dziennikarstwa – recykling. Po prostu nawzajem recyklingujemy nasze materiały bez dbałości o to, czy informacje są wiarygodne, czy bohater mówi prawdę. Takie kopiowanie cudzego, filtrowane przez własną percepcję, własne uprzedzenia, emocje. To się nie trzyma dawnej złotej zasady mediów – by zachować dystans i niezależność. Praca nad dokumentem jest długa i żmudna, ale mam całkowitą kontrolę nad materiałem. To ja znajduję temat, bohatera.

PANI **CEZARY ŻAK,**
AKTOR

Ja znam się na ogrodnictwie, żona nie odróżnia hortensji od forsycji; ja wiem, czy potajemnie obejrzała beze mnie odcinek serialu na Netfliksie, ona nie; ja robię świetne konfitury, ona tylko przypalone; ja piekę gęś, ona tylko ciasta; ja robię przemyślane domowe zakupy, ona tylko w sklepie z torebkami... Ale nie patrzę na to, że się różnimy, tylko że się pięknie uzupełniamy. I szanujemy zarówno umiejętności, jak i deficyty drugiej osoby. Potrafię zrobić jej „awanturę”, że patrzy na jakiegoś mężczyznę za długo. Albo gdy godzinami pisze SMS-y, a ja nie wiem, do kogo, bo jakoś tak nieładnie zaglądać przez ramię. A już najbardziej mnie wkurza, gdy pisze i jeszcze uśmiecha się do telefonu.

TYGODNIK
ANGORA

JULIA BUKAROWICZ,
MIĘDZYNARODOWY SĘDZIA PIŁKARSKI

Męski futbol dla sędziujących kobiet jest bardzo rozwojowy. I nie chodzi wcale o pieniądze czy prestiż. Takie spotkania świetnie przygotowują nas do wysokiego tempa, jakie potem możemy spotkać właśnie na kobiecych mistrzostwach Europy czy świata. Jasne, że w przyszłości chciałabym sędziować ważne męskie mecze, ale uważam, że jako kobiety powinnyśmy dbać o rozwój naszej piłki. Doskonałą ambasadorką całej dyscypliny jest Ewa Pajor. Bardzo popularna, utytułowana zawodniczka, a przy tym taka normalna. Świetna dziewczyna! Jest najlepszym dowodem, że nie ma co się bać wchodzić do tego teoretycznie męskiego świata.

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

DIJMYAMIWSOJŻGE

NAZAPSATNASAIŁA

ŁUGMŚLARĘDOCYŃ

ROZWIĄZANIA: DMIJMY SAMI W SWOJE ŻAGLE, NASZA PASJA TO NASZA SIŁA, DŁUGO MYŚL A PRĘDKO CZYŃ



Aby język giętki...

ANDRZEJ SKWORZ O MEDIACH

Gdy środowiska sędziowskie tworzyły wzory ustaw przywracających niezależność sędziowską, główne polskie media zajmowały się sobą.

JAN KLATA O PROWOKACJI W TEATRZE

Od tego jestem, żeby wpuszczać widzów w pułapkę i konfrontować z czymś niewygodnym.

MAREK DUTKIEWICZ O JERZYM BRALCZYKU

Podziwiam fenomenalną pamięć profesora. Założę się, że w nocy i w dzień wyrecytuje dowolny fragment „Pana Tadeusza” czy Sienkiewicza.

GABRIELA MUSKAŁA O KOBIETACH W RODZINIE

Łączy nas poczucie humoru. I wyczuć absurdu. I na pewno przekora. To słowo uwielbiam.

JAN ENGLERT O STARZENIU SIĘ

Przychodzi coraz więcej wątpliwości, coraz mniej pewności siebie. Dlatego starcy tak strasznie krzyczą, że mają rację.

KATARZYNA KASIA O SPA DLA DUSZY I ROZUMU

Warto starać się w naszą codzienność wplatać chwile wolne od bezustannego pędzenia.

LECH JANERKA Z NOWYMI WYRAŻENIAMI

„Polubek brak”, „słaba kwapa”, „wołam ratulu”, „ustawa bidibą”.



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarz redakcji: Agata Gogolkiwicz

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuta, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,

Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Władcki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbełka, Anna Rosiak,

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoreporterzy: Magdalena Głuska, Rafał Pysznar

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPPPLP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Jej portret



Syndrom deficytu

Natalia Rybka

Dzieło to człowiek

Van Rij Gallery
 Ćmielów
 ul. Sandomierska 243
 do 13 stycznia

To pierwsza solowa wystawa Natalii Rybki, jednej z twórczyń młodego pokolenia, prezentacja kilkunastu prac powstałych w ciągu ostatnich dwóch lat. W surowość postindustrialnych hal wkracza dzika przyroda, odniesienia do ikonografii religijnej mieszają się

z koncepcjami filozoficznymi. Artystka porusza temat wykluczenia społecznego i zastanawia się, kto nadaje sens życiu człowieka. Trudne, jednak niezwykle istotne kwestie ubiera w przyrodę i florystykę. Symbolika roślin łągodzi gorycz przekazu.



Dzieło to człowiek



Ima

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NAJBARDZIEJ OSOBISTY FILM PHILIPPE'A GARRELA



Srebrny Niedźwiedź
Najlepsza reżyseria

73

Internationale
Filmfestspiele
Berlin

WIELKI WÓZ

W ROLACH GŁÓWNYCH:

LOUIS GARREL

DAMIEN MONGIN

ESTHER GARREL

LENA GARREL

W KINACH OD 15 GRUDNIA

 **AURORA** 

 Kreatywna
Europa
MEDIA



KAZIK & KWARTET PROFORMA

WEEKEND Z KAZIKIEM W KLUBIE STODOŁA



KAZIK
& KWARTET PROFORMA
9 LUTEGO 2024

KAZIK
10 LUTEGO 2024

BILETY DOSTĘPNE NA: WWW.STODOLA.PL ORAZ WWW.TICKETCLUB.PL

f @KLUB.STODOLA **📷 @KLUB.STODOLA**